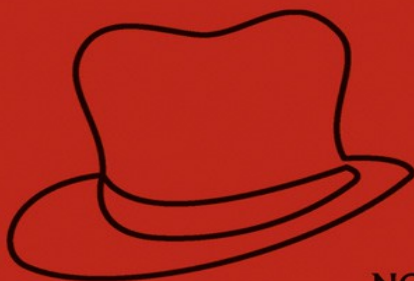


Sycylia komisarza Montalbano

ANDREA
CAMILLERI
Połowanie na skarb

„Albo już kochasz książki Andrei Camilleriego,
albo jeszcze ich nie czytałeś”
New York Times



NOIR SUR BLANC

ANDREA CAMILLERI

POLOWANIE
NA SKARB

Przełożył
Maciej Brzozowski

NOIR SUR BLANC

Tytuł oryginału:
LA CACCIA AL TESORO

Opracowanie redakcyjne:
KLEMENS GÓRSKI

Korekta:
AGATA NOCUŃ, BEATA WYRZYKOWSKA

Projekt okładki:
TOMASZ LEC z użyciem sylwetek © martin951/123rf

Skład i łamanie:
PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2010 Sellerio Editore, Palermo
For the Polish edition

Copyright © 2018, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-65613-81-3

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl

Całe miasteczko wiedziało, że już od młodości Gregorio Palmisano i jego siostra Caterina byli bardzo pobożni. Chodzili na każde nabożeństwo rano i wieczorem. Na mszę świętą, nieszpory, a czasami nawet chodzili do kościoła bez żadnego powodu, tylko dlatego, że im się zachciało. Lekki zapach kadzidła unoszący się po mszy i przykry zapach świec wydawały się rodzeństwu Palmisano czymś o wiele smakowszym niż ragoût komuś, kto nie jadł od dziesięciu dni.

Klękali zawsze w pierwszym rzędzie i nigdy nie pochylali głów podczas modlitwy. Trzymali je prosto, szeroko otwierając oczy, ale nie patrzyli ani na wielki krucyfiks nad głównym ołtarzem, ani nawet na Matkę Boską Bolesną u jego stóp. Nie odrywali wzroku od proboszcza, obserwując to, co robi, jak się zachowuje, w jaki sposób przewraca kartki mszału, jak błogosławi, jak porusza rękoma, kiedy mówi Dominus vobiscum i kiedy wypowiada Ite, missa est.

Prawda była taka, że oboje chcieliby zostać kapłanami, włożyć komżę, stuły, paramenty, otwierać drzwiczki tabernakulum, trzymać w rękach srebrny kielich, spowiadać wiernych. Marzyło się to i jemu, i jej, Caterinie.

Kiedy powiedziała, co chciałaby robić, gdy dorośnie, matka poprawiła ją:

- Czyli chcesz zostać zakonnica.
- Nie, mamu, księdzem.
- Też coś! A niby dlaczego chcesz zostać księdzem, a nie zakonnica? - zapytała, śmiejąc się, Matylda.
- Bo ksiądz odprawia mszę, a zakonnica nie.

Niestety zostali zmuszeni do pomagania ojcu, handlującemu żywnością, ściśniętą w trzech wielkich magazynach, jeden obok drugiego.

Po śmierci rodziców Gregorio i Caterina zmienili asortyment i

zamiast makaronu, puszek z pomidorami, suszonego sztokfiszca zaczęli sprzedawać antyki. Towar wyszukiwał Gregorio, penetrujący wszystkie stare kościoły w okolicznych miejscowościach, na wpuł rozwalone pałace należące do kiedyś bogatych, a teraz klepiących biedę arystokratów. Jeden z trzech magazynów wypełniało morze krucyfiksów, od takich noszonych na szyi po te normalnej wielkości. Były tam też ze trzy, cztery kopie nagich krzyży. Ogromnych, ciężkich. Nosili je, batożeni przez złych rzymskich centurionów, pokutnicy w procesjach organizowanych w Wielkim Tygodniu.

Gdy on skończył siedemdziesiąt, a ona sześćdziesiąt osiem lat, sprzedali te trzy magazyny, ale zabrali część towaru i upchnęli go na ostatnim piętrze domu, koło siedziby władz miejskich. Dom składał się z sześciu przestronnych pokoiów i nieużywanego tarasu. Za dużo jak na brata i siostrę, którzy nigdy nie chcieli wchodzić w związki małżeńskie i nie mieli dalszej rodziny.

Ich religijna fiksacja pogłębiła się, kiedy przestali pracować. Wychodzili tylko do kościoła, jedno obok drugiego, idąc pospiesznie, ze spuszczoneymi głowami, i nie odpowiadając na pozdrowienia. Wracali i ponownie barykadowali się w domu z zamkniętymi okiennicami, jak gdyby ciągle byli w żałobie.

Zakupy robiła im kobieta, która kiedyś sprzątała magazyny, ale nigdy nie wpuszczali jej do domu. Rankiem znajdowała tylko karteczkę, na której Caterina spisywała wszystko, czego potrzebowała, a pod wycieraczką pieniądze niezbędne na te zakupy.

Po powrocie kobieta stawiała torby na ziemi, pukała i oznajmiała przed odejściem:

– Zakupy!

Nie mieli telewizora i kiedy jeszcze zajmowali się antykami, nikt nigdy nie widział, żeby czytali jakąś książkę czy gazetę, tylko brewiarz, dokładnie jak księża.

Minęło z dziesięć lat i coś się zaczęło zmieniać. Palmisanowie nie opuszczali domu, nie chodzili do kościoła, nie pokazywali się na balkonie, nawet wtedy kiedy ulicą przechodziła procesja ku czci patrona miasteczka.

Kontakt ze światem utrzymywali jedynie za pomocą karteczek i rozmów z kobietą robiącą im zakupy.

*

Pewnego ranka mieszkańcy Vigaty zobaczyli, że między pierwszym a drugim balkonem domu Palmisanów pojawił się wielki biały transparent. Na nim drukowanymi literami napisano:

GRZESZNICY, POKAJAJCIE SIĘ!

Tydzień później między drugim a trzecim balkonem pojawił się kolejny transparent:

GRZESZNICY, UKARZEMY WAS!!

Tydzień później przyszedł czas na trzeci, ten jednak zasłaniał całą balustradę tarasu i był ze wszystkich najbardziej okazały:

ŻYCIEM KAŻEMY WAM ZAPŁACIĆ ZA GRZECHY!!!

Zobaczywszy trzeci transparent, Montalbano zmartwił się.

– Nie rozśmieszaj mnie! – powiedział Mimì Augello. – To tylko dwójka odjechanych staruszków, z manią religijną!

– Może i tak.

– Co ci tu nie gra?

– Wykrzykniki, z jednego zrobiły się trzy.

– No i?

– To znak, że postawili tym grzesznikom jakieś ultimatum. A to ostatnie ostrzeżenie.

– Ale kim niby są ci grzesznicy?

– My wszyscy, Mimì. Już nie pamiętasz? Zapomniałeś? Nie wiesz, czy Gregorio Palmisano ma pozwolenie na broń?

– Zaraz sprawdzę.

Wrócił po jakimś czasie, cokolwiek poruszony.

– Ma. Wystąpił o nie, kiedy handlował antykami. Oprócz rewolweru zgłosił też dwie strzelby myśliwskie i pistolet po ojcu.

– Jutro niech Fazio się dowie, do którego kościoła chodzili, i porozmawia z proboszczem.

– Ale przecież on się zasłoni tajemnicą spowiedzi!

– Nie musi go pytać o tajemnice, tylko od kiedy zaczęli tracić głowę i czy to niebezpieczne. Ja tymczasem zadzwonię do

burmistrza.

– A po co?

– Żeby wysłał straż miejską do Palmisanów, niech zdejmą te transparenty.

Strażnik miejski Landolina stawiał się w domu Palmisanów o siódmej wieczorem. Ponieważ po dzienniku mieli transmitować mecz Palermo, chciał szybko się ze wszystkim uwinąć, wrócić do domu, zjeść i zasiać w fotelu.

Zastukał, ale nikt mu nie otworzył. Landolina był nie tylko uparty i upierdliwy, ale nie lubił też tracić czasu. Najpierw zaczął walić pięścią w drzwi, a potem kopał, dopóki męski głos nie zapytał:

– Kto tam?

– Straż miejska, proszę otworzyć!

– Nie.

– Proszę natychmiast otworzyć!

– Idź sobie, tak będzie dla ciebie lepiej!

– Proszę mi nie grozić i natychmiast otwierać!

Gregorio już nie groził, tylko najzwyczajniej w świecie strzelił do niego z rewolweru przez drzwi.

Kula musnęła głowę Landoliny, który odwrócił się i uciekł.

Na ulicy zobaczył tłum ludzi. Krzyczeli, modlili się i przeklinali. Gregorio i Caterina, z dwóch balkonów, strzelali do przechodniów.

I tak się zaczęło oblężenie fortecy Palmisanów przez siły porządkowe, czyli Montalbana, Augella, Fazia, Galla i Galluzza. Straż miejska trzymała tłum gapiów w należytej odległości. Po jakiejś godzinie przyjechali też lokalni dziennikarze i telewizja.

O dziesiątej wieczorem, jako że nawet wyposażony w głośnik proboszcz nie zdołał przekonać staruszków do poddania się, Montalbano postanowił przypuścić szturm. Wysłał Fazia, żeby sprawdził, czy można wejść na taras z dachu albo może z sąsiedniego mieszkania. Fazio wrócił po godzinnych skrupulatnych oględzinach. Powiedział, że nie da rady, z żadnego mieszkania nie można wejść na dach ani na taras.

Wtedy komisarz zadzwonił z komórki do Catarelli.

– Wezwij jak najszybciej strażaków z Montelusy...

– Się pali, komisarzu, czy co?

– Daj mi skończyć! Powiedz, żeby przyjechali jak najszybciej z drabiną sięgającą piątego piętra.

– To na piątym się pali?

– Nigdzie się nie pali!

– No to po co strażacy? – zapytał Catarella z nieubłaganą logiką.

Montalbano zaklął, rozłączył się, wystukał numer straży pożarnej, przedstawił się i wyjaśnił, o co mu chodzi. Telefonista zapytał:

– Teraz zaraz?

– Tak!

– Tylko że dwa wozy z drabiną są zajęte. Mogą przyjechać do Vigaty za jakąś godzinkę. Co do oświetlenia, to nie ma sprawy, już jedzie.

Owo „już” oznaczało kolejną straconą godzinę.

Co pewien czas Palmisanowie dla wprawy strzelali z dubeltówki i rewolweru. Lampa przyjechała, ustawiono ją i włączono. Całą fasadę zalało ostre niebieskie światło.

– Dzięki, komisarzu! – krzyknęli kamerzyści stacji telewizyjnych.

Zdawać się mogło, że kręcono tu jakiś film.

Drabina pojawiła się gdzieś koło pierwszej w nocy. Wydłużono ją tak, żeby sięgała ozdobionej transparentem balustrady.

– Ja wejdę – powiedział komisarz. – Ty, Fazio, idź za mną. Mimì, ty z Gallem i Galluzzem ustawcie się za drzwiami i jak ja ich przytrzymam na tarasie, spróbujcie wyważyć drzwi i wejść.

Gdy tylko postawił nogę na pierwszym szczeblu, Gregorio, który wyłonił się z nienacka zza transparentu, strzelił do niego z rewolweru. Po czym zniknął. Montalbano natychmiast schował się w bramie i powiedział do Fazia:

– Lepiej, jeśli tylko ja wejdę. Ty zostań na ulicy i osłaniaj mnie.

Kiedy Fazio strzelił po raz pierwszy i trafił w transparent, komisarz zaczął bezszelestnie wchodzić po drabinie, trzymając się jej lewą ręką, bo prawą miał zajętą pistoletem.

Doszedł do wysokości czwartego piętra, a wtedy Gregorio, mimo osłony Fazio, nagle strzelił do niego z tarasu, omal nie trafiając.

Instynktownie Montalbano ukrył głowę w ramionach i chcąc nie chcąc, spojrział w dół. Nagle oblał go zimny pot, a w głowie zakręciło się tak, że o mało nie spadł z drabiny. Z dołu brzucha napłynęła fala mdłości. Zrozumiał, że dostał zawrotów głowy, chociaż nigdy nie cierpiał na lęk wysokości. Teraz, na pewno z powodu starości, naszło go to w momencie jak najmniej odpowiednim.

Zastygł na chwilę bez ruchu, zaciskając oczy i zęby, i podjął wspinaczkę, jeszcze wolniej niż poprzednio.

Kiedy doszedł do balustrady, nagle wyprostował się, gotowy do strzału, ale zobaczył, że taras jest pusty. Gregorio wszedł do środka i zamknął drzwi balkonowe, teraz pewnie obserwował wszystko zza żaluzji, z wymierzonym w niego pistoletem.

– Wyłączcie światło! – krzyknął Montalbano.

I wskoczywszy na taras, położył się na ziemi. Jak było do przewidzenia, Gregorio wystrzelił na oślep, nic nie widząc w nagłej ciemności. Montalbano też strzelił i też nic nie widział. Potem jednak stopniowo odzyskał wzrok.

Nie miał zamiaru podrywać się i biec w stronę drzwi, bo wtedy Gregorio jak nic mógł go trafić.

Podczas gdy zastanawiał się, co zrobić, Fazio przeskoczył przez balustradę i rozpląszczył się koło niego.

Teraz słyszeli dobiegające z mieszkania strzały.

– To Caterina, stoi za drzwiami i strzela do naszych – powiedział cicho Fazio.

Na tarasie nie było niczego, co mogłoby ich osłonić, ani donicy, ani rozwieszzonego prania. Ale, oparte o mur, stały trzy długie metalowe pręty, może pozostałości starej altanki.

– Co robimy? – zapytał Fazio.

– Skocz po jeden z tych prętów. Jeśli nie zżarła go rdza, to uda ci się rozwalić drzwi i wejść do środka. Daj mi pistolet. Gotowy? Jeden, dwa, trzy, ruszaj!

Obydwaj poderwali się i Montalbano zaczął strzelać na oślep z

dwóch pistoletów, czując się trochę komicznie. Zupełnie jak szeryf w amerykańskim westernie. Potem stanął obok Fazio mocującego się z prętem i strzelił, tym razem w żaluzję. Wreszcie drzwi balkonowe ustąpiły i znaleźli się prawie w całkowitej ciemności, ponieważ duży pokój, do którego weszli, oświetlała tylko lampa naftowa stojąca na stoliku. Od dawna w tym domu nie było już prądu, na pewno im odcięli.

Gdzie schował się ten stary wariat? Z pobliskiego pokoju dobiegły do nich odgłosy dwóch strzałów. To Caterina stawiała opór Mimì, Gallowi i Galluzzowi, usiłującym wyważyć drzwi wejściowe.

– Zajdź ją od tyłu – powiedział Montalbano Faziowi, oddając mu jego pistolet. – Ja idę poszukać Gregoria.

Fazio zniknął za drzwiami prowadzącymi na korytarz.

Ale w pokoju były jeszcze jedne drzwi, zamknięte. Komisarz nie wiadomo dlaczego był święcie przekonany, że tam właśnie ukrył się staruszek. Podkradł się, nacisnął klamkę i drzwi lekko się uchyliły. Wbrew obawom nikt jednak nie strzelił.

Otworzył je szeroko, jednocześnie rzucając się w bok. Zero reakcji.

Ale co robił Fazio? Dlaczego staruszka nadal strzelała?

Wziął długi oddech i wszedł do pokoju, trochę schylony i gotowy do strzału. Nie zrozumiał, gdzie się znalazł.

W pokoju rósł las, ale jakie to drzewa?

Czuł, że jakaś siła irracjonalnie go paraliżuje.

W świetle lampki naftowej zobaczył dziesiątki krucyfików różnej wielkości, od metrowych do sięgających sufitu, na drewnianych podstawach. Tworzyły zadziwiający las. Ustawiono je w taki sposób, że patrzyły na siebie – ramię jednego krzyża przez ramię drugiego, podczas gdy inny krzyż, niższy, był odwrócony frontem do krzyża tej samej wysokości i tak dalej.

Komisarz zrozumiał od razu, że Gregoria tu nie ma, z pewnością nie zaczęłyby strzelać w tym pokoju z obawy przed uszkodzeniem krucyfików. Nie mógł się jednak uspokoić, był przerażony jak dziecko, które znajduje się w pustym, oświetlonym tylko przez świecę kościele. Naprzeciwko zobaczył otwarte drzwi, przez

które przebijało słabe światło kolejnej lampy naftowej. Patrzył na nie, ale nie ośmielał się zrobić ani kroku.

W przejściu przez ten las pomógł mu krzyk Fazia i przerażający pisk wydzierającej się Cateriny.

– Komisarzu, mam ją!

Montalbano rzucił się slalomem między krucyfiksy, wpadł na jeden z nich, który zachwiał się, ale nie upadł. Wbiegł do drugiego pokoju. Była to sypialnia z podwójnym łóżkiem.

Gregorio wymierzył pistolet i strzelił, gdy komisarz rzucał się na ziemię. Usłyszał trzask kurka. Zabrakło nabojów. Montalbano podniósł się. Staruszek, wyglądający jak szkielet, wysoki, z białymi, sięgającymi ramion włosami i całkowicie nagi, wpatrywał się zdziwiony w trzymaną w rękę broń. Montalbano kopniakiem wytrącił mu ją na ziemię.

Gregorio wybuchnął płaczem.

Komisarz, coraz bardziej przerażony, zorientował się, że na jednej z poduszek spoczywała głowa długowłosej kobiety. Jej ciało przykrywało prześcieradło. Natychmiast zrozumiał, że kobieta nie żyje.

Podszedł do łóżka, żeby lepiej zobaczyć. Gregorio, głosem przypominającym papier ścierny, rozkazał mu:

– Nie waż się zbliżyć do oblubienicy danej mi przez Boga.

Komisarz podniósł prześcieradło.

Zobaczył starą dmuchaną lalkę, częściowo łysą, bez jednego oka, z pomarszczoną piersią i ciałem pokrytym kółkami i kwadracikami wyciętymi z szarej gumy. Najwidoczniej Gregorio zaklejał jej wszystkie powstałe ze starości dziury i nadmuchiwał ponownie.

– Gdzie jesteś, Salvo?

To był głos Augella.

– Tu jestem, wszystko w porządku.

Usłyszał dziwny hałas i zająrzył do sąsiedniego pokoju. Gallo i Galluzzo, wyposażeni w silne latarki na baterie, przestawiali krucyfiksy, żeby zrobić przejście. Kiedy skończyli, Montalbano zobaczył w utworzonym właśnie szpalerze kroczących Mimì i Fazia. Trzymali pod ręce szarpiącą się i piszczącą jak mysz

Caterinę.

Caterina wyglądała jak bohaterka powieści grozy. Miała na sobie brudną i dziurawą koszulę nocną, potargane siwożółte włosy, wytrzeszczone oczy. Była straszliwie gruba, niska, a jeden jedyny ząb przeżył się w zaślinionych ustach.

– Przeklinam cię! – krzyknęła Caterina, patrząc na Montalbana szalonym wzrokiem. – Spalisz się żywcem w ogniu piekielnym!

– Potem to omówimy – odpowiedział jej komisarz.

– Ja wezwałbym karetkę – poradził Mimì. I wysłałbym ich prosto do domu wariatów albo gdzieś tam.

– Nie możemy umieścić ich w areszcie? – podkreślił Fazio.

– Dobrze, wezwijcie karetkę i zabierzcie ich stąd. Podziękujcie strażakom, mogą już odjechać. Wyważyliście drzwi?

– Nie było takiej potrzeby, otworzyłem je od środka – powiedział Fazio.

– A ty co robisz? – zapytał Augello.

– Miał obydwie strzelby? – odpowiedział pytaniem na pytanie Fazio.

– Tak jest.

– W takim razie musi tu być jeszcze jedna broń, pistolet ojca. Chcę się rozejrzeć. Idźcie już, ale dajcie mi latarkę.

Kiedy został sam, Montalbano włożył pistolet do kabury i zrobił jeden krok.

Potem jednak rozmyślił się i ponownie wyjął broń. Jasne, że nikogo już tu nie było, ale mieszkanie nadal go przerażało. Latarka wyświetliła na ścianach cienie krucyfiksów, powiększając je do gigantycznych rozmiarów.

Montalbano przebiegł przez szpaler krucyfiksów ustawiony przez jego ludzi i znalazł się w pokoju z tarasem.

Wyszedł na zewnątrz, musiał chwilę odetchnąć. Mimo że miasteczko śmierdziało dymem cementowni i spalinami, powietrze, w porównaniu z tym, którym oddychał w domu Palmisanów, wydało mu się krystalicznie czyste jak w górach.

Potem wrócił do środka i poszedł w stronę drzwi na korytarz. Zaraz po lewej stronie zobaczył trzy pokoje, jeden obok drugiego. Ściana po prawej nie miała żadnych otworów.

Pierwszy pokój służył za sypialnię Cateriny. Na komodzie, stolicku i bufecie tłoczyły się setki figurek Matki Boskiej, każda z zapalonymi świeczkami. Na ścianach wisiały obrazki, także przedstawiające Matkę Boską. Każdy obrazek miał drewnianą półeczkę, na której paliło się światełko. Całość wyglądała jak cmentarz nocą.

Drzwi drugiego pokoju były zamknięte, ale klucz tkwił w zamku. Komisarz przekręcił go, nacisnął klamkę i wszedł. Tu panowały już całkowite ciemności. W świetle latarki zobaczył, że znajduje się w wielkim pomieszczeniu pełnym pianin. Oprócz nich stały trzy fortepiany, jeden z podniesioną pokrywą. Między pianinami zwieszały się olbrzymie pajęczyny. Nagle jeden z fortepianów wydał dźwięk. Gdy Montalbano, krzyżąc ze strachu, zaczynał się wycofywać, w uszach zabrzmiała mu cała gama, do re mi fa sol la si. Może mieszkały tu żywe trupy? A może duchy? Był spocony, ręka trzymająca pistolet zaczęła mu się trząść, ale znalazł siłę, żeby ponownie oświetlić pokój latarką. Wtedy dopiero zobaczył ducha pianistę. Wielki szczur biegał w panice między instrumentami. Najwidoczniej przebiegł też po klawiaturze.

Trzecie pomieszczenie służyło za kuchnię. Ale śmierdziało tak straszliwie, że komisarz nie miał nawet odwagi tu wejść. Jutro każe komuś poszukać tego pistoletu.

Kiedy wyszedł na ulicę, nikogo już nie było. Skierował się w stronę samochodu zaparkowanego koło ratusza, przekręcił kluczyk i ruszył do Marinelli.

Wziął długi prysznic, potem zamiast iść spać, usiadł na tarasie.

I w ten sposób to nie jego, jak zazwyczaj, obudziło światło dnia, to on zobaczył budzący się dzień.

Postanowił więc, że się nie położy, dwie czy trzy godziny snu niewiele by mu pomogły, co najwyżej byłby jeszcze bardziej otępiały.

Kiedy szedł do kuchni nastawić kolejną z czterech porannych maszynek do kawy, pomyślał, że wczorajsze wydarzenie przypominało jakiś senny koszmar, który pamiętasz jeszcze po przebudzeniu. Potem rozplywa się w ciągu dnia i po kolejnej nocy ulatnia całkowicie. Z trudem coś sobie przypominasz, stopniowo rozmywają ci się kontury i szczegóły, aż widzisz poskładaną przez czas mozaikę, z rozlanymi na szarym murze plamami w miejscu kolorowych niegdyś fragmentów.

Tak więc jeszcze dwadzieścia cztery godziny cierpliwości i potem zapomnisz o tym, co widziałeś i co przydarzyło ci się w domu Palmisanów.

W żaden sposób jednak nie mógł wybić sobie z głowy wrażenia, jakie zrobiło na nim to mieszkanie.

Las krucyfiksów, dmuchana lalka, stara jak jej właściciel, sala z fortepianami spowitymi w pajęczynę, szczur wirtuoz, drżące światło lamp naftowych... nagi Gregorio wychudzony jak szkielet, Caterina z jednym jedynym zębem... Zupełnie jak w prawdziwym horrorze wyświetlanym w kinie.

Ale w tym przypadku nie chodziło o żadną fikcję, tylko o coś najprawdziwszego, rzeczywistego. Chociaż wszystko nagle mogło stać się fikcją.

Jednak prawdziwym problemem, który chciał odsunąć, gdy myślał o koszmarze, a którego wolałby nie poruszać, była różnica w zachowaniu jego samego i zespołu.

Nie poruszył go także i tym razem, skorzystał z tego, że kawa była już gotowa.

Zaniósł ją sobie na werandę, usiadł i wypił pierwszą filiżankę z drugiej maszynki.

Długo patrzył na niebo, morze, plażę. Budzący się dzień należało smakować powoli, jak zbyt słodką konfiturę.

- Dzień dobry, komisarzu - pozdrowił go typowy poranny samotny rybak, który robił coś przy swojej łodzi.

Montalbano odpowiedział, unosząc rękę.

- Obfitych połowów! - życzył mu.

- Mogę coś powiedzieć? - zapytał drugi Montalbano, pojawiając się zniemacka, i kontynuował, nie czekając na odpowiedź. - Problem, którego stara się pan uniknąć, można sprowadzić do dwóch pytań. Pierwsze: dlaczego Gallo i Galluzzo nie byli przerażeni lasem krucyfiksów, a nawet przedstawiali je z pewną obojętnością? Drugie pytanie: dlaczego Mimì Augello nie zdziwił się, widząc dmuchaną lalkę, a nawet się uśmiechnął, myśląc, że Gregorio był starym świntuchem?

- No cóż, każdy jest inny i zachowuje się odmiennie - powiedział niezdecydowanym głosem Montalbano pierwszy.

- To banalnie prawdziwe. Ale rzecz w tym, że kiedyś komisarz zareagowałby jak Gallo i Galluzzo na widok krucyfiksów i jak Mimì na widok lalki. Kiedyś.

- Możemy dać sobie z tym spokój? - zapytał Montalbano, chwytając w lot, dokąd ten drugi mierza.

- Chciałbym skończyć. Według mnie, panie komisarzu, od wtedy do dzisiaj zmienił się pan z powodu wieku, ale powiem więcej, nie chce się pan do tego przyznać. Na przykład zachowuje się pan, jakby przeszedł przeszczep oczu.

- Co ty pieprzysz?

- Wiem, że jeszcze do takiego przeszczepu nie doszło. Ale to starość zrobiła już taką operację. Teraz masz inne oczy w tej starzejącej się głowie.

- W jakim sensie inne?

- O wiele bardziej wrażliwe. Nie tylko widzi pan pewne rzeczy, ale wyczuwa może także aurę wokół nich, taką zwiewną parę unoszącą się nad nimi i...

- I według ciebie nad tą lalką unosiła się jakaś para? - zapytał wyzywająco Montalbano pierwszy.

- Aura desperacji i samotności. Typowa dla człowieka, który

spędza noce przytulony do nieruchomej lalki i wmawia sobie, że to żywa osoba, i jeszcze nazywa ją swoją miłością.

– Czas na wnioski.

– Wniosek z tego taki, że traci pan dystans wobec zdarzeń. Daje się pan wciągać, przeżywa. Może i przedtem tak bywało, ale teraz, z wiekiem, staje się pan, jak by to powiedzieć, zbyt wrażliwy.

– Wystarczy – powiedział Montalbano pierwszy, podrywając się z krzesła. – Pieprzysz jak potłuczony.

W przeciwieństwie do tego, co postanowił, poszedł przespać się ze dwie godziny, i kiedy zadzwonił budzik, wstał, co było do przewidzenia, kompletnie zamroczony.

Prysznic, golenie i świeża bielizna trochę podtrzymały go przy życiu, w każdym razie mógł przyjść do pracy w nieco lepszej formie.

Catarella na jego widok aż podskoczył i zaczął bić brawo.

– Gratulacje, szefie! Super!

– Co ci się stało? Nie jesteśmy w teatrze!

– Ale, szefie! Ależ pan wypadł wspaniale! Boże, jaki pan zdalny, jaki bystrawy! Zupełnie jak jakiś magik w cyrku!

– Kto?

– No pan w pańskiej osobie własnej! Lepszy niż kinematograf! Dzisiaj rano widziałem pana w telewizorze.

– Mnie?

– No pana w jego własnej osobie! Kiedy wchodził pan po strażackiej drabinie, dzierżąc pistolet, to wie pan, kogo mi pan przypominał?

– Nie wiem.

– Był pan identyczny jak Brus Łiliz, zna pan tego aktora, z Ameryki, ciągle się wikła w strzelaniny, w spalonych domach i dymach...

– Dobra, uspokój się i poproś Fazia.

Jeszcze tego by brakowało! Dzięki temu pół miasteczka, które nie zobaczyło go tamtej nocy na żywo, mogło dokładnie go obejrzeć w telewizji! Bruce Willis, myślałby kto! To bardziej

przypominało film z braćmi Marx!

- Dzień dobry, komisarzu.
- Jak się skończyło z Palmisanami?
- A jak się miało skończyć? Prokurator Tallarita nieźle im przywalił. Stawianie oporu, próba wielokrotnego zabójstwa, usiłowanie dokonania rzezi...
- Dokąd ich zawieźli?
- Do kliniki psychiatrycznej, na stałą obserwację.
- Dziwne, skoro nie mają broni, to po co...
- Wie pan, co Caterina zrobiła jednemu pielęgniarzowi?
- No co?
- Rozwaliła mu krzesło na głowie!
- Dlaczego?
- Bo wyglądał na Araba, czyli według niej na wroga Boga.
- Wyślij kogoś, żeby poszukał pistoletu, musi gdzieś być w mieszkaniu Palmisanów.
- Już się robi. Poślę Galluzza i tych dwóch jeszcze.

Po półgodzinie Fazio zapukał i wszedł.

- Proszę mi wybaczyć, komisarzu, ale wczoraj, kiedy wyszedł pan z mieszkania Palmisanów, zamknął pan drzwi? Zostawiłem klucze w zamku, kiedy otwierałem panu Augellowi.

Montalbano zastanowił się przez chwilę.

- Wiesz, że nie wiem, czy je zamknąłem, czy nie? A dlaczego?
- Bo dzwonił teraz właśnie Galluzzo, mówiąc, że zastał drzwi do mieszkania otwarte na oścież.
- Niczego nie brakuje?
- Według Galluzza nie, wszystko jest mniej więcej tak, jak zapamiętał wczoraj wieczorem. Ale niby jak tam się rozeznac w tym świętym bajzlu?

- Gratuluję, panie komisarzu, gratuluję nadzwyczajnej odwagi, wielkiej pogardy dla niebezpieczeństwa, okazanej, kiedy został pan sam w słynnym domu horrorów. Długa walka stoczona przez muzykalnego szczura doprowadziła pana do takiego stanu, że uciekłeś pan czym prędzej, zapominając nawet zamknąć drzwi. Nieźle. Ponowne gratulacje.

- Fazio, zaspokój moją ciekawość.
- Z przyjemnością, komisarzu.
- Nic cię w tym domu nie zdziwiło?

- Proszę nic więcej nie mówić! Kiedy zobaczyłem ten pokój, pełen krucyfiksów, to, z całym szacunkiem, myślałem, że się zesram!

Uściskałby tego Fazia. Wszyscy byli przerażeni i zadziwieni. Tylko nie okazywali tego. W ten sposób jego poranne rozmyślania okazały się niesłuszne.

O pierwszej poszedł jeść do Enza. Był bardzo głodny, bo dzień wcześniej, wieczorem, nie miał czasu nic przegryźć. Usiadł przy tym stoliku co zawsze.

Telewizor włączono na Telegigantę. Prawie nie słyhać było, co mówią, ale obraz wyraźnie pokazywał wnętrza mieszkania Palmisanów.

Jakiś pieprzony dziennikarz skorzystał pewnie z tego, że drzwi były otwarte, wszedł i zaczął filmować wnętrza domu tych starych wariatów. Najwidoczniej miał lampę na baterię i światło, dzięki czemu krucyfiksy i fortepiany, wydobyte z ciemności, wyglądały tak złowieszczo, jak i jemu wydały się ostatniej nocy.

- Dzień dobry, komisarzu, co by pan zjadł?
- Proszę mi dać pięć minut.

Teraz kamerzysta wszedł do sypialni Gregoria.

Dmuchanej lalce poświęcił przynajmniej pięć minut, ukazując ją najpierw całą, a następnie pokazując wyliniące włosy, miejsce po brakującym oku, pomarszczoną pierś. Ślady licznych napraw dokonywanych przez Gregoria, żeby pierś całkiem nie sflaczała, wyglądały jak małe ranki przykryte plastrami.

- Już się pan zdecydował?

Jak to możliwe, że nagle opuścił go apetyt?

Zjadł tak mało, że nawet nie musiał iść na tradycyjny poobiedni spacer. Wrócił do biura i zabrał się do podpisywania dokumentów. Od miesiąca nie trafiło się nic ważnego. Oczywiście sprawa Palmisanów była dość ciekawa, chwilami tragikomiczna,

ale bez żadnych konsekwencji, rannych czy zabitych. Wiele razy w ciągu tego miesiąca myślał, żeby wziąć parę dni wolnego i pojechać do Boccadasse koło Genui, do Livii. Ale ciągle porzucał tę myśl, bojąc się, że jakieś niespodziewane wydarzenie zmusi go do przerwania urlopu. I kto wtedy uspokoiłby Livię?

– Galluzzo znalazł wreszcie pistolet – powiedział Fazio, wchodząc do pokoju.

– Gdzie był?

– W pokoju Cateriny, schowany w figurce Madonny.

– Coś jeszcze?

– Cisza na morzu. Wiesz, że Catarella ma już swoją teorię na ten temat?

– Na jaki?

– Ano że na przykład jest mniej kradzieży.

– I czym to tłumaczy?

– Twierdzi, że złodzieje, ci nasi, którzy okradali domy biedaków albo damskie torebki, wstydzą się.

– Niby czego?

– Swoich bardziej szacownych kolegów. Przemysłowców, którzy skazują na upadek firmę po tym, jak pieniądze na jej ozdrowienie rozplynęły się w powietrzu. Banków nadal oszukujących klientów, wielkich przedsiębiorstw kradnących publiczne pieniądze. A tymczasem złodzieje biedacy muszą się zadowolić sumą dziesięciu euro, zepsutym telewizorem, niedziałającym komputerem... Wstydzą się i nie kradną.

Jak było do przewidzenia, o północy Telegigàta nadała specjalny program poświęcony sprawie Palmisanów.

Oczywiście pokazali Montalbana wspinającego się po drabinie, gdy Gregorio strzelał do niego z tarasu. Całość, oglądana z zewnątrz, wyglądała tak, jak opisał ją Catarella. Wydawało się, że nikt nie może zatrzymać komisarza, wystarczyło spojrzeć, z jaką determinacją przeskakiwał przez balustradę, trzymając w ręce pistolet, jakim tonem nakazywał zgasić reflektor.

Jednym słowem akcja jak w najlepszych filmach kryminalnych.

Nie było widać przerażenia, trzęsawki, zawrotów głowy, które dopadły go w połowie wspinaczki. Na szczęście nie istniało na świecie takie urządzenie, rentgen czy nawet EKG, zdolne pokazać dobrze ukryty lęk. Kiedy jednak zaczęły się ujęcia z dmuchaną lalką, komisarz wyłączył telewizor.

Nie mógł na nią patrzeć, robiła na nim większe wrażenie niż prawdziwa kobieta.

Zanim poszedł spać, zadzwonił do Livii.

– Widziałam cię, wiesz? – powiedziała natychmiast.

– Gdzie?

– W telewizji, pokazywali w całym kraju.

Ci popaprańcy z Televigaty sprzedali materiał!

– Bardzo się bałam o ciebie – ciągnęła Livia.

– Kiedy?

– Kiedy zakręciło ci się w głowie na tej drabinie.

– Fakt. Ale nikt nie zauważył.

– Ale ja tak. Nie mogłeś wysłać tam Augella, który jest od ciebie dużo młodszy? Takich rzeczy w twoim wieku już się nie robi!

Montalbano zaczął tracić cierpliwość. I ona też pieprzy mi o wieku?

– Mówisz tak, jakbym był jakimś pierdolonym matuzalemem!

– Nie używaj takich słów, nie cierpię tego! Kto tu mówi o matuzalemie? Wiesz, że stajesz się coraz bardziej neurotyczny?

Po takim początku jasne było, że rozmowa skończy się jeszcze gorzej.

– Panie komisarzu, panie komisarzu! Pan kwestor wydzwania do pana od ósmej rano! Boże, ależ on dzisiaj nanerwiony! Ma pan migusiem do niego zatelefonować!

– Dobrze, połącz mnie – powiedział, idąc do gabinetu.

Ostatnio miał czyste sumienie, jako że nic się nie wydarzyło. Nie zrobił niczego, co panom kwestorom mogłoby się wydać błędem lub zaniedbaniem.

– Montalbano?

– Tak, panie kwestorze?

– Może mi pan wytłumaczyć, dlaczego pozwolił pan telewizji na

panoszenie się w domu tych starych szaleńców?

– Ale ja...

– Proszę przyjąć do wiadomości, że odbieram niezliczoną ilość protestów telefonicznych, od biskupa po związek ojców rodzin katolickich, od kółka wu...

– Nie zrozumiałem, o jakie stowarzyszenie chodzi...

– Wu. Może lepiej zrozumie pan, jeśli doda jeszcze jedno w? To skrót stowarzyszenia Wiara i Więż.

– Ale skąd te protesty?

– Z powodu obscenicznej dmuchanej lalki.

– Rozumiem. Tylko że ja nie dałem żadnej zgody telewizji.

– Zaiste? No to jak tam weszli?

– Najprawdopodobniej drzwiami.

– Łamiąc pieczęcie?

Nie opieczętowaliśmy drzwi. Powinienem był to przecież zrobić. Pal licho pieczęcie, ale przynajmniej trzeba było zamknąć drzwi.

Jedyne wyjście to zacząć mówić do niego urzędniczym żargonem. Wtedy po paru zdaniach za chuja niczego nie będzie rozumiał.

– Za pozwoleniem, panie kwestorze. W istocie nie przystąpiliśmy do, przewidzianego skądinąd procedurą, założenia pieczęci na drzwi, bo uznaliśmy, że w lokalu mieszkalnym, o którym mowa, mimo mających w nim miejsce uprzednio dość gwałtowanych zajęć, nie odnotowaliśmy żadnych szkód fizycznych, stąd zatem...

– Już dobrze, dobrze. Ale wchodząc bez pozwolenia, popełnili poważne wykroczenie.

– Niezwykle poważne. A jeszcze może się coś wydarzyć – powiedział komisarz, strzelając z grubej rury.

– To znaczy?

No to jedziemy.

– Kto nam zagwarantuje, że operator czy też dziennikarz nie przywłaszczyli sobie jakiegoś obiektu znalezionej w wyżej wymienionym, a niżej niepodpisanym miejscu zajęcia? Lokal, o którym mowa, bardziej niż cywilne miejsce zamieszkania o

pokażnej powierzchni, zdaje się czymś w rodzaju sklepu z antykami, w którym znaleźć można by, mimo że my poniższych artefaktów nie namierzyliśmy, już to złote krucyfiksy artystycznie rzeźbione, już to Biblie misternie zdobione, już to różańce z macicy perłowej, srebra i złota, jak i...

– Rozumiem, dobrze, zajmę się tym – przerwał kwestor, któremu ton głosu Montalbana działał na nerwy.

I w ten sposób ci z Telegigaty nauczą się, żeby nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy.

W dzienniku nadawanym w porze obiadowej gwiazda Telegigaty, Pippo Ragonese, ten z twarzą jak kurza dupa, powiedział zdenerwowany, że stacja, znana z obiektywności, poddana została „silnym naciskom”, aby nie emitować więcej materiału nakręconego w domu Palmisanów, zwłaszcza fragmentu ukazującego lalkę. Dał do zrozumienia, że dziennikarz i kamerzysta, którzy weszli do mieszkania, ryzykowali oskarżenie o „włamanie i kradzież obiektów artystycznych”.

Wobec takich prób zastraszania Ragonese uroczyście oświadczył, że począwszy od teraz, przez całe popołudnie aż do wieczornych wiadomości o dwudziestej, Telegigata będzie pokazywać wyłącznie tę lalkę.

I tak zrobili.

Ale tylko do osiemnastej, bo o tej godzinie pojawili się dwaj karabinierzy i zarekwirowali taśmę na rozkaz prefekta.

Nazajutrz rano, co było do przewidzenia, mówiły o tym wszystkie krajowe stacje telewizyjne. Przeciwny konfiskacie, najważniejszy dziennik drukowany w Rzymie dał następujący tytuł:

„Śmieszność nie ma granic”.

Inni z kolei chwalili zachowanie karabinierów, na przykład jeden z wychodzących w Mediolanie dzienników zatytułował artykuł:

„Śmierć dobrego smaku”.

A wieczorem nie było w całych Włoszech komika, który nie pojawiłby się w telewizji z dmuchaną lalką w objęciach.

Tej nocy śniła mu się wprawdzie nie owa dmuchana lalka, ale coś zbliżonego.

Kochał się z bardzo piękną blondynką, która pracowała w fabryce manekinów, już opustoszałej, jako że było po godzinach pracy. Leżeli na kanapie w biurze sprzedaży, razem z kilkunastoma manekinami obojga płci, które przyglądały im się badawczo, z grzecznym uśmiechem.

– Sprężaj się – jęczała dziewczyna z oczami wbitymi w wielki zegar zawieszony na ścianie, bo oboje wiedzieli, w czym tkwił problem: dostała zgodę na bycie kobietą, ale jeśli nie doprowadziliby sprawy do końca w ciągu pięciu minut, znowu zamieniłaby się w manekin.

– No szybciej...

W końcu się udało, zaledwie na trzy sekundy przed wyznaczonym im czasem, i manekiny zaczęły bić brawo.

Obudził się i pobiegł pod prysznic. Jak to możliwe, że w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat ma sny jak dwudziestolatek? Może ta starość wcale nie jest tak blisko, jak mogłoby się wydawać? Ten sen go pocieszył.

Kiedy jechał do biura, silnik w aucie wydał dziwny odgłos i nagle zgasł, co spowodowało całą serię hamowań, klaksonów, przekleństw i wyzwisk. Po jakimś czasie zapalił, ale komisarz postanowił, że czas już odwieźć auto do mechanika, za dużo rzeczy w nim się psuło lub nie działało.

Mechanik obejrzał silnik, hamulce, układ elektryczny, i rozczarowany pokręcił głową. Zachowywał się jak lekarz przy łóżku śmiertelnie chorego.

– To auto nadaje się tylko do utylizacji, panie komisarzu.

Słowo „utylizacja” z miejsca doprowadziło go do szału. Kiedy tylko je słyszał albo widział w druku, zaczynał się wkurwiać. I nie tylko to słowo, ale również takie, jak „prekariat”, „aplikować”, „implementacja”, „dedykowany”, „iniektować”, „alokacja”, i dziesiątki innych.

A język włoski kiedy umrze, co było do przewidzenia, skoro już teraz stawał się angielską kolonią, co przekaże potomnym? Brukselizmy? Juryzmy czy anglicyzmy?

– Nie mam takiego zamiaru – odpowiedział niegrzecznie.

Upłynął kolejny dzień świętego spokoju, jak mawiał Fazio. Wieczorem Montalbano poprosił Galla, żeby podwiózł go do domu do Marinelli. Jego auto będzie gotowe dopiero za trzy dni.

Kiedy zjadł zupę rybną i gulasz warzywny przygotowane przez Adelinę, został jeszcze na werandzie.

Zupełnie nie wiedział, co ma zrobić. Chciałby wyjechać jutro do Boccadasse, ale może powinien podjąć taką decyzję wcześniej, zbyt dużo czasu upłynęło w spokoju i dlatego prawdopodobieństwo, że wreszcie coś się wydarzy, było bardzo duże.

Po wypaleniu dwóch papierosów zachciało mu się położyć i zacząć czytać Prezydenta Simenona, kupionego wcześniej, kiedy pojechał do warsztatu.

Zamknął drzwi na werandę, poszedł po książkę, którą położył na stołku, i zorientował się, że zostawił zapalone światło przy wejściu.

Ruszył, żeby je zgasić, i dopiero teraz zobaczył białą kopertę, którą ktoś wsunął pod drzwi. Normalna koperta, jak na list.

Czy leżała tu już, kiedy wrócił do domu, i nie zauważył jej? Albo może ktoś ją wsunął, gdy on siedział na werandzie?

Na kopercie napisano drukowanymi literami długopisem: DLA SALVA MONTALBANA. A na górze, z lewej strony: Polowanie na skarb. Otworzył ją. Pół kartki z czymś w rodzaju wierszyka:

*Trzy razy trzy
to nie trzydzieści trzy,
a sześć razy sześć
nie da ci sześćdziesiąt sześć.*

*Otrzymasz rozwiązanie
inne nadspodziewanie.
Jeśli do tego dodasz lata twego życia,
zagadka nic już nie będzie miała do ukrycia.*

Co to, kurwa, jest? Jakiś żart? Dlaczego nie wysłali tego pocztą?

Nie chciało mu się rozwiązywać zagadek i bawić w polowanie na skarb o pierwszej w nocy.

Wsadził kopertę do kieszeni marynarki, którą zostawiał zazwyczaj przy samym wejściu, wziął książkę i poszedł się położyć.

*

Była prawie dziewiąta, kiedy przyszedł do biura. W nocy późno zgasił światło, bo nie mógł porzucić lektury. Po jakichś dziesięciu minutach zawołał go Catarella.

– Panie komisarzu, afera! Na telefonie czeka jakaś kobieta, ale tak się drze, że nie wiem, co mówi, bo cały czas się drze!

– Pytała o mnie?

– Trudno wyczuć.

Nie miał zamiaru dawać się ogłuszać przez jakieś krzyczące kobiety, które tak się darły, że nie było wiadomo, o co chodzi, bo się darły.

– Połącz ją z panem Augello.

Po niespełna trzech minutach pojawił się Mimì, bardzo poważny i dość poruszony.

– To jakaś histeryczka, mówi, że poszła wyrzucić śmieci i zobaczyła trupa w śmietniku.

– Podała dres?

– Ulica Brancatiego osiemnaście.

– Dobra, bierz kogoś i jedźcie tam.

Augello zawahał się.

– Tylko że powiedziałem Bebie, że dzisiaj rano odwiozę ją z Salvucciem...

Kolejna upierdliwość. Pewnie, że było mu miło, kiedy Mimì z Bebą dali synowi właśnie jego imię.

Ale nie znosił, kiedy nazywali go Salvuccio.

– Rozumiem. W takim razie ja tam pojedę. A ty zawiadom techników i doktora Pasquano.

Gallo za żadne skarby nie umiał znaleźć tej przeklętej ulicy Brancatiego.

Już od pół godziny krążyli na próżno. I nikt, kogo pytali, nigdy o niej nie słyszał.

– Pojedźmy zapytać w ratuszu – zaproponował Fazio.

Ale Gallo się uparł, sam chciał ją znaleźć. A nie było nic gorszego od Galla, kiedy wkurzał się za kierownicą. I rzeczywiście, wjechał na pełnym gazie pod prąd w jakąś ulicę.

– Uważaj!

– Przecież nikogo nie ma!

Dokładnie w tej chwili zobaczyli inne auto, które pojawiło się nagle zza rogu.

Montalbano zamknął oczy. Ulica była wąska, Gallo zahamował z całych sił i uderzył w stragan z warzywami i owocami.

Samochód zamienił w miazgę cały towar: pomidory, pomarańcze, cytryny, winogrona, cykorię, ziemniaki, bakłażany.

Właściciel wybiegł wściekły i zaczął się awanturować. Mogli przez to stracić parę godzin, ale Montalbano pokazał dokumenty i poprosił o przesłanie rachunku na komisariat. Handlarz

natychmiast się zgodził, dzięki temu trzykrotnie odbije sobie szkodę.

I znowu zaczęli krążyć w poszukiwaniu ulicy.

Nagle komisarzowi przyszło do głowy kryterium, według którego wszystkie biura zajmujące się toponomastyką, wszystkie bez wyjątku, zarówno te na wsi, jak i w miastach, przyznawały nazwy ulicom. Te najbardziej centralne zawsze nosiły nazwy abstrakcyjne, jak wolność, republika, niepodległość. Te troszkę od centrum oddalone – nazwiska nieżyjących polityków z przeszłości, Cavoura, Zanardello, Crispiego. Ulice położone za nimi dostawały za patronów także polityków, ale bardziej współczesnych, jak De Gasperi, Einaudi, Togliatti. Najdalej od centrum łądownali bohaterowie, żołnierze, matematycy, naukowcy, przemysłowcy, na dentystach skończywszy. Ostatni otrzymywali swoje uliczki na peryferiach, najbardziej nędzne, na granicy miasta, artyści, pisarze, rzeźbiarze, poeci, malarze i muzycy.

Istotnie ulica Vitaliana Brancatiego składała się z czterech domczków pomiędzy którymi spacerowały sobie kury. I to w pewnym sensie było szczęściem.

Okazało się bowiem, że wokół ubranej na czarno, około czterdziestoletniej kobiety, siedzącej na krześle, ze zmoczoną chustką na czole, stali tylko siedemdziesięciolatka i dwóch mężczyzn. W innych dzielnicach zebrałyby się tłum, który trzeba by było rozpędzać pałkami.

Przed jednym z domków stał pojemnik na śmieci. Trup musiał być właśnie tam.

– Ktoś z was jeszcze zaglądał do pojemnika oprócz tej pani?

Staruszka i mężczyźni pokręcili przecząco głowami. Fazio otworzył pojemnik i Montalbano stanął na palcach, żeby zajrzeć do środka.

Na dnie było tylko to ciało.

– Ja pierdołę – powiedział komisarz.

I dodał, zwracając się do Fazio:

– Przytrzymaj.

Chciał się upewnić, bo tak bardzo zadziwiło go to, co zobaczył.

Fazio przytrzymał obiema rękami pojemnik, żeby się nie przewrócił. Montalbano podskoczył, chwycił wyprostowanymi rękami za krawędź i zajrzał do środka, z brzuchem opartym o brzeg. Wyciągnął rękę, dotknął ciała, wycofał się i ponownie stanął na ziemi.

Fazio patrzył na niego pytającym wzrokiem. Nawet siedząca kobieta wstała i podeszła razem z innymi. Komisarz jednak stał, nic nie mówiąc, oszołomiony i zakłopotany.

– To dmuchana lalka – powiedział w końcu.

Ile ich było w Vigacie?

– I dobrze – powiedział Fazio. – Możemy ją tam zostawić.

– Nie, wyciągnijcie ją.

Faziowi pomógł Gallo. Nic nie mówiąc, położyli znalezisko na ziemi.

Nagle wszyscy zamilkli i spowaźnieli.

Lalka była bowiem identyczna jak ta, którą Gregorio Palmisano trzymał w łóżku. Brak jej było części włosów, oka, jedna pierś była nieco pognieciona, a ciało pełne okrągłych i kwadratowych gumowych łąt.

Dokładnie w tej samej chwili pojawił się Pasquano i razem z nim samochód do przewozu zwłok. Kiedy tylko Montalbano zobaczył doktora, pomyślał, że wolałby teraz siedzieć w lesie otoczony przez dzikie zwierzęta. I rzeczywiście Pasquano, jak przystało na skurwysyna, którym był, zaczął odstawiać szopkę.

Pochylił się nad lalką i zaczął ją oglądać.

– Zwłoki nie noszą śladów przemocy – powiedział.

– Ale przecież to lalka – poinformowała go kobieta, która ich zawiadomiła i stała tam nadal, bardziej zmieszana niż dotychczas.

– Zabierzcie ją stąd – powiedział Pasquano. – Muszę pracować.

I ciągnął dalej:

– Może zgon nastąpił z przyczyn naturalnych.

– Dosyć już! – ostrzegł Montalbano.

Pasquano podskoczył jak świerszcz, czerwony na twarzy.

– A nie zapyta pan o godzinę zgonu? – warknął. – Czy pan nie

zdaje sobie sprawy, że nie umie odróżnić zwłok od lalki? Następnym razem, zanim zacznie mi pan zawracać głowę, proszę się upewnić, że nieboszczyk jest naprawdę nieżywy i że to nie manekin! Całkiem już się panu popierdoliło!

Przeklinając, wszedł do samochodu i odjechał.

Dwóch noszowych zbliżyło się powoli, z niepewnymi minami. Spojrzeli na lalkę. Potem jeden podrapał się po głowie. Drugi zapytał:

– Mamy ją zabrać?

– Nie, też możecie już iść, dziękuję.

Czuł się upokorzony.

Oczywiście zaraz po odjeździe Pasquana pojawili się wszyscy technicy, furgonetka i dwa samochody.

Z pierwszego wysiadł szef, Vanni Arquà, wyjątkowo według komisarza antypatyczny. On sam zresztą to uczucie odwzajemniał.

– Nic nie wyładowujcie, nie ma takiej potrzeby – powiedział Montalbano technikom, którzy już zaczęli wynosić z furgonetki pudła, skrzynie i aparaty fotograficzne.

– Dlaczego? – zapytał Arquà.

– Bo to pomyłka.

Arquà podszedł zerknąć na trupa, cofnął się, pociemniały na twarzy.

– To jakiś głupi żart!

– To nie żart, Arquà! Chodzi o to, że...

– Natychmiast powiadomię o tym w raporcie kwestora!

– No i chuj.

I oni też odjechali.

Zaraz po nich, jak zwykle ostatni, pojawił się prokurator Tommaseo, który prowadził jak pijany osioł. Wysiadł cały zdyszany.

– Przepraszam, ale miałem mały wypadek...

Zobaczył leżącą na ziemi lalkę i otworzył szeroko oczy.

– Ależ to kobieta! – krzyknął, rzucając się w jej stronę.

Jakiś wampir na głodzie. Kiedy chodziło o kobiety, Tommaseo tracił rozum. Uwielbiał zbrodnie w afekcie, piękne dziewczyny,

które źle kończyły, każdą zbrodnię, która miała coś wspólnego z seksem.

– Co to ma znaczyć? – zapytał, rozczarowany, zobaczywszy w końcu, o co tu chodzi.

– Pani zobaczyła to w pojemniku na śmieci i myślała, że to trup. Niestety nie zdążyłem pana uprzedzić.

– Przepraszam panów – powiedział Tommaseo.

Nie wydawał się w ogóle wściekły jak tamci. Wziął pod rękę Montalbana i odszedł z nim na bok.

– Tak żebym wiedział, to gdzie sprzedają takie lalki? – zapytał cicho.

Wreszcie, gdy wszyscy sobie poszli, Montalbano i Gallo włożyli lalkę do bagażnika i wrócili do komisariatu w całkowitym milczeniu.

Opróżnił biurko ze sterty zalegających je papierzysek i położył na nim lalkę.

– Potrzebuję jeszcze tej drugiej – powiedział do Fazia, który obserwował go bez słowa, nie rozumiejąc, co też komisarzowi chodzi po głowie.

– Jakiej drugiej?

– Tej od Palmisanów.

Fazio popatrzył na niego z otwartymi ustami.

– A to nie ta?

– Nie.

– Na pewno nie ta?

– Na pewno. Co najwyżej bliźniaczka.

– Ale numer! Pomyślałem, że ci z Televigaty wzięli ją sobie, żeby lepiej nakręcić, i ponieważ nie mogli odnieść z powrotem, wyrzucili do śmieci.

– O co zakład, że są dwie?

– Ile takich lalek w ogóle jest w Vigacie?

– Też się zastanawiam. No idź już.

Ale Fazio nie mógł się uspokoić. Wydawał się nieco niepewny.

– Jak mam ją tu przynieść?

– To znaczy? O co ci chodzi?

– Mam zejść po schodach z czymś takim pod pachą? A jeśli wyjrzy któryś z sąsiadów i mnie zobaczy?

– No i co ci powie? Jesteś policjantem na służbie i...

– Ale ja się wstydzę!

– Nie rozśmieszaj mnie!

– Proszę wysłać kogoś innego.

– Fazio, powiedz mi prawdę. Czy to nie jakaś wymówka? Może boisz się tam wrócić?

– No, trochę tak.

Montalbano doskonale go rozumiał.

– To poślij Galla i Galluzza. Aha, tu w komisariacie powinna być jakaś skrzynia, widziałem coś takiego w garażu. Niech zabiorą ją ze sobą i wsadzą tam lalkę.

Źle zrobił, kładąc ją na biurku, nie mógł teraz pisać, a żeby odebrać telefon, musiał kłaść się na jej brzuchu. To zaś napawało go lekkim wstrętem. Poza tym wyciągnęli ją ze śmieci. Lepiej położyć lalkę na ziemi.

Wziął ją pod pachy, przytrzymał i dokładnie w tej samej chwili pojawił się Mimì Augello.

– Pardon, widzę, że jesteś zajęty, wrócę później. Kiedy nachodzi cię ochota na te rzeczy, to lepiej zamykaj drzwi.

– Przestań się wygłupiać, Mimì, i wchodź.

– Dlaczego interesuje cię ta lalka Palmisanów?

– Ty znowu o tym! To nie lalka Palmisanów!

I opowiedział mu całą historię.

– Mają mi przywieźć tę drugą – zakończył.

– Dlaczego? Po co?

– Żeby porównać. Chcę zobaczyć, czy są identyczne.

– A chuj nas to obchodzi, czy są, czy nie!

– Mimì, albo sam sobie odpowiesz dlaczego, albo już nie wiem.

Potem ci wytłumaczę.

Gallo i Galluzzo przywieźli lalkę Palmisanów, którą usadził obok tej ze śmietnika.

– Boże, są identyczne! – krzyknął Gallo, patrząc na nie

zdumiony.

– Jak to możliwe? – zapytał Galluzzo.

Montalbano miał już jakiś pomysł, ale ponieważ nadeszła pora obiadowa, nie odpowiedział. Chciał położyć papiery na miejsce, na biurko, ale ich ilość od razu go zniechęciła. Wyszedł więc, polecivszy Catarelli, żeby sprzątnął mu pokój i załatwił jakieś szkło powiększające.

*

Jadł tak niechętnie, że Enzo go upomniał:

– Dzisiaj chyba nie smakowało.

Nie musiał przejść się na molo i dlatego od razu pojechał do biura. Wszedł do swojego pokoju i o mały włos nie trafił go szlag.

Catarella usadził obie lalki na fotelach, tak że wydawały się zatopione w rozmowie.

Klnąc na czym świat stoi, położył je na ziemi, w odległości pół metra jedna od drugiej. Na biurku, ponownie zawalonym papierami, leżało szkło powiększające. Wziął je, uklęknął pomiędzy lalkami i uważnie obejrzał w powiększeniu oczodół kobiety Gregoria. Potem pochylił się nad zwłokami ze śmietnika. Następnie odkleił gumowe kółko przyklejone tuż nad pępkiem i powtórzył tę operację także z drugą lalką.

Po jakimś czasie usłyszał głos Mimì, który dobiegał od drzwi:

– Coś z tego rozumiałeś, Holmesie?

– Tak.

– Czyli?

– To proste, Watsonie. Zrozumiałem, że jesteś chujek – odpowiedział komisarz, siadając za biurkiem.

– Ale tak na poważnie, czemu się przyglądałeś przez to szkło?

– Sprawdziałem, czy mogę otrzymać wiarygodną odpowiedź na pytanie, które sobie zadałem.

– To znaczy?

– Odpowiem ci innym pytaniem. Według ciebie dwa przedmioty wyprodukowane w tym samym czasie, ale, uwaga, trzymane w dość znacznej odległości od siebie i w różny sposób użytkowane, no bo ja wiem, o, takie rowery na przykład. Czy takie rowery

mogą się zestarzeć, potrącić części, podziurawić się w identyczny sposób, dokładnie w tych samych miejscach?

– Nie rozumiem.

– Dam ci przykład. Powiedzmy, że dwie kobiety idą na targ i kupują dwa identyczne garnki. Po trzydziestu latach znajdujemy jeden z nich. Jest pocięty, brak mu lewej rączki, ma odprysniętą emalię, dwie dziury na dnie, jedną trzymilimetrową, a drugą dwuipółmilimetrową, w odległości czterech centymetrów jedna od drugiej. Jasne?

– Jasne.

– Potem w śmieciach znajdujemy ten drugi garnek, ma takie same uszkodzenia, brak rączki, dziury i tak dalej, i tak dalej. Czy wydaje ci się możliwe, że choć używane przez dwie różne kobiety i być może inaczej, zestarzały się w taki sam sposób?

– Niemożliwe.

– Ale tym lalkom właśnie to się udało. I w tym sęk. Przypatrz im się uważnie.

– Już to zrobiłem i nie mogę tego zrozumieć.

– Wiesz, jakie może być jedyne rozwiązanie?

– Mów.

– Pierwsza lalka, ta Palmisana, zestarzała się, jeśli chodzi o utratę części, powiedzmy z powodów naturalnych, z powodu upływu czasu, no i samego zużycia. W przypadku tej drugiej, tej ze śmietnika, uszkodzenia zostały zrobione celowo.

– Oszalałeś?

– Ależ skąd. Ktoś, kto miał lalkę identyczną jak ta Palmisana, ale w lepszym stanie, zobaczył transmisję w Telewizji, nagrał wszystko i na tej podstawie odtworzył te same uszkodzenia w swojej lalce.

– Skąd to wiesz?

– Jak widzisz, oko tej ze śmietnika wycięto jednym zdecydowanym ruchem, pociągnięciem ostrza. U tej od Palmisana guma wokół brakującego oka sama z siebie rozciągnęła się, co spowodowało wypadnięcie gałki. I jeszcze coś: dziury lalki ze śmietnika zostały zrobione śrubokrętem, jeśli przyjrzesz się im przez szkło, zobaczysz, że są jednakowej

wielkości. Z kolei dziury w tej drugiej są zupełnie inne, jedna mniejsza, jedna większa...

- Ale dlaczego ktoś miałby tracić czas, żeby zrobić coś tak bezsensownego?

- Może jakiś sens w tym jest, a raczej na pewno jest. Tylko nam nie udaje się go znaleźć.

Znowu im się przyjrzeni. Montalbano zapytał:

– Nic nie wiesz o tych lalkach?

– Nigdy ich nie potrzebowałem – odpowiedział Mimì lekko urażony.

– Tego absolutnie nie podaję w wątpliwość. Twoja umiejętność zachowywania się jak kogut w kurniku była i jest niepodważalna. Chciałem tylko dowiedzieć się, czy mógłbyś udzielić mi tej prostej informacji.

Augello zastanowił się chwilę, po czym powiedział:

– Widziałem kiedyś film dokumentalny na satelicie. Chodzi o stare modele, takie prymitywne. Teraz robią je z innych materiałów, na przykład z pianki, ale już nie są dmuchane. Wydają się zupełnie jak żywe, aż strach bierze.

– Czyli te dwie ile mają lat?

– Myślę, że ze trzydzieści.

– Dzisiaj rano Tommaseo zapytał, gdzie je sprzedają, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Może ty wiesz?

– Na pewno w internecie...

– Daj spokój z internetem. Mówię o tych tu. O internecie to powiedz Tommaseo, on chciał sobie taką kupić. Gdzie można je było zdobyć trzydzieści lat temu?

– Z pewnością nie produkowali ich we Włoszech. Pamiętaj, że nawet z wypuszczonym powietrzem nie zajmowały mało miejsca. Przysyłali je pocztą z zagranicy, tak aby nie było wiadomo, co jest w środku. Pewnie pisali, że to ubrania czy coś w tym stylu. Trzeba było tylko wiedzieć, na jaki adres złożyć zamówienie.

– Podsumowując, dwie osoby z Vigaty, Gregorio Palmisano i ktoś jeszcze, kogo nie znamy, zamówiły w tym samym czasie, trzydzieści lat temu, takie same lalki.

– Na to wychodzi.

– Potem, trzydzieści lat później, ktoś widzi w telewizji lalkę Palmisana i tak się pastwi nad drugą, żeby wyglądała identycznie.

– No dobra, Salvo, ale chodzi cały czas o jedno: dlaczego to zrobił?

– I dlaczego pozbył się jej, wrzucając do śmietnika? – odpowiedział komisarz.

Zapadło milczenie.

– Wiesz co – powiedział nagle Mimì, patrząc mu w oczy. – Czy ty przypadkiem nie masz obsesji?

– Niby jakiej?

– Na punkcie tych lalek. Może chcesz rozpocząć śledztwo, jak w przypadku zabitego konia?

– Daj spokój, co ci przychodzi do głowy! Tak sobie mówię, dla zabicia czasu.

Ale nie mówił prawdy. W tej sprawie było coś niepokojącego.

Kiedy poprosił Galla, żeby odwiózł go do Marinelli, pomyślał, że nie może zostawić lalek w biurze. Jeszcze Catarella wpuści kogoś do pokoju podczas jego nieobecności i dopiero by wyszedł na głupka! Mógłby też zanieść je do magazynu albo nawet wyrzucić.

Coś mu mówiło, że lalki mogły jeszcze się przydać.

Włożył je do bagażnika swojego samochodu.

W domu umieścił obydwie w schowku, w którym Adelina trzymała szczotki i inne rzeczy potrzebne do sprzątanania. Jeszcze raz dokładnie im się przyjrzał.

A jednak lalka ze śmietnika nie była taka sama jak jej bliźniaczka.

Teraz kiedy obie znajdowały się w pozycji pionowej, lepiej było widać różnicę. Pierś drugiej lalki była co prawda pomarszczona, ale miała trzy zmarszczki mniej. To była najtrudniejsza rzecz do podrobienia. I nie wyszła za dobrze.

Może dlatego ten ktoś wyrzucił ją do śmietnika?

A to znaczyło, że będzie poprawka. Ale gdzie on znajdzie trzecią lalkę?

Biorąc papierosy i zapalniczkę z kieszeni, dotknął koperty.

Wyjął ją i obejrzał.

To ta znaleziona poprzedniego wieczoru pod drzwiami.
Kompletnie o niej zapomniał.

Polowanie na skarb.

Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i opadły mu ręce.

Kawałek sera, trochę rodzynek, pięć sardynek w oliwie, ogólnie słabo. Na szczęście Adelina kupiła mu świeży chleb.

Otworzył piekarnik. I zawył ze szczęścia jak wilk.
Wystarczająca dla czterech osób porcja zapiekanki z bakłażanów po parmeńsku, zrobiona jak Pan Bóg przykazał!

Włączył piecyk, żeby podgrzać jedzenie, poszedł na werandę, nakrył stół i wybrał butelkę wina na specjalne okazje. Pocekał, aż zapiekanka się podgrzeje, i przeniósł ją na werandę w naczyniu, nawet nie przełożywszy na talerz.

Kiedy skończył jeść półtorej godziny później, nie musiał nawet myć naczyń. Dokładnie wytarł je chlebem, rozkoszując się fantastycznym sosem.

Wstał, poszedł po list i pióro i ponownie usiadł na ławce.

*Trzy razy trzy
to nie trzydzieści trzy*

Montalbano napisał 9.

*a sześć razy sześć
nie da ci sześćdziesiąt sześć.*

Napisał 36.

*Otrzymasz rozwiązanie
inne nadspodziewanie.*

9 plus 36 to 45.

*Jeśli do tego dodasz lata twego życia
zagadka nic już nie będzie miała do ukrycia.*

Miał 57 lat, zatem wynikiem była liczba 9364557. Numer telefonu, to jasne. Bez kierunkowego, czyli należał do kogoś w prowincji Montelusa.

I co miał teraz zrobić?

Dać sobie spokój z tymi głupotami czy grać dalej?

Łatwo dał się pokonać ciekawości. Ostatnio nie miał przecież wiele do roboty.

Od lat nie zdarzały mu się takie leniwe dni. Wstał, poszedł do jadalni, wykręcił numer.

– Słucham? – odezwał się męski głos.

– Mówi Montalbano.

– Pan jest komisarzem?

– A z kim rozmawiam?

– Nie poznaje mnie pan? Jestem barmanem z Marinelli.

– Przepraszam cię, Tano, ale ponieważ...

– Zajdzie pan do nas?

– Niby po co?

– Odebrać list, który dla pana zostawili. Nikt nic nie mówił?

– Nie.

– Jeśli pan chce, mogę go przynieść po pierwszej, kiedy zamkniemy.

– Nie, dziękuję, będę za pół godziny.

Przed wyjściem sprawdził, ile whisky miał jeszcze w domu. Pół butelki.

Skoro już tam szedł, warto było dokupić jedną. Źle obliczył odległość i dojście do baru Marinella zajęło mu jednak aż czterdzieści minut.

Kiedy wszedł, Tano odkładał słuchawkę.

– Gdyby przyszedł pan wcześniej, mógłby z nim porozmawiać.

– Z kim?

– Z osobą, która zostawiła list do pana.

Wątpił, żeby ta osoba chciała z nim porozmawiać.

– Dzwonił?

– Dopiero co.

– Czego chciał?

– Upewnić się, czy przyszedł pan po list, odpowiedziałem, że zaraz pan tu będzie.

– Jaki miał głos?

– To pan go nie zna?

– Nie.

– Według mnie to starszy mężczyzna. Ale może udawał. Nie przywitał się, chciał tylko wiedzieć, czy pan tu był. To ten list.

Wyjął go spod kontuaru i wręczył komisarzowi.

Koperta identyczna jak ta, którą już otrzymał, z tak samo napisanym adresem i tym samym nagłówkiem „Polowanie na skarb”. Wsadził ją do kieszeni, kupił butelkę, zapłacił i wyszedł. Droga powrotna zajęła mu prawie godzinę. Szedł wolno, chciał nacieszyć się spacerem. W domu usiadł wygodnie na ławce i otworzył kopertę. W środku znalazł połowę kartki papieru z wierszykiem.

*Teraz kiedy bierzesz już udział w zabawie
i przyjmując wyzwanie, powiedziałaś hop,
za moją nitką podążaj łaskawie
i staraj się wpaść na właściwy trop.*

*A zatem, Montalbano, drogi detektywie,
coraz węższą drogą podążaj, przyjacielu,
aż nagle się wygnie i dosyć leniwie
kołem na sam szczyt doprowadzi do celu.*

*Jeżeli odgadniesz te moje wskazówki,
na koniec ścieżki niech cię wiodą oczy,
aż miejsce znajome u kresu wędrówki
ujrzysz, w nim zaś kolejna rzecz znów ciebie zaskoczy.*

Pomijając fakt, że metrum wiersza wołało o pomstę do nieba, to nic z tego nie zrozumiał. No, z wyjątkiem jednego. Autor musiał być wyjątkowo zarozumiałym skurwysynem. Można to było poznać po tym „Montalbano, drogi detektywie”, napisane przez kogoś, kto uważał się co najmniej za Boga Ojca.

W każdym razie nie mógł rozwiązać zagadki tej nocy. Potrzebował do tego mapy topograficznej. Dlatego lepiej było pójść spać.

Nie spał dobrze, w dziwnych snach dmuchane lalki zadawały mu zagadki, których nie umiał rozwiązać.

Gallo przyjechał po niego o wpół do dziewiątej.

– Mam prośbę. Kiedy mnie wysadzisz, pojedź do urzędu miasta i poproś o mapę topograficzną Vigaty. Albo lepiej atlas. Jeśli nie mają, niech dadzą kopię nowego planu zagospodarowania przestrzennego. A może mają zdjęcia lotnicze miasta.

– Komisarzu, o Jezusie przenajśrodszy! – krzyknął Catarella, kiedy tylko Montalbano wszedł do komisariatu. – Bo tu taki pan na pana wyczekuje i chce z panem osobiście w oczy porozmawiać.

– Kto to?

– Mówi, że jego nazwisko jest takie, że się nazywa Girolamono Cacazzone.

– Na pewno tak się nazywa?

– Kto ma być tego pewny? Ja, pan czy Cacazzone?

– Ty.

– Ja z mojej strony to bardzo pewny jestem. Może to on nie jest pewny, czy się nazywa Cacazzone, tak jak ja jestem pewny, że on się tak jednak nazywa!

– Dobra już, wprowadź go.

Po paru minutach w gabinecie pojawił się bielutki jak gołąbek osiemdziesięciolatek. Bielutki nie z powodu wieku. Był albinosem. Średniego wzrostu, w wymiętym ubraniu, zakurzonych butach, wyglądał jak ktoś, kto wszędzie czuje się nie na miejscu, nawet we własnym domu. Jak na swój wiek, dość dobrze się trzymał, tylko trochę trzęsły mu się ręce.

– Nazywam się Girolamo Cavazzone.

No jasne, Catarella znowu przekręcił nazwisko.

– Pan chciał ze mną rozmawiać?

– Tak.

– Proszę siadać, słucham pana.

Gość rozejrzał się dokoła z przerażoną miną kogoś przebudzonego z koszmaru, kto nie umie zorientować się, gdzie się znajduje.

– Więc o co chodzi? – zachęcił go komisarz.

– Ano tak, przepraszam. Pozwoliłem sobie, jak to mówią, niepokoić pana, żeby poprosić o radę. Może jednak nie jest pan najwłaściwszą osobą, ale ponieważ nie wiem, do kogo...

– Słucham pana – uciął Montalbano.

– Pan na pewno to wie, a może nie, w każdym razie jestem siostrzeńcem Gregoria i Cateriny Palmisanów.

– Ach tak? Nie wiedziałem, że mieli rodzinę.

– Od jakichś dwudziestu lat nie utrzymywaliśmy kontaktów. Sprawy rodzinne, poszło o spadek... nie wiem, czy pan... W każdym razie moja matka nic nie odziedziczyła, wszystko poszło na pozostałą dwójkę, Gregoria i Caterinę, no i...

– Po kolei proszę.

– Przepraszam... tak mi przykro... Moim dziadkom ze strony matki, Angelowi i Matyldzie Palmisanom, rok po ślubie urodziła się córka Antonia. Proszę pamiętać, że babcia Matylda urodziła ją, kiedy nie miała jeszcze dziewiętnastu lat. Antonia w wieku osiemnastu lat wyszła za Maria Cavazzone i urodziła mnie. Ale osiemnaście lat po urodzinach Antonii babcia Matylda, wtedy w wieku trzydziestu siedmiu lat, niespodziewanie urodziła syna Gregoria. A potem jeszcze Caterinę. Nie wiem, czy wszystko jasne.

– Nawet bardzo – powiedział Montalbano, który w pewnej chwili nic już nie rozumiał, ale nie chciał powtórki z tej całej genealogii.

– Tak więc jako bliski krewny chciałbym dowiedzieć się, czy... skoro tak się rzeczy mają... ponieważ okazuje się... ale, rzecz jasna, w granicach pełnej legalności...

– Ale o czym pan mówi?

– No więc tak, nie chciałbym wydać się panu kimś, kto wykorzystuje... nieszczęście to zawsze nieszczęście, to jasne, trzeba uszanować, ale ponieważ... oczywiście, jeśli prawo na to zezwala...

Zamilknął, zaczerpnął oddechu i wypalił:

– Nie można uznać ich za zmarłych?

– Niby kogo?

– Wujostwa, Gregoria i Cateriny Palmisanów.

– Są szaleni, ale żywi.

– Ale są niezdolni do myślenia ani rozumienia, zatem...

– Niech pan posłucha, panie Cacazzone... – powiedział zniecierpliwiony Montalbano, umyślnie robiąc błąd w nazwisku.

– Cavazzone.

– Rozmawiamy szczerze? Pan przyszedł zapytać, czy miałby szansę odziedziczyć po wujostwie, mimo że oni nadal żyją, choć to tak naprawdę żadne życie, skoro zostali uznani za niepoczytalnych. Czy tak?

– No w pewnym sensie tak.

– Nie, panie Cavazzone, to jedyny możliwy powód pańskiej wizyty. A zatem informuję pana, że ja się na tych sprawach nie znam, proszę porozmawiać z jakimś prawnikiem. Do widzenia.

Nawet nie podał mu ręki. Strasznie wkurzył go ten osiemdziesięcioletek jedną nogą w grobie, który chciał żerować na nieszczęściu biednych staruszków. Gość poderwał się jeszcze bardziej skonfundowany, niż kiedy tu przyszedł.

– Do widzenia.

I wyszedł.

– W urzędzie – powiedział, wchodząc, Gallo – nie mają mapy Vigaty ani nawet spisu ulic czy zdjęć lotniczych.

– A coś w ogóle mają?

– Nowy plan zagospodarowania przestrzennego, sześć wielkich arkuszy obejmujących całe miasteczko, ale ponieważ plan nie jest jeszcze zatwierdzony, nie mogą go nikomu wykazać.

– Chyba pokazać?

– Nie, tak właśnie mi powiedzieli.

– A co niby znaczy wykazać?

– Okazać.

Kolejne straszne słowo, równie piękne jak ta cała utylizacja i inne.

- A o to wykazanie, powiedział mi taki urzędnik, musi ktoś kompetentny oficjalnie wystąpić, na piśmie i na papierze firmowym.

- A kto niby jest kompetentny?

- Na przykład pan.

- Ale kompetentny do czego?

- Może do tego, żeby móc prosić o wykazanie?

- Dobra, zaraz napiszę ci to podanie i zaniesiesz im.

- Komisarzu, mam w telefonie córkę pani Cirribbicciò.

To na pewno Pasquale, syn Adeliny, znany przestępca i złodziej, bywalec więzienia. Tak polubił Montalbana, mimo że ten aresztował go już parę razy, że chciał, aby trzymał mu do chrztu syna. Prośba ta stała się przyczyną kłótni z Livią, która w swej północnej mentalności nie rozumiała, że komisarz policji może być ojcem chrzestnym syna przestępcy.

- Dobrze, połącz mnie.

- To ja, Pasquale Cirrinciò.

- O co chodzi, Pasquà?

- Chciałem tylko powiedzieć, że zawiozłem mamę do szpitala.

- Boże, a co jej się stało?

- Bardzo się wystraszyła w pana domu w Marinelli.

- Ale dlaczego?

- Chciała wziąć szczotkę, otworzyła schowek i wyleciały na nią zwłoki dwóch kobiet. Tak przynajmniej pomyślała i potwornie się przeraziła.

Boże święty, te lalki! Zapomniał zostawić karteczkę z wyjaśnieniem dla Adeliny!

- Ale to nie zwłoki, tylko...

- Wiem, komisarzu. Mama wyleciała z domu, krzycząc jak opętana, i potem zemdląła. Kiedy odzyskała przytomność, zadzwoniła do mnie z komórki. Natychmiast do niej przyjechałem, ale zanim zabrałem ją do szpitala, wszedłem do domu, żeby zobaczyć, co się stało. Rozumie mnie pan? No bo jeśli to były prawdziwe trupy, które chciał pan jakoś ukryć, to przecież mogłem pomóc...

– W jaki sposób?

– Jak to w jaki? Mogłem wybawić pana z kłopotu i pozbyć się trupów. Kwas załatwiłby sprawę migusiem.

Co mu, kurwa, przyszło do głowy? Myślał, że trzymam w domu jakieś zwłoki, czekając na okazję, żeby się ich pozbyć? Lepiej zmienić temat, bo jeszcze musiałbym mu podziękować za wspaniałomyślną propozycję pomocy w ukryciu ciała.

– Jak się teraz czuje Adelina?

– Ma czterdzieści stopni gorączki. Martwi się o pana. Powiedziała, żebym pana uprzedził, że nie zdążyła nic na wieczór ugotować.

– Dziękuję za wszystko, uściskaj ją i życz zdrowia.

Pasquale nie odpowiedział, ale ciągle się nie rozłącał.

– Coś jeszcze?

– Tak. Chciałbym coś powiedzieć, jeśli można.

– Oczywiście.

– Chciałem powiedzieć, że ponieważ pan jest tu sam, a narzeczona rzadko przyjeżdża, to...

– Tak?

– No to że jasne, dlaczego czuje pan taką potrzebę...

– Ale przecież twoja matka o mnie dba.

– Ale tego matka nigdy panu nie da.

– O co ci chodzi?

– Bez obrazy, jeśli pan chce jakąś laseczkę, to proszę zadzwonić i zaraz coś znajdę. Nie musi się pan wyżywać na lalkach. Przywiozę jakąś ładniutką Rosjaneczkę albo Mołdawiankę, wedle życzenia. Ręczę za jej czystość i zdrowie. I to gratis, bo dla pana. Chce pan?

Teraz kiedy zrozumiał, o co chodzi, Montalbano całkiem ośłupiał. Nie był w stanie odpowiedzieć.

– Słyszysz mnie pan, komisarzu?

Odłożył słuchawkę. Tylko tego brakowało! Jak on teraz wybije z głowy Adelinie i jej synalce, że wcale nie śpi z dmuchanymi lalkami? Posiedział tak parę minut, niezdolny do niczego innego oprócz przekleństw.

Gallo wrócił po półgodzinie.

– Załatwione.

– A gdzie te mapy?

– Muszą je tylko skopiować.

– Tyle czasu im to zajmie?

– To pan nie wie, jak to jest w biurze? Chcieli mi je przygotować na jutro rano, ale udało mi się wytargować dzisiaj po południu, o czwartej. Zażyczyli sobie dziesięć euro. Sześć za fotokopie i cztery za pośpiech.

– Proszę.

Piękne, kurwa, polowanie na skarb.

Tymczasem musiał już zapłacić dziesięć euro. Tajemniczy gracz powinien uzbroić się w cierpliwość, pewnie dopiero jutro rozwiąże zagadkę.

Pokręcił się w biurze do pory obiadowej i wyszedł zjeść, śmiertelnie znudzony.

Czy to możliwe, że nie było już poważnych kradzieży, jakiejś strzelaniny, próby zabójstwa? Wszyscy nagle zamienili się w świętych?

U Enza najadł się jak prosię, trochę dlatego że był głodny mimo wczorajszej zapiekanki z bakłażanów, a trochę żeby wynagrodzić właścicielowi ostatnie rozczarowania. Zjadł całą przystawkę, czyli spróbował wszystkiego, co było. Spaghetti z naprawdę świeżymi małżami i pięć naprawdę barwnych barwen.

Uznał, że Enzo brakowało kulinarnej fantazji i przygotowywał ciągle te same dania. Ale produkty były zawsze pierwszej świeżości i przyrządzał je bosko. Montalbano lubił fantazję w kuchni, ale tylko kiedy była dziełem mistrza gotowania, w przeciwnym razie lepiej było pozostać w sferze normalnych dań.

Tym razem musiał przejść się mołem aż do latarni. Usiadł na

płaskiej skale i posiedział tak ze dwadzieścia minut. Delektował się zapachem wodorostów i zielonego mchu o intensywnej woni, pełnego morskich stworzonek, który pokrywał skałę w miejscu, w którym stykała się z morzem.

Minęła czwarta, kiedy Gallo przyniósł mu fotokopie planu zagospodarowania. Sześć wielkich, zwiniętych i ponumerowanych płacht.

Nie mógł ich zabrać do domu, jeszcze tylko map mu tam brakowało. Lalki już miał.

Na oko obliczył, że gdyby odsunął dwa fotele i kanapę, miałyby wystarczająco dużo miejsca, żeby rozłożyć sześć płacht zgodnie z ich numeracją.

Przesunął meble i położył na podłodze pierwszą mapę. I od razu kłopot, bo zaraz po rozłożeniu zaczynała się zwijać. Wziął z biurka szkło powiększające, trzy instrukcje obsługi, kodeks karny, dwa pudełka spinaczy, pojemnik z długopisami, w sumie to wszystko, co mogło się przydać do trzymania mapy i nie zabierało zbyt wiele miejsca. Po jakimś kwadransie udało mu się rozłożyć mapy, dociskając je strategicznie rozmieszczonymi przedmiotami.

Całość jednak okazała się zbyt duża, żeby oglądać ją w pozycji stojącej. Wobec tego usiadł na krześle.

Wyciągnął z kieszeni kartkę z wierszykiem.

Jak to się dzieje, że Mimì Augello zawsze musi się napatoczyć w takiej chwili?

– Co dzisiaj dają? Supermana? Człowieka pająka? 007 Pozdrowienia z Vigaty ? A może wygłosisz przemówienie do narodu? – zapytał.

Montalbano nie odpowiedział i Augello poszedł sobie, kręcąc głową.

Z pewnością, pomyślał komisarz, jest przekonany, że coraz bardziej dziecinnieję. Dlaczego jednak nie myślał o sobie, był młodszy, a już musiał nosić okulary.

Pierwsza zwrotka wierszyka nie była mu do niczego potrzebna. Wskazówki zaczynały się w drugiej, a dokładnie od słów: coraz

węższą drogą podążaj, przyjacielu.

Wstał, wziął długopis i kartkę, ponownie pochylił się nad mapą.

Jednak źle widział, słońce zaszło i okno nie przepuszczało już wiele światła.

Znowu wstał, zapalił główne światło i lampę na biurku, kierując ją w stronę map. Usiadł na krześle. Światło lampy nie było właściwie ustawione.

Wstał, poprawił, usiadł. Zadzwoił telefon.

Wstał, przeklinając i śmiejąc się, zupełnie jak w jakiejś sztuce Becketta.

– Panie komisarzu, afera!

Ten początek jak z tragedii greckiej Catarella zazwyczaj rezerwował dla telefonów od kwestora, bóstwa najwyższego. Zeusa, który zstępuje z Olimpu.

– O co chodzi?

No i rzeczywiście.

– No bo pan kwestor nasz chce z panem natychmiastowo rozmawiać!

– Połącz mnie z nim.

– Montalbano? O co tu chodzi?

– To znaczy, panie kwestorze?

– Pan Arquà przesłał mi szczegółowy raport.

A jednak ta pieprzona menda to zrobiła! Udajmy, że o niczym nie wiemy.

– Jaki raport, panie kwestorze?

– W sprawie wezwania przez pana techników.

– Aha, to już wiem.

– Według doktora Arquà albo chciał pan zrobić głupi żart jemu i jego ludziom, doktorowi Tommaseo i doktorowi Pasquano...

– Ileż tych doktorów, zupełnie jak w szpitalu!

– ...albo nie jest pan już w stanie odróżnić trupa od dmuchanej lalki.

W tym momencie Montalbano postanowił uciec się do najbardziej ratunkowego pogotowia, jak mawiał Catarella, czyli do języka urzędowego.

– Zakładając, że co się tyczy drugiej części rzeczony raportu,

opracowanego i przesłanego panu przez doktora Arquà, w którym to, jak się teraz dowiaduję, sformułowano i wystosowano pod moim adresem nie tyle zarzut związany z zaszłą sytuacją, ile pożałowania godne i niepoparte dowodami pomówienie, które jednakowoż okazać się może dla mnie obraźliwe, skorzystać muszę z przysługującego mi decyzją wyższych czynników prawa do obrony przed wyżej wymienionym...

– Niech pan posłucha, tutaj chodzi o...

– Proszę dać mi skończyć.

Oschle i konkretnie, jak przystało na osobę, której godność wystawiono na szwank.

– Co się zaś tyczy części pierwszej, tej, w której rzeczony doktor przypisuje mojej osobie odpowiedzialność za zaistniałą sytuację, zmuszony jestem, wbrew samemu sobie, poinformować instancję kompetentną i do zawiadywania takimi przypadkami powołaną, że odpowiedzialność spoczywa w powyższym przypadku w sposób bezsporny i łatwy do udowodnienia na pańskich oto barkach.

– Czylich, bo nie rozumiem?

– Pańskich, czyli na panu, panie kwestorze.

– Na mnie?

– Tak jest. Z należnym i niezmiennym szacunkiem informuję, że pan, zapoznawszy się z raportem Arquà i poprosiwszy mnie o wyjaśnienie powyższego dokumentu, w rzeczywistości strofuje mnie z powodu powziętego apriorycznie przekonania i jednocześnie nie robi nic innego poza wysunięciem hipotezy, jakobym był osobą zdolną do idiotycznych żartów, burząc w ten sposób jednym gestem moją przykładną, wzorcową i wzorową karierę zawodową, zbudowaną z poświęceń i z całkowitego oddania się pracy...

– Niech pan przestanie, Montalbano!

– ...jak i z wyrzeczeń, uczciwości, braku jakichkolwiek uchybień czy potknięć niezależnie od zaistniałych okoliczności i warunków...

– Proszę tak nie mówić, Montalbano! Przecież nie chciałem pana obrazić!

Teraz nadszedł czas na zastosowanie łamiącego się głosu, na skraju łez.

– A jednak obraził mnie pan! Może niechcący, ale obraził! A ja tak bardzo nad tym boleję, tak przeżywam...

– Proszę posłuchać, Montalbano, nie miałem pojęcia, że ta sprawa tak pana poruszy. Dajmy już z tym spokój. Przy pierwszej nadarzącej się okazji wrócimy do tej rozmowy, dobrze? Ale spokojnie, bez nerwów, zgadza się pan ze mną?

– Dziękuję, panie kwestorze.

Pogratulował sobie świetnie i sprawnie zagranej roli. Zawołał Catarelłę.

– Nie ma mnie dla nikogo.

Ponownie usiadł na krześle i zaczął przyglądać się mapom, analizując każdy sektor i robiąc notatki.

Po półgodzinie okazało się, że jakieś sześćdziesiąt procent ulic w Vigacie w którymś momencie się zwężyło. Ale tylko trzy się zakrzywiły. Zapisał ich nazwy i przeszedł do drugiej wskazówki, według której droga kołem na sam szczyt doprowadzi.

Jak ulica mogła zamienić się w koło?

A może była tam pętla autobusu, do którego powinien wsiąść. Przyjrzał się ponownie tym trzem ulicom.

Nagle zorientował się, że jedna z nich, ulica Garibaldiego, po zwężeniu się na końcowym odcinku jak noszone zbyt długo spodnie, przechodziła w rondo.

Czyli o tym kole mówił wierszyk!

Za rondem ulica, nosząca tu nazwę dei Mille, wspinała się na wzgórze, mijając usytuowany w połowie drogi cmentarz i przecinając nowe dzielnice na północy miasta. To była ta droga, nie miał wątpliwości.

Spojrzał na zegarek. Wpół do szóstej. Czasu miał pod dostatkiem. Zaklął, kiedy przypomniał sobie, że dopiero jutro rano mieli przyprrowadzić mu samochód z warsztatu. Ale co szkodziło spróbować?

– Mówi Montalbano, chciałem dowiedzieć się, czy moje auto...

– Za pół godzinki może je pan odebrać.

Kim był święty opiekun mechaników? Nie wiedział. Dla pewności podziękował wszystkim świętym jak leci.

Wyszedł z pokoju i powiedział Catarelli, że idzie sobie i już dzisiaj nie wróci.

– Ale jutro rano to pan chyba wróci?

– Bez obaw, do zobaczenia!

Gdyby umarł, to Catarella z pewnością też skończyłby z tęsknoty, jak niektóre psy. Ciekawe, czy Livia byłaby zdolna do takiej śmierci, gdyby go zabrakło?

– A może odwrócimy pytanie? A gdyby Livii zabrakło, to ty umarłbyś z tęsknoty? – zapytał niesympatycznie drugi Montalbano.

Wolał mu nie odpowiadać.

Trzy kwadranse później wjechał na rondo i skręcił w ulicę dei Mille.

Minął cmentarz i zobaczył za nim szare blokowiska, coś pomiędzy meksykańskim więzieniem o zaostrzonym rygorze a ulokowanym w bunkrze szpitalem psychiatrycznym dla obłąkanych szaleńców i zabójców. Zaprojektowanym przez jakiegoś obłąkanego szaleńca zabójcę. Takie dzieła nazywano nie wiadomo dlaczego budownictwem socjalnym.

Według tych geniuszy architektury lud powinien mieszkać właśnie w takich domach. Kiedy tylko wkładasz klucz do zamka i wchodzisz po raz pierwszy do mieszkania, to ściany zaczynają pękać na twoich oczach jak jakieś podziemne freski w zetknięciu z powietrzem i światłem.

Małe pokoje są tak ciemne, że cały czas trzeba palić w nich światło, jakbyś mieszkał w jakiejś Szwecji. Architektom udało się nawet niezwykle trudne zadanie ukrycia sycylijskiego słońca.

Kiedy był mały, wuj czasami zabierał go do swojego przyjaciela, który mieszkał na wsi gdzieś w tych okolicach. Pamiętał tę drogę, wtedy jeszcze ścieżkę. Przypomniawszy sobie, że po prawej rósł las majestatycznych oliwek saraceńskich, a winnice rozciągały się jak okiem sięgnąć.

Teraz był tu tylko cement. Z jakąś irracjonalną złością, ale tak

gwałtownie, że krew zaczęła pulsować mu w skroniach, zaczął wyzywać wszystkich architektów, inżynierów, geodetów, majstrów, murarzy.

- Dlaczego ja się tym tak bardzo denerwuję? - zapytał siebie.

Oczywiście krzywdy wyrządzane naturze, śmierć gustu, dobrego smaku, przewaga brzydoty nie tylko raniły, ale i obrażały. Było jednak jasne: część tej jego złości brała się stąd, że w pewnym wieku człowiek staje się nieznośny, nic mu się nie podoba. Kolejny objaw zbliżającej się starości.

Droga zaczynała piąć się w górę. Po obu jej stronach stały bezpretensjonalne wille z małymi ogródkami z tyłu, gdzie spacerowały kury i psy. Potem, nagle, domki zniknęły, a drogę okalały teraz pobielone murki z kamieni. Skończyła się po jakichś stu metrach.

Montalbano zatrzymał się i wysiadł z samochodu.

Za plecami miał morze, przed sobą odległe miasteczko Gallotta uczepione innego wzgórza, po prawej grzbiet Monserrato, który oddzielał terytorium Vigaty od Montelusy. Mało było tu zieleni, ziemi nikt już nie uprawiał, szkoda czasu i pieniędzy.

I co teraz? Dokąd miał pójść? W miejscu, w którym stał, na szczycie wzgórza, nie było żadnego domu, ani żywej duszy.

*Na koniec ścieżki niech cię wiodą oczy,
aż miejsce znajome u kresu wędrówki
ujrzysz*

Tak mówiła rymowanka, zatem postąpił według zawartych w niej wskazówek, przejechał całą drogę, tyle że tutaj nic nie wydawało mu się znajome. Co to za żart?

Jakieś dziesięć metrów od drogi stał drewniany barak o wymiarach trzy metry na trzy, w złym stanie. Wydawał się opuszczony i z pewnością nie wyglądał znajomo. W każdym razie było to jedyne miejsce, w którym mógłby otrzymać jakieś informacje.

Do baraku nie prowadziła droga, tylko wydeptana przez ludzi

ścieżka. Żeby ją odkryć, musiał uważnie się przyjrzeć, bo nie była zbyt uczęszczana.

Podążając nią, komisarz doszedł do zamkniętych drzwi. Zapukał, ale nikt mu nie odpowiedział. Przyłożył ucho do szpary pomiędzy deskami, jednak nie usłyszał żadnego hałasu. W baraku, był tego teraz absolutnie pewien, nikt nie mieszkał.

I co miał zrobić? Wyważyć drzwi czy pójść sobie i zmarnować całą tę podróż?

– Ryzyk-fyzyk – powiedział do siebie.

Poszedł do auta, wziął klucz angielski i wrócił. Ponieważ drzwi wypadały już z futryny, wsunął klucz i je podważył. Drewno było kruche, ustąpiło przy trzecim uderzeniu. Wystarczyły jeszcze dwa kopniaki i deski wpadły do środka. Montalbano wszedł.

W środku nie było żadnego mebla, krzesła ani taboretu. Nic.

Ale komisarz stanął jak sparaliżowany, z otwartymi ustami i ściśniętym gardłem. Oblał go zimny pot.

Wszystkie ściany pokrywały jego zdjęcia. Dlatego właśnie wierszyk mówił, że to miejsce wyda mu się znajome!

Wreszcie zdołał się uspokoić. Podeszedł do ściany, żeby przyjrzeć się z bliska. To jednak nie były zdjęcia, ale komputerowe wydruki obrazów wyemitowanych przez Televigatę.

Na jednym rozmawiał z Faziem, wspinał się po strażackiej drabinie, pochylał się, kiedy Gregorio zaczął strzelać, ponownie wchodził, zatrzymywał się i znowu do góry, przeskakiwał balustradę... Na każdej ze ścian baraku wisiały takie same wydruki. Na środku głównej ściany przyklejono taśmą białą kopertę. Oderwał ją tak niezręcznie, że ze środka wypadło pięć, sześć fotografii. Wziął jedną na chybił trafił, wsunął do kieszeni razem z kopertą i wyszedł.

– No i co, wrócił się pan jednak? A miał nie wracać – powiedział na wpół zadowolony, na wpół zdziwiony Catarella.

– Przykro ci z tego powodu?

Montalbano zmienił zdanie po drodze. Catarella o mało nie dostał udaru.

– Co pan mówisz, komisarzu! Kiedy tak mi się pan własnoręcznie pokazuje na oczy, to ja prawie chcę paść się przed panem na kolana!

Montalbanowi na chwilę pojawił się przed oczami potworny obrazek jego samego w błękitnej pelerynie, jak Matka Boska Fatimska.

– Musisz mi coś wytłumaczyć.

Catarella zatoczył się, jakby zakręciło mu się w głowie. Zbyt wiele wrażeń w tak krótkim czasie.

– Ja? Ja mam coś panu wytłumaczyć? To żart chyba jakiś?

Komisarz wyjął z kieszeni zdjęcie z baraku i podsunął pod oczy Catarelli. Stawiał na nim pierwszy krok na strażackiej drabinie, nie do końca z wyluzowaną miną.

– Co to jest?

Catarella spojrzał na niego zaskoczony.

– No to przecież pan, osobiście, we własnej osobie. Nie poznaje pan siebie?

– Nie pytam kto, ale co to jest! – odpowiedział Montalbano, gniotąc kartkę między palcem wskazującym a kciukiem.

– Papier – odpowiedział Catarella.

Montalbano zaklął, ale tylko w myślach. Nie chciał za bardzo go denerwować, potrzebował paru informacji z dziedziny informatyki.

– To jest zdjęcie, tak czy nie?

Catarella wziął do ręki kartkę.

– Za pozwoleniem.

Poprzyglądał mu się trochę i ogłosił wyrok.

– To jest zdjęcie, które nie jest zdjęciem.

– Świetnie, mów dalej!

– Nie zostało zrobione aparatem fotoetycznym, ale skopiowane z fałhaesu na kompiuter, a następnie wydrukowane.

– Doskonale! A skąd mieli ten VHS?

– Z pewnością nagrywali transmisję Televigaty.

– Jak można z tego zrobić zdjęcia?

– Podłączając magnetowid do komputera i drukując zdjęcie klatki filmowej.

Tej ostatniej kwestii ni chuja nie zrozumiał, ale i tak dowiedział się, czego chciał.

– Jesteś boski, Catarè.

Catarella nagle się zaczerwienił, rozłożył ramiona, wyciągnął palce do góry i okręcił wokół własnej osi. Kiedy Montalbano go chwalił, Catarella tak bardzo się puszył, że wyglądał jak paw rozkładający ogon.

Po przyjeździe do Marinelli przypomniał sobie, że nie ma nic do jedzenia. Trochę chciało mu się jeść i błędem byłoby pominięcie kolacji, ponieważ w środku nocy mógłby dopaść go głód. Wyjął z kieszeni nadal nieotwarty list i zdjęcie, położył wszystko na stoliku, po czym umył twarz. Nie wiedział za bardzo, czy ma ochotę wracać do knajpy Enza, w której jadł obiad.

Zadzwoił telefon.

– Słucham?

– Od kiedy się nie widzimy? – zapytał piękny damski głos, który od razu rozpoznał.

– Od czasów Rachele – odpowiedział. – Wiesz, co u niej?

– Tak, wszystko w porządku. Niedawno podziwiałam w telewizji twoje wyczyny i zapragnęłam się z tobą zobaczyć.

– To jest do zrobienia.

– Dzisiaj wieczorem jesteś wolny?

– Tak.

– To będę za pół godziny. A ty wymyśl jakieś piękne miejsce na naszą kolację.

Cieszył się, że znowu zobaczy Ingrid. Szwedkę, przyjaciółkę i czasami też współpracowniczkę.

Żeby jakoś zabić czas przez te pół godziny, pomyślał, że przeczyta nowe instrukcje gry o skarb. Wziął kopertę, ale zaraz odłożył, bo a nuż coś tam by go zdenerwowało. Dlatego nie mógł przeczytać listu przed jedzeniem, mogłoby mu to odebrać apetyt.

Nagle przypomniał sobie, co się stało Adelinie. Wstał i poszedł sprawdzić, jak miewają się lalki w schowku. Już ich tam nie było.

Z pewnością Pasquale gdzieś je przeniósł. Ale gdzie? W kuchni

ich nie było, w szafie też nie. Może zabrał do domu? Najlepiej zadzwoni do niego i przy okazji zapyta o zdrowie Adeliny.

Odpowiedziała mu żona Pasqualego, mówiąc, że mąż wyszedł i wróci za godzinę.

- Ma do pana oddzwonić?
- Nie, dziękuję. Wychodzę i wrócę późno.
- Coś mu przekazać?
- Tak, bardzo proszę.

Musiał jednak tak ubrać tę wiadomość w słowa, żeby żona nie zrozumiała, o co chodzi.

- Proszę mu powiedzieć, że pilnie potrzebuję tych rzeczy, co on wie. I niech do mnie jutro rano zadzwoni.

Następnie poszedł na werandę wypalić papierosa.

Kiedy zobaczył stojącą w drzwiach Ingrid, oniemiał. Jak to możliwe, że dla tej kobiety upływające lata nie miały znaczenia? W jej przypadku czas się zatrzymał. Właściwie wydawała mu się jeszcze młodsza, od kiedy widzieli się po raz ostatni, a minął już rok. Była ubrana jak zawsze, w dżinsy, bluzkę i sandały. I elegancka, jak gdyby miała na sobie kreację znanej marki.

Przytulili się do siebie. Ingrid nie używała perfum, nie potrzebowała ich, ona sama pachniała jak świeżo zerwana morela.

- Wejdiesz?
- Nie, później. Już wymyśliłeś, dokąd jedziemy?
- Tak, jest taka restauracyjka nad morzem, w Montereale, gdzie...
- Ta z przystawkami? Znam to miejsce. Pojedźmy moim wozem. Nie udało mu się dostrzec marki auta Ingrid, w każdym razie było jak najbardziej w jej guście. Dwuosobowe i płaskie jak naleśnik.

Szybki jak gepard naleśnik na czterech kołach. Z inną kobietą bałby się wsiąść do tego bolidu, ale jej ufał. Zresztą kiedy

mieszkała jeszcze w Szwecji, pracowała jako mechanik samochodów wyścigowych.

Dojazd do restauracji zajął im około dwudziestu minut, komisarz zaś docierał tam zazwyczaj w trzy kwadransy. Podczas jazdy Ingrid wolała nie rozmawiać, jednak co jakiś czas spoglądała z uśmiechem na Montalbana i lekko gładziła go po nodze.

Wybrali stolik najbliżej morza, jakieś dwadzieścia metrów od plaży. Restauracja słynęła z jakości i ilości przystawek, toteż prawie wszyscy klienci rezygnowali z pierwszego dania. Oni też podjęli taką decyzję. Zamówili za to butelkę dobrze schłodzonego białego wina.

Oczekiwanie na pierwsze przystawki wykorzystali na rozmowę. Ingrid wiedziała, że Montalbano, kiedy stawiano przed nim talerz, otwierał usta tylko po to, żeby jeść.

– Co u twojego męża?

– A bo ja wiem? Od kiedy go wybrali, przyjeżdża do Montelusy raz na dwa miesiące.

– A ty nie jeździsz do niego do Rzymu?

– Po co?

– Skoro nadal jesteście małżeństwem...

– Przecież wiesz, Salvo, że to tylko na papierze. Zresztą mnie to odpowiada.

– Nowe miłości?

– Zaczynasz mnie przesłuchiwać?

– Nie, tak tylko pytam.

– A ja tak tylko odpowiadam, że nie.

– Czyli od roku nic nowego na horyzoncie?

– Chyba żartujesz? Według takiego katolika jak ty, kobieta może przespać się z mężczyzną tylko wtedy, gdy jest w nim zakochana?

– Gdybym był takim katolikiem, za jakiego mnie bierzesz, musiałbym odpowiedzieć, że kobieta może iść do łóżka tylko z własnym mężem.

– Co za nuda!

Kelner przyniósł pierwsze sześć przystawek.

Po dwunastu różnych sycących przekąskach i winie pitym w oczekiwaniu na drugie danie – miks ryb z grilla – wrócili do rozmowy.

– A ty? – zapytała Ingrid.

– Co ja?

– Nadal wierny Livii, chociaż z małymi wyjątkami?

– Tak.

– To „tak” dotyczy wierności czy wyjątków?

– Wierności.

– Chcesz powiedzieć, że po Rachele..

– Nic a nic.

– Nawet najmniejszej pokusy?

– Jeśli o nie chodzi, to były nawet wielkie.

– Naprawdę? I jak im się oprzeć? Zaczynasz odmawiać modlitwę i diabeł ucieka?

– Nie nabijaj się.

– Nie nabijam, wprost przeciwnie. Podziwiam cię, naprawdę.

– Kiedyś zadawałaś mniej pytań.

– Widocznie szybko się italianizuję i robię coraz bardziej ciekawska. Powiedz mi tylko, dużo cię to kosztuje?

– Ale co?

– Opieranie się pokusom.

– Czasami tak, nieraz mnie to kosztowało. Ale ostatnio kosztuje coraz mniej. Pewnie to kwestia wieku.

Ingrid spojrzała na niego i wybuchła serdecznym śmiechem.

– Co cię tak bawi?

– Ta kwestia wieku. Grubo się mylisz. W tych sprawach wiek nie ma znaczenia. Mówię z własnego doświadczenia. Niektórzy trzydziestolatkowie przypominają pod tym względem siedemdziesięciolatków i na odwrót.

Podano ryby i kolejną butelkę. Kiedy skończyli, Montalbano zapytał, czy chciałyby się napić whisky.

– Tak, ale u ciebie.

Na ścieżce prowadzącej do domu komisarza Ingrid zapytała:

– Byłeś z kimś umówiony?

– Nie.

On też zauważył dziwny samochód zaparkowany przed drzwiami.

Kiedy podjechali, wysiadła z niego dwudziestoletnia dziewczyna. Piękność miała z metr osiemdziesiąt, blond włosy, odrobinę za ciężki makijaż i spódniczkę kończącą się na wysokości łona. Oni też wysiedli.

– Montalbano?

– Tak.

– Ja dzwonić, ale nikt nie odpowiadać. I pomyśleć, że ty za domem, ale wrócić.

Komisarza zamurowało. Kto to był? Czego chciała?

– Proszę posłuchać...

– Ale ty nie mówić, że my w trzy. Ja robić to tylko z tobą. Nie lubić z inna kobieta. Ale ona może popatrzeć.

– Cóż, jeśli o mnie chodzi – powiedziała dość poruszona Ingrid – to zostawiam was. Cześć, Salvo, baw się dobrze.

Miała wsiąść do samochodu, kiedy Montalbano chwycił ją za ramię i powiedział do dziewczyny:

– Chyba się pani pomyliła. Ja wcale nie...

– Rozumieć. Ty poderwać tamtą. Nie ma sprawy, ja sobie iść.

Montalbano puścił ramię Ingrid, podszedł do dziewczyny i powiedział cicho:

– I tak ci zapłacę. Ile?

– Wszystko zapłacone. Cześć.

Wsiadła do auta i odjechała na wstecznym biegu.

Montalbano, jeszcze lekko zamroczony, wszedł do domu, Ingrid poszła za nim w milczeniu. Kiedy otworzył drzwi balkonowe, usiadła na werandzie, cały czas bez słowa. Wziął butelkę whisky i dwie szklanki i usiadł koło niej na ławce.

Ingrid sięgnęła po butelkę i wlała sobie pół szklanki. Montalbanowi nie.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się wściekasz – zaczął komisarz, nalewając sobie whisky. – Przecież między nami...

– Gównno między nami!

Komisarz pomyślał, że lepiej siedzieć cicho. Po jakimś czasie Ingrid przemówiła.

– Nie myśl tylko, że jestem zazdrosna. W dupie mam te twoje kobiety.

– To skąd ten grymas?

– Bo jestem głęboko rozczarowana.

– Czym?

– Tobą. Nie wyobrażałam sobie, że możesz być takim hipokrytą!

– To znaczy?

– Jak to nie rozumiesz? W restauracji powiedziałeś mi, że po Rachele nie było już żadnych wyjątków, a tu czekała na ciebie jakaś kurwa. Według ciebie iść z taką do łóżka to żaden wyjątek, bo nie uważasz jej nawet za kobietę?

– Ingrid, całkowicie się mylisz! To nieporozumienie. Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

– Nie musisz niczego mi tłumaczyć, zresztą nie chcę tego słuchać. Idę do łazienki.

Ten fiut Pasquale nieźle narozrabiał! Ze złości Montalbano wychylił całą szklanke. Usłyszał, jak Ingrid wychodzi z łazienki i po chwili głośno krzyczy.

– Co się stało?

– Nic, nic.

Nie wróciła od razu. Pojawiła się za jakiś czas, na bosaka, z sandałami w ręku. Ale była jakaś inna. W spojrzeniu tliły się iskierki i drwiący, szyderczy uśmiech.

– Świetnie, Salvo – powiedziała, siadając koło niego.

– O co ci chodzi...

– Powtarzam, nie chcę słuchać twoich wyjaśnień. Znam wielu mężczyzn, ale żadnego hipokryty takiego jak ty!

I znowu ta hipokryzja! Ale tym razem, kiedy mówiła, widać było, że chciało jej się śmiać. Co chodziło jej po głowie?

– W restauracji – podjęła wątek – powiedziałeś mi, że za sprawą wieku jesteś bardziej odporny na pokusy. A jednak znalazłeś wyjątkowy, szczególny sposób. Ale z ciebie kłamca, Salvo!

Ponownie nalała sobie whisky.

- To jasne, my, kobiety, mamy wibrator. Ale to nie to samo.

O czym ona mówi?

- Ale dlaczego dwie? - ciągnęła. - Zresztą obydwie są blondynkami. Nie lepiej było wybrać jedną brunetkę, a drugą blondynkę?

Nagle zrozumiał wszystko.

- Gdzie je znalazłaś?

- Pod twoim łóżkiem. Schyliłam się, żeby zdjąć sandały i wtedy...

Już jej nie słuchał. Wstał, przeskoczył Ingrid i pobiegł do sypialni. Obie dmuchane lalki rzeczywiście leżały pod łóżkiem. Ten fiut Pasquale wpadł na pomysł, żeby tam właśnie je schować. Montalbano wrócił na werandę.

- Teraz wypij całą butelkę i słuchaj, co mam do powiedzenia - powiedział buńczucznie.

Opowiedział jej wszystko, w niektórych momentach Ingrid musiała trzymać się za brzuch ze śmiechu.

W chwili pożegnania, o trzeciej w nocy, kiedy cała whisky została już wypita, Ingrid uderzyła się dłonią w czoło.

- Zapomniałabym, jeden z moich przyjaciół chce cię poznać!

- Jakiś eks?

- Skąd, to dwudziestoletni chłopiec, niezwykle inteligentny. Jest we mnie bardzo zakochany, ale to ciebie przede wszystkim podziwia. Bardzo bym chciała, żebyś z nim porozmawiał. Nazywa się Arturo Pennisi.

- Powiedz mu, żeby zadzwonił do mnie do biura jutro rano. I powiedział, że jest od ciebie. Dasz radę prowadzić?

- Mam nadzieję. Nie proszę, żebyś pozwolił mi przespać się u ciebie, bo o ósmej przychodzą murarze. Mam remont w domu. To pa, jesteś kochany!

Pocałowała go nad górną wargą, wyszła, wsiadła do samochodu i odjechała.

Senność, która ogarnęła go koło drugiej, teraz całkowicie się ulotniła. Poszedł umyć twarz, potem wziął kopertę z zagadką i wrócił na werandę. Tym razem na kopercie obok jego nazwiska

dopisano także: polowanie na skarb.

Zanim ją otworzył, rozmyślał, jaki może być ten człowiek, który zorganizował całą zabawę. No i po co. Wiedział, z doświadczenia, że kiedy stawia się dwa pytania jedno po drugim, to zawsze lepiej odpowiedzieć najpierw na to drugie, żeby ułatwić w ten sposób odpowiedź na pierwsze.

A zatem: dlaczego to tak zwane polowanie na skarb? Jaki interes ma organizator? Sprawy ekonomiczne nie wchodziły w grę. Zazwyczaj w takim polowaniu bierze udział parę osób, a w tym przypadku on był chyba jedynym zaproszonym. Tym bardziej że na kopercie zawierającej pierwszą zagadkę napisano tylko jego imię i nazwisko.

Ponadto w pierwszym wersie drugiej zwrotki to do niego odniesiono się bezpośrednio:

A zatem, Montalbano, drogi detektywie.

No i jeszcze to: ściany drewnianego baraku zostały wytapetowane jego zdjęciami.

Nie ma wątpliwości, że bardziej niż o zabawę chodzi o jakieś osobiste wyzwanie. I to wyzwanie rzucone Montalbanowi glinie, a nie człowiekowi.

A zatem kto rzuca wyzwanie glinie? Jakiś inny glina lub przestępca. Może założył się, kto pierwszy rozwiąże jakiś przypadek? Albo to osoba o bardzo specyficznej mentalności. Niekoniecznie przestępczej, wystarczy, że ma odrobinę zwichrowany mózg, lubi się pochwalić, że jest lepsza i bardziej inteligentna niż glina.

To był ktoś, kto chciał pośrednio udowodnić, że gdyby tylko miał ochotę, to na pewno sam wszystko by rozwiązał. A Montalbanowi i tak się nigdy nie uda, to nie na jego głowę ani rozum.

Należałoby zatem zadać sobie pytanie, czy taki człowiek cały czas działałby w ramach zabawy zorganizowanej dla zabicia czasu, czy też w pewnym momencie naszłaby go ochota, żeby posunąć się do czegoś bardziej niebezpiecznego i poważnego. Na granicy prawa lub nawet poza nią.

Zatem, jak się okazuje i w tym przypadku, odpowiedziawszy na

drugie pytanie, częściowo udzielił sobie też odpowiedzi na pierwsze: kim był ten człowiek?

Oczywiście nie była to gotowa odpowiedź z imieniem i nazwiskiem.

Trzeba było lepiej sformułować pytanie: jakim człowiekiem był ten ktoś? Powinien zatem opracować jego profil.

W tym momencie zachciało mu się śmiać. W wielu amerykańskich filmach często pojawiał się współpracujący z policją psycholog, który opracowywał profile potencjalnych morderców. Na filmach wszyscy psycholodzy byli świetni i o seryjnym zabójcy, którego nie widzieli na oczy, wiedzieli od razu wszystko. Jakiego był wzrostu, czy miał żonę, czy nie, co przydarzyło mu się, kiedy miał pięć lat, i czy pijał colę, czy piwo. I nigdy się nie mylili.

Nie, lepiej jednak nie wypływać na tak szerokie wody. W grę nie wchodził żaden staruszek, bo nie umiałyby przecież wydrukować zdjęć z wideo. Ten człowiek mógł mieć między dwadzieścia a sześćdziesiąt lat. Czyli jak połowa ludności w miasteczku. Inteligentny, wyniosły, zarozumiały, uważający się za sprytniejszego i zdolniejszego od innych. Tak bardzo, że mógł zwyciężyć w każdej rozgrywce, w której tylko zechciałby wystąpić. Człowiek, koniec końców, niebezpieczny.

Czy zatem nie lepiej przerwać to polowanie na skarb, zamiast podejmować wyzwanie? Nie, to byłby błąd. Z pewnością odmowa została odebrana jako obraza i pociągnęła za sobą zemstę. Jaką? Zrobiłby coś głośnego, coś, co zmusiłoby Montalbana do przystąpienia do gry. Nie, nie należało narażać się na takie ryzyko.

Wziął kopertę, otworzył ją i wyciągnął kartkę.

Zwykły, beznadziejny wierszyk, którego wstydziliby się nawet bard półanalfabeta.

*Ale z ciebie bystry koleś!
Miejsce w mig już ogarnąłeś!*

1-2-3/21-6-3/4-1-17-9-4-3/10-1-5-8/5-13/15-22-D-11-3/18-23-

13-17-8/15-1-16-22

P-13-D/1-D-11-3-9/17-23-1-14-5-6-17-8/10-11-1-F-6-1-16-22!

4-9-12-10-19-1-4-2-17-14/16-5-12-10-U/4-5-2/12-11-U-13-9-21/13-14-16-2-17-14,

13-10-14-8/6-5/17-14/20-14-12-10-9-18-6-11-15/4-5-2/1-15-10-9-21/20-16-9-6-11-2-17-14.

*Pewnie ciebie świat zaskoczy,
ale gra się dalej toczy.*

Co to, kurwa, jest! Tygodnik krzyżówkowicza? Wierszowana zagadka? I to przeznaczona dla bardzo wąskiej grupy odbiorców. A poziom tych dwóch linijek przypominał mi reklamę, w której robot mówił do pani domu:

*Zdolny jestem niesłuchanie,
może jeszcze zrobię pranie?*

Nadal nie chciało mu się spać, mimo wlanych w siebie trunków. Poszedł do łazienki, rozebrał się, umył, włożył koszulkę i spodenki, po czym wziął długopis i kartkę papieru i wrócił na werandę.

Jeśli autor tej, nazwijmy ją, pseudopoezji, uszanował krzyżówkowe reguły, to każdej liczbie powinna odpowiadać litera.

Jasne zatem, że wszystkie samogłoski i spółgłoski, które zostały zaszyfrowane, musiały znaleźć się w dwóch zwrotkach, w pierwszej i ostatniej.

Zaczął od początku wierszyka. Napisał pierwszy wers, a pod spodem, na próbę, ciąg liczb, od jednego wzwyż.

Ale z ciebie b y s t r y k o l e ś

1 2 3 4 5 6 3 7 6 3 7 8 9 10 11 8 12 13 2 3 14

Skoro w pierwszym wersie drugiej zwrotki było osiem grup liczb, oznaczało to, że wers składał się z ośmiu słów.

Następnie skopiował drugi wers i wpisał pod nim liczby.

Potem napisał pierwsze trzy grupy liczb i pod spodem umieścił spółgłoski i samogłoski, posługując się tą samą co poprzednio numeracją.

1-2-3 / 21-6-3 / 4-1-17-9-4-3/

A l e n i e z a w s z e

Udało się za pierwszym strzałem! Po odszyfrowaniu dwa wersy brzmiały następująco:

*Ale nie zawsze tacy, co mądre głowy mają,
pod adres właściwy trafiają!*

Teraz wziął pierwsze dwie grupy trzeciej zwrotki i skopiował je.

4-9-12-10-19-1-4-2-17-14/16-5-12-10-U/

Pod nimi zapisał odpowiednie spółgłoski i samogłoski i otrzymał to:

Z s k t u a z l w ś / j c k t u

Co ni chuja nic nie znaczyło, nawet po chińsku czy po grenlandzku. Ale zaraz pomyślał:

Jestem przekonany, że kod trzeciej zwrotki znajduje się w ostatnich niezasyfrowanych wersach i dlatego trzeba ponownie oznaczyć liczbą każdą samogłoskę i każdą spółgłoskę, począwszy od 1.

Spróbował. I to była słuszna decyzja:

Następnego listu

Tym razem trafił w sedno. Pisał dalej.

Następnego listu nie szukaj, kolego,

ktoś ci go dostarczy. Nie pytaj dlaczego.

Odszyfrowana wiadomość trochę go rozczarowała.

Stracił mnóstwo czasu, żeby opracować profil autora tego polowania, i otrzymał dość niepokojący obraz. Ale zagadki, szyfry, łamigłówki, które tamten proponował, były naprawdę na niziutkim poziomie, dla zupełnych dyletantów. Robił tak specjalnie, uważając komisarza za niezdolnego do rozwiązania bardziej skomplikowanych zagadek, czy też on sam był na tym właśnie poziomie?

W każdym razie teraz Montalbano wiedział już, że pozostaje mu tylko czekać, aż ktoś się do niego zgłosi. Wstał, zamknął drzwi balkonowe i poszedł spać.

Obudził go telefon. Była dziewiąta rano.

– Pan komisarz? Tu Pasquale. Co się stało, nie spodobała się panu ta dziewczyna wczoraj? Niech mi pan powie, jaka ma być, to wieczorem podeślę.

Przypomniała mu się ta głupia sytuacja z Ingrid. O mało go nie zwymyślał, ale w porę udało mu się pohamować złość. W sumie to przecież Pasquale chciał wyświadczyć mu przysługę.

– Co ci przyszło do głowy?

– Nie chciał jej pan?

– A kto ci powiedział, że chciałem?

– Pan sam, komisarzu!

– Ja? Przecież nic ci nie odpowiedziałem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, i rozłączyłem się!

Pasquale zamilknął i potem krzyknął:

– I to był błąd!

– Jaki znów błąd?

– Mój błąd, panie komisarzu. Myślałem, że milczenie oznacza zgodę. A potem przecież jeszcze pan oddzwonił.

– Niby ja?

– A jak? Żona przekazała, że potrzebuje pan pilnie tych rzeczy, co to ja wiem. No i pomyślałem, że chodzi o kurwy.

Zaraz się okaże, że to on powinien przeproszać! Lepiej zmienić temat.

– Jak się czuje Adelina?

– Spadła jej gorączka, ale pojawiła się jakaś czerwona wysypka. Lekarz mówi, że to przez ten strach, potem minie.

– To dobrze, pozdrawiam.

– To co robimy?

– Z czym?

– Z tymi kurwami. Nadal je pan chce czy woli bawić się lalkami? Montalbana zalała krew ze złości. Stracił panowanie nad sobą.

– Posłuchaj mnie, Pasquà, powtarzam ci raz na zawsze! Zajmij się swoimi sprawami, jasne?

– Jak pan sobie życzy – odpowiedział lekko urażony Pasquale.

Nie mógł już dłużej trzymać w domu tych pieprzonych lalek, bo jeszcze znowu wpędzą go w jakiś kłopot.

Ale co z nimi zrobić? Zastanowił się i w pewnym momencie stwierdził, że chyba znalazł doskonałe rozwiązanie. Tak doskonałe, że aż się zdziwił, że wcześniej o tym nie pomyślał.

Zakopie je w piasku koło werandy.

Otworzył schowek, wziął łopatę, wyszedł na plażę i wybrał miejsce. Rozejrzał się dokoła, czy nikt go nie widzi, i zaczął kopać.

Nie było łatwo, ponieważ suchy drobny piasek ponownie zasypywał dziurę. Po kwadransie Montalbano musiał zdjąć koszulę.

Harował jak wół przez godzinę, ale w końcu udało mu się wykopać rów odpowiedniej wielkości. Umierał ze zmęczenia i wypił dwa litry wody.

Poszedł wyciągnąć spod łóżka pierwszą lalkę, ale w drodze powrotnej stanął w drzwiach. Jakies dziesięć metrów przed werandą z samochodu wysiadła właśnie rodzinka złożona z ojca, matki i dwójki dzieci. Zaczęli wyjmować parasole.

Nic z tego, na pewno długo tu zostaną.

Odniosł lalkę do przedpokoju, wziął drugą i położył obok, po czym umył się, ubrał, wyszedł z domu i podjechał autem możliwie jak najbliżej drzwi. W ten sposób nikt nie zauważy, kiedy będzie prznosił lalki, jeszcze tego by brakowało, żeby ktoś narobił hałasu, że ładuje jakieś zwłoki do bagażnika.

Zorientował się zbyt późno, że poprzedzające go auto zwalnia przed blokującymi drogę karabinierami. Dlatego musiał gwałtownie zahamować, a to spowodowało, że jadący za nim z całej siły uderzył w jego samochód. Kierująca autem kobieta wysiadła wściekła, a kiedy zerknęła do bagażnika, wydała z siebie odgłos jako żywo przypominający syrenę fabryczną i upadła zemdlna na ziemię.

Karabinierzy, którzy nic z tego nie rozumieli, widząc upadającą na ziemię kobietę, zaczęli biec w stronę dwóch aut z wyciągniętą bronią, krzyżąc, żeby nikt się nie ważył poruszyć.

Montalbano, którego szyja skręciła się podczas uderzenia, został zmuszony do wyjścia z auta z rękami do góry.

– Ta pani nie... – zaczął.

– Cisza!

Szeregowiec, który pochylił się, żeby zobaczyć, co jest w bagażniku, podszedł do komisarza i spojrzał na niego z obrzydzeniem.

Tymczasem dwóm kierowcom udało się ocucić zemdloną kobietę. Kiedy tylko otworzyła oczy, poderwała się na równe nogi i wskazując na Montalbana, zaczęła histerycznie krzyżeć:

– Morderca! Morderca!

Montalbano nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Jedno jest pewne, że oblał go zimny pot. Tymczasem zatrzymywało się coraz więcej samochodów. Na drodze utworzył się ogromny korek. Wielu ciekawskich wysiadało i biegło zobaczyć, co się stało. Średnio przyrastało pięciu, sześciu ludzi na minutę.

– Wszystko panu wytłumaczę – powiedział do szeregowca.

Ten jednak nakazał mu ruchem ręki, żeby był cicho.

– Ty idziesz z nami.

– Ale dlaczego?

– Handel materiałami pornograficznymi.

– Chciałbym wyjaśnić, że...

– Wyjaśnisz wszystko w koszarach!

Tego tylko jeszcze brakowało!

Gdyby musiał wyjaśniać w koszarach, o co chodzi, naraziłby się na śmieszność. Nie, musiał za wszelką cenę próbować rozwiązać ten problem, nawet kosztem użycia komicznego już zdania: „Pan nie wie, kim ja jestem”.

– Jestem komisarzem policji.

– A ja papieżem!

– Mogę pokazać dokumenty?

– Tak, ale bez żadnych gwałtownych ruchów.

Na komisariat dojechał zjeżony ze złości, z wykręconą szyją i

trzęsącymi się rękami.

– O Matko Boska, komisarzu, a co się stało? – zapytał zaniepokojony Catarella.

– Nic, mały wypadek. Poproś do mnie Fazio.

– Komisarzu, co się stało? – zapytał Fazio, kiedy tylko go zobaczył.

– Nic takiego, jakaś kretynka wjechała we mnie i karabinierzy o mało co mnie nie aresztowali.

Opowiedział mu, co się stało.

– Musi pan pójść do lekarza z tą szyją.

– Potem. Tego mi tylko brakowało! Posłuchaj, w bagażniku są te dwie lalki. Tę od Palmisana odnieś na miejsce, a tę drugą wsadź do skrzyni i zostaw w garażu do mojej dyspozycji.

– Już się robi.

Nareszcie pozbył się tego szajsu.

A jednak się mylił.

Te pieprzone lalki będą mu sprawiały kłopoty i na odległość. Nawet mumia Tutenchamona nie przynosiła takiego pecha! I rzeczywiście. Jakieś pół godziny później ból szyi stał się nie do wytrzymania. Zresztą w tym stanie nie dałby nawet rady prowadzić. Mimì Augello zawiózł go na ostry dyżur do szpitala w Montelusie.

Godzinę później miał już na szyi mały kołnierz ortopedyczny, jeden z tych, które uniemożliwiają jakikolwiek ruch, a z posiadacza robią Frankensteina.

Wrócił do pracy i spędził kwadrans w pokoju, klęcząc na czymś świat stoi, żeby rozładować napięcie.

Nie czuł się na siłach, żeby coś zjeść u Enza z tą klatką pod brodą. Zresztą upieprzyłby koszulę i obrus, jak jakiś smarkacz lub śliniący się starzec! Lepiej spróbować najpierw w samotności, w domu.

W tym momencie zadzwonił Catarella.

– Taki jeden jest na telefonie i chce z panem rozmawiać, ale tylko własnoręcznie i osobiście.

– Czyli użyje rąk podczas rozmowy?

Catarella oczywiście nie złapał dowcipu.

– Nie, komisarzu, nie mówił o tym, tylko powiedział, że go nasyła pani Sciosciostrommi.

To pewnie ten chłopak, o którym mówiła mu Ingrid.

– Połącz mnie.

– Komisarz Montalbano?

– Tak.

– Nazywam się Arturo Pennisi, przepraszam, że zawracam głowę, ale Ingrid powiedziała, żebym zadzwonił właśnie o tej porze.

– Chce się pan ze mną spotkać?

– Tak.

– Woli pan w domu czy w biurze?

– Gdzie panu wygodniej.

– To proszę przyjść tu na komisariat wieczorem o siódmej. Odpowiada to panu?

– Super. Jest pan bardzo uprzejmy.

Arturo miał głos dobrze wychowanego dziecka.

Ponieważ wiedział, że w lodówce znajdzie to samo co podczas ostatniej inwentaryzacji, czyli praktycznie nic, przed wyjazdem z miasteczka zatrzymał się przy sklepie, który właśnie zamykano. Kupił chleb, winogrona, tuńczyka, salami i szynkę. Nakrył stół na werandzie i zaczął jeść.

Kołnierz przytrzymał mu głowę, uniemożliwiając pochylanie się, w związku z czym komisarz nie widział, co ma na talerzu. Musiał przesunąć go o jakieś czterdzieści centymetrów i problem zniknął. Tak samo, żeby napełnić kieliszek, musiał go trzymać w wyprostowanej ręce. Trzecią rzeczą, którą zrozumiał, było to, że nie mógł za bardzo otwierać ust.

W sumie nie groziły mu jakieś większe kłopoty związane z jedzeniem w miejscach publicznych. Kiedy zebrał naczynia ze stołu, poszedł się położyć, żeby odrobić zaległości z ostatniej nocy. Nie mógł jednak wygodnie ułożyć głowy. Obudził się o czwartej i zadzwonił do biura. Nic się nie wydarzyło, więc nie

było pośpiechu.

Kiedy Catarella zawiadomił go, że przyszedł chłopak, z którym był umówiony, komisarz od dwóch godzin nudził się jak mops. Ten stan ducha działał jednak cuda: pokój nie był już zawalony dokumentami do podpisu. Zostawił sobie tylko z kilogram papierów, bo przerażała go myśl, że może tu siedzieć, nie mając nic, ale to nic do roboty.

Arturo Pennisi wyglądał identycznie jak dwudziestoletni Harry Potter.

Nosił nawet takie same okulary. Nie wydawał się w żaden sposób zakłopotany, nawet sam odezwał się pierwszy i od razu przeszedł do rzeczy.

– Poprosiłem Ingrid, żeby mnie przedstawiła, bo bardzo interesują mnie pańskie metody prowadzenia śledztwa.

– Chce pan zostać policjantem?

– Nie.

– Studiować kryminalistykę?

– Nie.

Montalbano spojrział na niego pytająco, wymuszając odpowiedź:

– Jestem na drugim roku uniwersytetu, studiuję filozofię, chcę zostać epistemologiem.

Chłopak wiedział, czego chce. Ale mówił o tym bez entuzjazmu typowego dla jego rówieśników, którzy wyznaczyli sobie drogę w życiu i chcą iść nią w przyszłości.

Jeśli się nie mylił, epistemologia była chyba działem filozofii, co zatem miała wspólnego z zabójstwami?

– Mimo że moje metody śledcze, jak je pan nazywa, nie są zupełnie naukowe, nadal jest pan nimi zainteresowany?

– Przepraszam, powinienem lepiej to wyjaśnić. Interesuje mnie funkcjonowanie pańskiego mózgu podczas śledztwa.

– Dwa plus dwa daje cztery.

– Nie rozumiem.

– Streściłem panu, jak funkcjonuje mój mózg.

Po raz pierwszy Harry Potter uśmiechnął się.

- Nie obrazi się pan, jeśli powiem, że nie wierzę?
- Nie chciałbym pana rozczarować, ale zapewniam, że...
- A jednak nalegam. Mógłbym podać przykład, który bezpośrednio pana dotyczy?

- Proszę bardzo.

- Ingrid opowiedziała mi, jak się poznaliście.

- No i?

- Ingrid, jej zdaniem, jest czwórka, czyli sumą dwóch dwójek.

- Może pan to lepiej wytłumaczyć?

- Opowiedziała mi, że kiedyś wszystko przemawiało za tym, aby zrobić z niej główną podejrzaną o zabójstwo czy coś w tym rodzaju, ale pan nie dał wiary poszlakom. Nie uwierzył pan, w tym konkretnym przypadku, że dwa plus dwa to cztery.

Inteligentny chłopak, nie ma co.

- Tylko że w tym przypadku...

- W tym przypadku, jeśli można, to pan, w pewnym momencie, podczas śledztwa, zrozumiał, że podążanie za jakąś arytmetyczną regułą dałoby błędny wynik. I wybrał pan inną drogę. To właśnie mnie interesuje. Kiedy i w jaki sposób dokonuje pan tego wyboru. W jaki sposób pański mózg odważnie odmówił podążania po solidnym gruncie oczywistości, aby zapuścić się na wydmy hipotezy?

- Czasami nawet ja nie umiem tego wytłumaczyć. Ale w sumie to czego pan ode mnie oczekuje?

- Chciałbym, żeby pozwolił mi się pan z bliska obserwować. Zapewniam, że nie sprawię żadnego kłopotu, nie będę się narzucał. Proszę mi wierzyć, będę pana obserwował w milczeniu.

- Nie mam co do tego wątpliwości, ale trafił pan na zły moment.

- W jakim sensie?

- Ano w takim, że obecnie nie prowadzę żadnego dochodzenia. Zróbmy tak: proszę zostawić mi swój numer telefonu. Gdyby wydarzyło się coś, co mogłoby pana zainteresować, dam znać.

Rozczarowanie, które odmalowało się na twarzy Artura, sprawiło, że komisarzowi zrobiło się przykro. Wyglądał jak dziecko, któremu odmówiono cukierka. Ten chłopak wydał mu się bardzo sympatyczny. A komisarz już od jakiegoś czasu

potrzebował rozmowy z kimś inteligentnym. Chciał dać mu jakąś nagrodę pocieszenia.

– W tych dniach dzieje się coś dziwnego. Nie jest to ani morderstwo, ani przestępstwo, od razu wolę to panu powiedzieć.

Chłopak przypominał wygłodniałego psa, który widzi o krok od siebie nieogryzioną kość.

– Mnie tam wszystko zadowoli.

Montalbano wyciągnął z kieszeni trzy kartki z wierszykami dotyczącymi polowania na skarb, zatrzymując dla siebie rozszyfrowaną wersję. Opowiedział mu, jak się to wszystko zaczęło, i zakończył słowami:

– To oryginały, stąd prośba o zwrot. Proszę rozwiązać te zagadki i potem to omówimy.

Mało brakowało, a Arturo pocałowałby go w rękę.

Nazajutrz w komisariacie wydawało się, że nic, ale to nic się nie dzieje, jak zresztą od ponad miesiąca. Od ósmej rano do trzynastej, czyli przez pięć godzin, Catarella odpowiedział na jeden telefon. Ktoś chciał się dowiedzieć, jak można wstąpić do policji.

Montalbano, który już od południa był głodny, zrozumiał raptem, że ma problem.

Cały dzień się objął. Siedział w pracy, czytając rocznik „Domenica del Corriere” z roku 1920, kupiony na straganie, albo tępo wpatrując się w ścianę, jakby ćwiczył jogę lub wpadł w katatonię. Powyższe czynności wpędzały go w depresyjną melancholię. W końcu, aby zwalczyć rzeczoną depresję, ciało komisarza instynktownie ogarnął dziki, wilczy głód, któremu w żadnym razie nie umiał się oprzeć.

To apetyt właśnie spowodował, że tego ranka Montalbano zapiął pasek o jedną dziurkę dalej. Co oznaczało, że obwód w pasie niepokojąco się zwiększył. Zdruzgotany tą konstatacją, komisarz natychmiast się rozebrał, włożył kąpielówki i poszedł popływać w wodzie tak zimnej, że o mało nie pozbawiła go tchu.

W tawernie Enza, mimo że obiecał sobie jeść z umiarem, pochłonął roladki z miecznika i poprosił o jeszcze jedną porcję.

Po czym, przed drugim daniem, zjadł mnóstwo przystawek z owoców morza i wielki talerz spaghetti z małżami.

Spacer po molo aż do latarni morskiej okazał się zatem niezbędny, podobnie jak tradycyjny odpoczynek na skale połączony z wypaleniem papierosa.

Koło szóstej zadzwonił Catarella.

– Komisarzu, ten chłopak z wczoraj, co to go pani Sciosciostrommi przysłała, co mam z nim zrobić?

– Połącz mnie.

– Nie da się. Rzeczony znajduje się tutaj na miejscu.

– To poproś, niech wejdzie do mnie.

Porozmawia sobie z Arturem z godzinkę i będzie już mógł jechać do domu.

– Nie spodziewałem się pana tak szybko – powiedział Montalbano.

– Byłem w pobliżu i pomyślałem, że a nuż pana zastanę. Przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej.

– Ale przecież pan mieszka w Montelusie albo...

– Nie, w Vigacie. Rodzice tu mieszkają. Ja mieszkam sam, mam mieszkanie w Vigacie. Lubię morze.

Kolejny punkt na korzyść chłopaka.

– Miał pan okazję zerknąć na te kartki...

– Tak, poradziłem sobie ze wszystkim. To niezwykle proste.

Położył na biurku trzy kartki wyjęte z kieszeni i ciągnął dalej:

– Nie byłem w barze Marinella, uznałem, że to niepotrzebne, ale za to znalazłem drewniany barak na górze, na końcu ulicy dei Mille, i nawet wszedłem do środka.

– Widział pan tę oryginalną tapetę?

Harry Potter uśmiechnął się.

– Pański rywal najwyraźniej żywi wobec pana prawdziwy kult jednostki.

– Zdjęcia jeszcze tam wiszą?

– Tak, wszystkie. Dlaczego pan pyta?

– Tak sobie. Wpadł pan na jakiś trop?

– Tak.

- Zamieniam się w słuch.

- To jasne, że pański rywal chce, żeby wszystko wyglądało w pewien określony sposób. Chce, jak by to powiedzieć, żeby wyglądały bardziej niewinnie niż w rzeczywistości. Prostota tych wersów jest zamierzona.

- Tak pan uważa?

- Jestem o tym przekonany. Mamy tu bardzo wyraźny kontrast między powalającym infantylizmem wierszyków a skomplikowanym procesem związanym z wydrukowaniem zdjęć.

- Może to dwie osoby, jedna pisze listy, a druga...

- Wykluczylibym taką możliwość.

- Dlaczego?

- Bo to wszystko wygląda na pojedynek między dwiema osobami, panem i tym drugim.

Dobrze myślał ten mały.

- Jaki on może być?

- Mamy do dyspozycji zbyt mało materiałów, aby móc stworzyć jego zadowalający portret. Możemy tylko powiedzieć, że jest to osoba, która stwarza, jak by to ująć, pozory. Jak ktoś, kto chce przekonać nas, że to tylko niewinna zabawa.

- Ale według pana tak nie jest.

- Powiedziałbym, że nie. Coś mnie w tym wszystkim nie przekonuje.

- Tak więc mamy do czynienia z jakimś spryciarzem.

- Powiem więcej: z kimś inteligentnym.

- Czyli możemy jedynie czekać na następną listę – podsumował Montalbano, wstając i podając mu rękę.

- Będzie mnie pan o wszystkim informował?

- Oczywiście. Proszę zaspokoić moją ciekawość. Jak pan znalazł ulicę dei Mille?

- Wziąłem mapy z urzędu miasta.

Wieczorem, po stoczeniu walki z czterema porcjami calzoni (postanowił zjeść tylko dwie, ale przegrał), zadzwonił do Livii. Wolał nic jej nie mówić o kołnierzu.

– Utyłem – powiedział rozżalony.

– Jeszcze tylko tego brakowało.

Ależ ta Livia czasami mu dopieprzała! Co to niby miało znaczyć? Że miał już wszystkie inne możliwe wady, jakie może mieć facet? Lepiej udać, że nic nie usłyszał.

– Nie mogę powstrzymać się od jedzenia, od miesiąca nie mam nic do roboty! Uwierz mi, urzędnik z hipoteki ma bardziej urozmaicone życie ode mnie!

– Chcesz powiedzieć, że zbijasz bąki od miesiąca?

Bąki! Niemiłe słowo! O co jej właściwie chodzi?

– No prawie.

– Nie udało ci się znaleźć przynajmniej dwóch dni, żeby mnie odwiedzić?

– Myślałem o tym, ale ponieważ miałem nadzieję, że coś się jednak wydarzy...

– Co to znaczy „miałem nadzieję”? Miałeś nadzieję, że coś przeszkodzi ci w wyjeździe? Nikt cię nie zmusza. Możesz tam sobie siedzieć, ile dusza zapragnie! Tylko nie licz na to, że ja do ciebie przyjadę!

– Aleś się rozgadała! Pomyliłem czasowniki, chciałem powiedzieć, że obawiałem się.

– No fakt, we włoskim jesteś słabiutki.

– A ty niby mocna? Władasz nim perfekcyjnie! Nawet mówisz o zbijaniu jakichś bąków! Też coś!

Gwałtowna kłótnia trwała mniej niż pięć minut, po czym zaczęły spuszczać z tonu, aż doszło do wzajemnych przeprosin zakończonych ugodą. Montalbano obiecał jej, że następnego dnia o osiemnastej wsiądzie do samolotu do Genui.

Nazajutrz rano, kiedy już od pół godziny siedział w pracy, drzwi otworzyły się z takim hukiem, że Montalbano obserwujący uważnie lecącą wzdłuż pokoju muchę, aż podskoczył.

– Wypraszam przebaczenie, ale noga mi się obsunęła – usprawiedliwił się zdeprymowany Catarella.

Chciał zapukać nogą, bo obiema rękami trzymał całkiem okazałą paczkę.

– Teraz ją przynieśli i mówią, że mam osobiście we własnej osobie dostarczyć panu tutaj.

– Ale kto to mówi?

– Tak pisze na paczce.

Pochylił głowę i przeczytał:

– Dla komisarza Salva Montalbana, do rąk własnych.

– Kto to przyniósł?

– Jakiś chłopaczyna.

– Jest napisane, co zawiera?

– Tak jest, książki.

Nie zamawiał książek ani w księgarni w Vigacie, ani też w żadnym wydawnictwie. A nawet gdyby, to i tak przyszłyby pocztą, a nie w ten sposób.

– Daj mi ją – powiedział komisarz, idąc w stronę Catarelli.

Wziął paczkę, zważył w rękę. Sądząc po wielkości, powinna zawierać ze trzydzieści książek. Tylko że trzydzieści książek ważyłoby o wiele więcej niż ta przesyłka.

Coś tu się nie zgadzało.

– Otworzyć?

– Później.

Catarella wyszedł, a komisarz nadal obserwował muchę, która zapuściła się teraz na papier firmowy komisariatu. Jednak co jakiś czas rzucał okiem na przesyłkę. Bardzo go intrygowała.

W pewnym momencie już nie wytrzymał, wstał i przesiadł się na fotel, żeby móc ją obserwować z bliska.

Była prostokątna, wysoka na jakieś pół metra, opakowana w zwykły papier i podwójnie obwiązana grubym sznurkiem.

Dlaczego ta zwyczajna paczka wzbudzała w nim taki niepokój?

No tak, brakowało nadawcy, przyniósł ją jakiś niemożliwy do zidentyfikowania chłopak. Miała jakoby zawierać zwykłe książki, no i ten dopisek „do rąk własnych”, który zazwyczaj figuruje na listach, a nie paczkach. To wszystko nie było normalne.

I jeszcze coś... Przypadkiem poprzedniego wieczoru usłyszał w telewizji, że grupa anarchistów wysłała bombę w paczce do koszar karabinierów.

W Vigacie nie było co prawda anarchistów, ale skurwieli aż nadto.

Lepiej zachować ostrożność i nikogo nie wzywać do pomocy.

Wziął paczkę w rozłożone ręce i mocno ścisnął.

Usłyszał dziwny, zduszony dźwięk, jakby coś się przesunęło; aż podskoczył i schował się za biurkiem, oczekując wybuchu, który jednak nie nastąpił.

Za to do pokoju wszedł Mimì Augello. Czy on naprawdę zawsze musi się pojawiać w nieodpowiednim momencie?

– Jaki to film? – zapytał. – Dom strachu? Koszmar z ulicy Wiązów? Montalbano i duchy?

– Spadaj, Mimì, i nie zawracaj mi dupy – odpowiedział komisarz, prostując się i patrząc w taki sposób, że lepiej było posłuchać bez dyskusji.

– Okej, ale może powinien zbadać cię jakiś lekarz – powiedział, wychodząc.

Montalbano usiadł, pochylając się tak, że jego głowa znalazła się w odległości paru milimetrów od paczki. Wziął ją w ręce, mocno ścisnął i ponownie usłyszał ten sam dźwięk co poprzednio.

Teraz jednak nie uciekł, nie poruszył się, ponieważ zrozumiał.

W paczce znajdowało się metalowe pudełko. Zdjął opakowanie, starając się jak najmniej poruszać przesyłkę.

Miał rację.

W środku znajdowało się stare pudełko po herbatnikach Fratelli Lazzaroni.

Przypomniał sobie, że kiedy był dzieckiem, miał identyczne pudełko, w którym trzymał listy i zdjęcia. To jednak było jeszcze starsze, pochodziło chyba z pierwszej połowy dwudziestego

wieku. Istotnie na wieczku, zdobionym medalami i nagrodami zdobytymi w różnych konkursach, dumnie puszył się napis: „Dostawcy Rodziny Królewskiej”.

Wieczko przyklejono kilkoma warstwami taśmy. Komisarz wziął pudełko, podniósł je, przytknął do ucha i lekko potrząsnął. Nic nie usłyszał. Ze środka nie dobiegł żaden dźwięk.

Wstał, wziął nożyczki i przeciął taśmę.

Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie: podnieść wieczko. Jeżeli w środku była bomba, to ten ruch właśnie spowodowałby wybuch.

Jak silny mógłby być? Możliwe, że zabiłby nie tylko jego, ale jeszcze kogoś, i rozwalił połowę komisariatu.

Może lepiej wezwać saperów? Tych od materiałów wybuchowych? Tylko że mógłby wystawić się na pośmiewisko, jeśli w środku znaleźliby naprawdę herbatniki albo inne słodczyce.

Nie, trzeba spróbować samemu.

Pocił się. Zdjął marynarkę i pozostając w samej koszuli, uklęknął przed stolikiem. Podważywszy wieczko kciukiem, podniósł je o pół milimetra, usiłując zajrzeć do środka.

Mimo napięcia zachciało mu się śmiać i na chwilę przerwał operację.

Przypomniała mu się pewna gra z telewizji, w której prowadzący otwiera pudełka w taki sam sposób jak on teraz.

Otarł ręką pot z czoła i ponownie podniósł wieczko. Po pięciu minutach udało mu się je zdjąć i odłożyć na ziemię. W pudełku leżało zawiniątko opakowane w woskowane płótno, umieszczone w przezroczystej nylonowej torebce.

Sięgnął po nożyczki i nie wyjmując zawiniątko z pudełka, rozciął torebkę. Teraz mógł wziąć je w rękę i odwinąć. Wolał jednak przeciąć u góry nożyczkami. Nie było to łatwe, ale po jakichś dziesięciu minutach całość została już rozpakowana. Wystarczyło teraz unieść płótno. Odłożył nożyczki, ujął płótno w obie ręce i odchylił.

Patrzyło na niego dwoje martwych oczu. Poczł słodkawy zapach krwi, podskoczył na równe nogi, wrzasnął, wpadł na

drzwi. Po czym otworzył je, stając twarzą w twarz z Mimì Augellem.

– Co się stało?

– W tej paczce... chyba jest głowa.

Tymczasem pojawił się Fazio.

– Usłyszałem krzyk, co się dzieje?

– Chodź ze mną – powiedział Augello.

Weszli do pokoju. Montalbano wziął głęboki oddech i poszedł za nimi. Augello zdążył już zdjąć całe płótno.

– To głowa jagnięca – powiedział Mimì.

Wsadził do pudełka prawą rękę, po czym wyciągnął, trzymając za róg, poplamioną krwią kopertę, tak aby ułatwić sobie czytanie.

– Jest zaadresowana do ciebie, Salvo – powiedział. – Napisano: polowanie na skarb.

Podczas gdy Augello kładł list na biurku, Montalbano, odrobinę blady, zamknął drzwi na klucz.

– Nikt, poza wami tu, nie ma prawa wiedzieć o tej sprawie, jasne? – powiedział do Mimì i Fazio.

– To typowa mafijna pogróżka, której nie można przemilczeć – odpowiedział Augello. – Nie rozumiem...

– Nie zaczynaj mówić po włosku, bo mafia ni chuja nie ma z tym nic wspólnego.

– To o co chodzi?

– O polowanie na skarb. Nie napisano tak na kopercie?

– Posłuchaj – powiedział zimno Augello – albo powiesz, o co w tym wszystkim chodzi, albo wyjdę z pokoju i nie będę chciał niczego wiedzieć o tej historii.

– Nie mogę ci powiedzieć, Mimì, bo to jest tak absurdalne, że...

– Jak chcesz – odpowiedział obrażony Augello.

Przekręcił klucz, otworzył drzwi i wyszedł.

– Skombinuj gdzieś dwie pary lateksowych rękawiczek, parę przezroczystych toreb i wracaj tu – powiedział Montalbano do Fazio.

Usiadł i obejrzał kopertę. Na tyle, na ile mógł się zorientować przez nylon, ani koperta, ani charakter pisma nie różniły się od poprzednich.

Wrócił Fazio.

– Zamknij drzwi na klucz.

Fazio podał mu parę rękawiczek, drugą założył na rękę.

– Co mam robić?

– Wyciągnij tę głowę. Ale powkładaj do torebek wszystko, na czym mogą być odciski, płótno i samo pudełko.

– Mogę o coś zapytać, komisarzu?

– Jasne, słucham.

– Dlaczego interesują pana odciski palców? Odcinanie głowy jagnięciu nie jest karane w świetle kodeksu karnego.

Zadał to pytanie po włosku, żeby osłabić jego siłę i nie wydać się zbyt dociekliwym. Im bardziej Mimì był nierozważny, tym ostrożniej zachowywał się Fazio.

– Nie umiem ci odpowiedzieć. Coś mi mówi, że mogą się nam przydać w przyszłości.

Komisarz wciągnął rękawiczki i wziął do ręki kopertę. Owijający ją kawałek plastiku był zlepiony taśmą. Przeciął ją, wyjął kopertę i włożył do jednego z woreczków przyniesionych przez Fazio.

Nożem do papieru otworzył kopertę, wyciągnął znajomą połowę kartki i wsunął do torebki. Kartka była złożona na pół w taki sposób, że nie dało się przeczytać tego, co było na niej napisane.

– Gotowe – powiedział Fazio.

Montalbano wstał i podszedł bliżej.

Na podłodze, na rozłożonych gazetach, Fazio położył jagnięcą głowę. Płótno i metalowe pudełko znajdowały się już w dwóch osobnych torebkach.

– Co mam zrobić z tą głową?

– Wyrzuć do śmieci, tylko tak, żeby nikt cię nie widział.

– Dobrze.

– Przyjrzałeś się jej? Co o tym sądzisz?

– Najpierw zabito jagnię, może uduszono je jakimś sznurem, a potem ten, kto zabił, usiłował odciąć mu łeb. Ponieważ nie znał się na tym i nie miał doświadczenia, najpierw spróbował użyć noża, a następnie piły elektrycznej, co widać ze sposobu, w jaki

przecięto kość.

- Według ciebie kiedy to się stało?
- Wczoraj wieczorem. Mięso jest jeszcze świeże. Zanim owinął łeb w płótno, poczekał, aż się wykrwawi, żeby nie zalać pudełka.
- Masz jeszcze miejsce w szafie u siebie w pokoju?
- Mam.
- Zamykane na klucz?
- Tak jest.
- To leć teraz wyrzucić ten łeb, potem wróć, weź wszystkie dowody, torbę z biurka i zamknij wszystko na klucz w szafie. A klucz trzymaj przy sobie.

Kiedy został sam, rozłożył kartkę i przeczytał. Kolejny wierszyk. Przepisał treść, oryginał włożył do plastikowej torebki i zapieczętował. Kopię wsadził do kieszeni.

Polowanie na skarb doszło do punktu zwrotnego.

Z tego, co powiedział Fazio, a nie miał żadnego powodu, żeby wątpić w jego słowa, jego rywal nie skorzystał z pomocy rzeźnika, żeby odciąć łeb jagnięciu, tylko zrobił wszystko własnoręcznie.

A to dostarczało paru interesujących wskazówek.

Po pierwsze, osoba ta była tak bezwzględna i zdeterminowana, że wzięła żywe jagnię, udusiła je sznurem, po czym odcięła łeb tylko po to, żeby ta dziwna gra mogła toczyć się dalej.

Ilu z pracujących tu na komisariacie ludzi, począwszy od Montalbana, byłoby w stanie zrobić coś podobnego? Nikt, dałby sobie rękę uciąć. A zatem taki gość, zdolny do tego, co zrobił, jak to zrobił i jak się zachowywał, nie mógłby zostać potencjalnym mordercą?

Po drugie, człowiek ten musiał mieć jakiś kawałek ziemi i zwierzęta, nawet jeśli zazwyczaj mieszkał w mieście. Z pewnością nie ukradł tego jagnięcia, to byłoby zbyt ryzykowne. Musi mieć jakiś kawałek ziemi niedaleko stąd, gdzie trzyma też piłę elektryczną do ścinania gałęzi.

Jakkolwiek by było, gra stawiała się nieprzyjemna.

A to oznaczało, że nie mógł wyjechać na kilka dni z Vigaty do

Boccadasse.

O Matko święta! Przecież umówili się z Livią, że wyjedzie po niego na lotnisko!

Lepiej od razu ją zawiadomić, teraz, gdy jest w pracy. W ten sposób nie będzie mogła nawrzucać mu w obecności kolegów. Zadzwoił na jej bezpośredni numer i rzeczywiście podniosła słuchawkę. Mówił jednym tchem, na wydechu, nie pozwalając sobie przerwać.

– Posłuchaj mnie, Livio, właśnie stało się coś, o czym marzy... czego się obawiałem. Nie sądzę, żebym dał radę wyjechać. Uwierz mi, jestem zdruzgotany, no i tak bardzo chciałem wreszcie... Halo? Halo!

Livia już się rozłączyła. Trudno, podczas wieczornej rozmowy będzie musiał wytrzymać to wszystko, co mu powie, nie mógł nie przyznać jej racji.

U Enza tym razem się nie przeżarł. Zjadł normalnie, ale i tak poszedł na spacer do mola.

Usiadł na płaskiej skale, zapalił papierosa i dopiero kiedy skończył, wyciągnął z kieszeni kartkę, na której przepisał wierszyk.

*Jagnięca głowa
przysmak nie do pogardzenia,
ozór i mózg – to dwa piękne słowa
też nie do wyrzucenia.*

*Sprawnie ją przygotowują
smażoną lub w sosie
albo w piecu przyszykują,
aż z głodu zakręci w nosie!*

*Kiedy już się tym nacieszysz,
wina wypij na poczętek
i na spacer wnet pospieszysz
w jeden uroczy zakątek,*

*co nieba zdaje się kawałkiem.
Tutaj wreszcie się zatrzymasz.
Ale prawda nie ukaze się całkiem
i odpowiedzi nie otrzymasz.*

W pierwszej chwili nie zrozumiał, co rywal miał na myśli. Przeczytał wierszyk od początku. I doszedł do wniosku, że była w nim nakreślona kolejna trasa. Uprzedzano go jednak grzecznie, że po jej pokonaniu nic nie znajdzie. Skoro u celu nie otrzyma żadnej wskazówki co do dalszego postępowania, to jaki sens miały w ogóle te poszukiwania? Żadnego. No i co? Może ten etap polowania na skarb miał być chwilą odpoczynku? Nie, to nie miałoby sensu. Postanowił, że da sobie spokój, w każdym razie nie będzie działał w pośpiechu. Nie rozpocznie od razu poszukiwań. Ale potem zmienił zdanie. Mimo że nie miał żadnej konkretnej wskazówki, to może sam, po dojściu do celu, znajdzie coś pożytecznego. Wpadł na pomysł. Pobiegł do samochodu i ruszył, powtarzając sobie drugą zwrotkę, która zaczynała się od słów: Sprawnie ją przygotowują...

Żaluzje trattorii Enza były opuszczone do trzech czwartych. To znak, że ktoś był w środku. Zaparkował, wysiadł z auta i schylił się pod żaluzję.

– Jest tam ktoś?

– Kto pyta?

– Montalbano.

– Zaraz otworzę, proszę poczekać.

Enzo spojrział zaskoczony na komisarza.

– Co się stało?

– Potrzebuję pewnej informacji. Ile jest restauracji i tawern w Vigacie?

– Muszę policzyć, chwileczkę.

Zamknął oczy i zaczął liczyć na palcach.

– Chyba jedenaście – powiedział w końcu.

– A ile z nich ma w karcie jagnięce głowy?

Enzo wybałuszył oczy, zaskoczony:

– Ma pan na to chęć?

– Nawet mi przez myśl nie przeszło, chcę się tylko dowiedzieć.

– Żaden lokal tu u nas tego nie robi. Może na zamówienie, ale w karcie nie mają na pewno.

Zrobił przerwę.

– Wydaje mi się, że mówili mi jakiś czas temu o takim miejscu, gdzie...

Nie był pewny, a Montalbano nie naciskał.

– Wejdźmy do środka. Napije się pan kawy?

– Dlaczego nie?

W środku jeden z kelnerów zmywał podłogę. Enzo poszedł do kuchni i wrócił po jakimś czasie. Kawa była dobra, ale właściciel cały czas nad czymś się zastanawiał. Nagle klepnął się dłonią w czoło.

– Michele Lauria!

Pobiegł do telefonu wiszącego na ścianie, wziął książkę telefoniczną, przerzucił kartki i wykręcił numer.

– Przeszkadzam, Michele? Mogę chwilę? Chciałem cię o coś zapytać. Czy to ty mówiłeś mi o takim miejscu, gdzie sprzedają wino, ale robią też coś do jedzenia? I pieczoną głowę jagnięcą? Tak? Możesz mi powiedzieć, gdzie to jest i jak tam dojechać?

Posłuchał chwilę, podziękował, odłożył słuchawkę i uśmiechnięty odwrócił się w stronę komisarza.

– Zna pan drogę w stronę Gallotty?

I znowu wszystko zaczynał od początku. Objechał rondo, posuwając się ulicą dei Mille, minął cmentarz, bloki, wille i dojechał na szczyt, gdzie kończyła się droga. Zatrzymał się na chwilę. Po lewej stronie drewniany barak z jego zdjęciami, przed nim Gallotta, w odległości jakichś sześciu kilometrów. Najpierw zjazd w kierunku doliny, potem pod górę, do szczytu, wokół którego rozłożyło się miasteczko. Tych sześciu kilometrów nie pokryto asfaltem, ot, zwykła polna droga, którą jednak można było pokonać autem. Sam pamiętał, że jechał tędy podczas jednego ze śledztw.

Ruszył ponownie i ostrożnie zaczął zjeżdżać w stronę doliny. Po przejechaniu około trzech kilometrów zaczęła się wspinaczka. Do tej pory minął tylko jeden samochód jadący w przeciwną stronę i trzech mężczyźn na koniach.

Ciągle rozglądał się na wszystkie strony, w prawo i lewo, żeby zobaczyć, czy gdzieś znajdzie jakąś wskazówkę, ale na próżno. Kiedy już zaczął tracić nadzieję, pół kilometra przed Gallottą, po lewej, zauważył ścieżkę. Na rosnącym przy niej drzewie zawieszono kawałek deski z napisem: WINO. Można tu też zjeść.

Ścieżka była wąska, ale dawało się nią przejechać. Z obu stron rosły wysokie, gęste drzewa. Jakies trzydzieści metrów dalej zobaczył placyk z parterowym domkiem. Nad drzwiami wisiał taki sam napis jak przy drodze, z tym samym błędem, tyle że litery były większe. Koło drzwi stało wyplatane słomą krzesło, na którym siedziała potargana kobieta koło siedemdziesiątki, w kapciach i fartuchu.

Kiedy ujrzała nadjeżdżający samochód, wstała i weszła do domu. Komisarz zaparkował, wysiadł z auta i poszedł za nią. Znalazł się w pomieszczeniu zastawionym dziesięcioma stolikami przykrytymi ceratą. Staruszka stała za barem. Za jej plecami widać było dwie beczki wina, dość dużą lodówkę oraz

murowane półki z butelkami i kieliszkami.

– Co podać?

– Kieliszek wina.

Staruszka nalała mu bezpośrednio z beczki. Było świetne.

– A co mi pani robi do jedzenia?

– Jedzenie to u nas tylko wieczorem, do wina.

Czyli gotowali jedynie wieczorami, kiedy z miasteczka zjeżdżali tu goście, żeby grać w karty i pić.

– To prawda, że robicie też jagnięcą głowę?

– Tak, ale tylko w sobotę wieczorem. Kiedy jest więcej ludzi.

– Jak ją robicie?

– Czasami w sosie, w niektóre wieczory smażoną albo pieczoną...

Wszystko się zgadzało.

– A w inne dni?

– Kiełbasę, żeberka wieprzowe, smażony ser, takie tam.

– Poproszę jeszcze jeden.

Staruszka nalała mu wina. Zapłacił, pożegnał się i wyszedł. No i co teraz? Wyjął wierszyk z kieszeni.

*I na spacer wnet pospieszysz
w jeden uroczy zakątek,
co nieba zdaje się kawałkiem*

I tu zaczynały się schody. Wskazówki przekazane w wierszyku były zbyt skąpe. Spacer, no dobrze, ale w którym kierunku? Samochodem... nie, chwila moment. Instynkt odpowiedział mu, że powinien pójść na piechotę.

Pośrednio sugerował to też wierszyk. Zjedz jagnięcą głowę, wypij wina i przejdź się, żeby strawić posiłek, jak to sam zwykł robić, chodząc do mola po obiedzie. Czyli to miejsce przypominające kawałek nieba siłą rzeczy musi być gdzieś w okolicy. Teraz zauważył, że droga, którą tu przyjechał, biegła dalej. Tyle że nie była już drogą, ale ścieżką pośród gęstych drzew, pełną dziur i wybojów. Podszedł bliżej. Widać było ślady jakiegoś auta, z pewnością terenowego. Jego samochód nie

wjechałby tu. Żaden miejski samochód nie dałby rady.

Staruszka ponownie usiadła na wyplatanym krześle.

Mógł zapytać ją, dokąd prowadzi ta dróżka, ale nie chciał za bardzo rzucać się w oczy, prowokować pytania i budzić ciekawość. Pozostawało mu tylko jedno: pójść tam samemu.

Po przejściu pierwszych kroków od razu zrozumiał, że nawet pieszo nie będzie łatwo. Ścieżkę po obu stronach porastały olbrzymie, rzucające cień drzewa karobowe, których korzenie przecinały drogę jak pełzające węże. Trudno było utrzymać równowagę przez te wybrzuszenia. Jeśli skręcisz sobie nogę, już po tobie. Minie wiele dni, zanim ktoś cię tu znajdzie. Zajął szybko przeciął mu drogę. A po jakimś czasie pojawił się dwumetrowy zielonkawy wąż, który nie zaszczycił go ani jednym spojrzeniem. Od jak dawna nie widział zwierząt na wolności? I od kiedy nie słyszał tylu śpiewających razem ptaków?

Po dziesięciu minutach poczuł zmęczenie. Nie był przyzwyczajony do takich akrobacji, stąpał niepewnie, pochylony bardziej niż krzywa wieża w Pizie. Przysiadł pod jednym z drzew karobowych i zapalił papierosa.

Kiedy był mały, strąków tych drzew, chlebków świętojańskich, używano jako paszy dla czworonogów. Komisarz, mimo że poruszał się na dwóch nogach, też bardzo je lubił. Pochłaniał je zarówno na surowo, bo miały bardzo słodki smak, jak i pieczone, choć stawały się nieco gorzkawe. Pewnego razu tyle się ich najadł, że przez dwa dni bolał go brzuch.

Kiedy odpoczął, ruszył w drogę. Po dziesięciu minutach zrozumiał, że dotarł do celu. Ścieżka doprowadziła go do rozległej polany z małym jeziorkiem pośrodku. Nie wiadomo, w jaki sposób powstało, ani dlaczego akurat w tym miejscu. Było duże jak ćwierć boiska do piłki nożnej, doskonale okrągłe. Wydawało się sztuczne, choć było naturalne. Rywal słusznie mu napisał, że przypominało kawałek nieba. Nieruchoma woda miała idealnie niebieski kolor. Stado ptaków piło wodę, niektóre się kąpały. Niedaleko nich spał zwinięty w kłębek pies.

Montalbano usiadł na ziemi.

Ścieżka biegła wokół jeziora, potem wspinała się aż do

piętrowego domku, za którym rozpościerał się las. Komisarz pomyślał, że skoro już tu jest, warto wszystko dokładnie sprawdzić. Jeśli powiedziało się a...

Odsapnął jeszcze chwilę, po czym wstał i ruszył w stronę domu.

Zbliżywszy się, zobaczył, że dom był prawie całkowicie zniszczony. Brakowało drzwi i okiennic w oknie obok wejścia. Na piętrze, w miejscu okna, widać było prostokątną dziurę.

Wszedł do środka.

Na parterze znajdowało się jedno pomieszczenie. Po prawej komisarz zobaczył pozostałości murowanej dwufajerkowej kuchni opalanej drewnem. Obok rodzaj kamiennego zlewu wciśniętego w mur i resztki dzbana do oliwy. Na ziemi kilka prezerwatyw, dwie strzykawki i podziurawiony śpiwór...

Żadnego mebla.

Z lewej strony znajdowały się drewniane schody prowadzące na górę. Przed wejściem Montalbano poruszył je ręką, żeby sprawdzić, czy utrzymają jego ciężar. Drewno nie było ani przegniłe, ani zjedzone przez korniki. Wszedł na górę.

Pokój na piętrze był tak samo pusty jak ten na dole. Tu też walały się prezerwatywy i strzykawki.

Montalbano wybiegł z domku, obawiając się, że jeśli zostanie tam dłużej, obleżą go pchły.

Przez chwilę przyglądał się jezioru. Z pewnością było zjawiskowe, ale jeśli chodzi o polowanie na skarb, to nie kojarzyło mu się absolutnie z niczym.

Zresztą autor wierszyka uczciwie go ostrzegął:

*Ale prawda nie ukaże się całkiem
i odpowiedzi nie otrzymasz.*

Nie mógł narzekać, że stracił czas, ponieważ spacer okazał się ciekawy i korzystny dla zdrowia. Może jednak nie za bardzo korzystny, bo jakaś pchła ukąsiła go właśnie w rękę.

Wrócił tą samą drogą, znów balansując z trudem na wystających korzeniach, pochylony jak wieża w Pizie, z przepoconym kołnierzykiem i bardzo zmęczony.

Po dojściu na placyk wsiadł do auta i odpoczywał, paląc papierosa. Wyplatane słomą krzesło było puste, może staruszka zaczęła już przygotowywać jedzenie na wieczór.

Po jakimś czasie przekręcił kluczyk i odjechał.

Jedyny konkret, myślał sobie, wracając do pracy, nie oszałamiał, ale i tak w ciemnościach otaczających całą sprawę był małym otworkiem wielkości główki od szpilki, przez który wpadała iskierka światła.

Ulica dei Mille, droga do Gallotty i jej okolice to przecież teren znany i uczęszczany przez jego rywala. Montalbano był bardziej niż pewny, że nawet Fazio nic nie wiedział o tym jeziorku z wodą koloru nieba.

– Dzwonił ktoś do mnie, Catarè?

– Ani do pana, ani do nikogo.

Flauta trwała nadal. Miał już pójść do gabinetu, kiedy Catarella go zatrzymał.

– Da mi pan chwilkę?

– Po co?

– Krzyżówka.

– Co chcesz wiedzieć?

– Tutej piszą: walczą z myszami. Słowo na cztery litery. Mnie wyszło, że buła, ale nigdy nie widziałem, jak się ta buła bije, co najwyżej to myszy ją jedzą.

– To Batrachomyomachia – powiedział komisarz.

Catarella zbladł.

– Jezusie przenajśłodszy, co to za słowa oni wymyślają!

– Nie przejmuj się, słowo, którego szukasz, to żaby.

– No to, za przeproszeniem pana komisarza, ta rzecz, co ją w nocy widziałem, to nie był nieteperz?

– Nie, to radar.

– No fakt, o Matko, dziękuję, komisarzu!

– Znasz może takie jeziorko koło Gallotty?

– Nie, piekniki to ja lubię nad morza brzegiem.

– Poproś do mnie Fazio.

Jak to możliwe, że biuro znowu było pełne niepodpisanych dokumentów? Jeśli wszyscy ludzie nagle zniknęliby z powierzchni ziemi, to i tak dokumenty do podpisu narastałyby na biurkach na całym świecie.

– Słucham pana, komisarzu?

– Fazio, znasz może takie małe jezioro w okolicach Gallotty?

– Tak.

Odpowiedź mocno go zdziwiła. Był bardziej niż przekonany, że i Fazio zaprzeczy.

– Jeźdź tam na pieknieki, jak mówi Catarella?

– Nie lubię pikników, ale jakiś rok przed pana przyjazdem coś się tam wydarzyło.

– Co?

– Blisko jeziora stała chałupa zamieszkała przez wieśniaka, wdowca, chyba nazywał się Parisi, tak, Tano Parisi. Miał szesnastoletnią piękną córkę. Pewnego dnia Tano zgłosił zaginięcie tej córki, nie pamiętam tylko, jak miała na imię. I potem już nic o niej nie słyszałem.

– Zostało przeprowadzone śledztwo?

– Oczywiście! Ja też brałem w nim udział. Ówczesny komisarz, Bonvicino, aresztował ojca.

– A dlaczego?

– Bo mówiło się, że Tano, ojciec tej dziewczyny, wykorzystywał ją. Lekarz z miasteczka nie powiedział tego jasno, ale dał do zrozumienia komisarzowi Bonvicinowi, że mała była w ciąży.

– A nie mogła być w ciąży z kimś innym?

– No właśnie. Druga część miasteczka uważała, że co prawda ojciec ją wykorzystywał, ale ona używała sobie także z kimś z Gallotty i to z nim właśnie zaszła w ciążę. I wtedy, bojąc się powiedzieć ojcu o ciąży, utopiła się w jeziorze.

– Jest takie głębokie?

– I to bardzo. Co jakiś czas badają je geolodzy. Nie wiedzą, jaka jest tego przyczyna.

– Jakiś się nazywa?

– Co?

- Jezioro.

- A tak, mówią na nie Jezioro Pana, Boskie Jezioro. Podobno kiedy Bóg rozpostarł niebo nad stworzonym światem, oderwał kawałek. Palcem wskazującym zrobił głęboką dziurę w ziemi, właśnie w tym miejscu niedaleko Gallotty. Wsadził w nią kawałek pozostałego płótna i zamienił je w wodę. Dlatego właśnie jezioro ma taki kolor i głębokość.

Czyli przeciwnik komisarza znał pewnie i tę legendę.

- A co się stało z ojcem dziewczyny?

- Uniewinniono go z braku dowodów. Ale ci, którzy uważali go za zabójcę córki, nie pozostawili go w spokoju i czasem nocą strzelali w jego dom. Wtedy Tano, przerażony, że prędzej czy później go zabiją, wyprowadził się. Dlaczego interesuje pana to jezioro? Coś się tam stało w tym obozowisku?

- W jakim obozowisku?

- Od jakiegoś czasu w lesie za chałupą Tana pomieszkuje przyjezdna młodzież, która żyje w zgodzie z naturą i z dupą na wierzchu. Co jakiś czas wybucha kłótnia i w ruch idą noże.

- Komisarzu, aktualnie szuka pana na telefonie pana gosposia, mam ją połączyć?

- Jak się czujesz, Adelino?

- Dobrze, komisarzu. Chciałam powiedzieć, że jutro rano wracam do pracy.

- Jesteś na siłach?

- Tak, chciałam tylko prosić pana o przysługę. Proszę nie myśleć, że się wtrącam w cudze sprawy, ale...

- Śmiało!

- Niech pan zabierze z domu te lalki, boję się ich. Matko najświętsza, tak mnie przerażają!

- Nie martw się, już je zabrałem.

Zjadł mało, nie chciało mu się iść samemu wieczorem do tawerny. Przyzwyczał się ostatnio, żeby jadać w Marinelli. Na szczęście to ostatni raz i od jutra, gdy otworzy lodówkę, znowu będzie podziwiał te cudowne niespodzianki Adeliny.

Obejrzał lokalne i krajowe wiadomości. W Salemi zabili kogoś, kto miał ziemię w okolicy, i nikt oczywiście nic nie słyszał ani nic nie widział. Motywem miał być ciągnący się od lat proces o spadek, ale sprawa wydawała się niezwykle skomplikowana. Montalbano poczuł nagle, że zazdrości odpowiedzialnemu za śledztwo koledze.

Czy to możliwe, że cierpiał na syndrom braku zabójstw? Zanim się położył, postanowił pogodzić się z Livią i zadzwonił do niej.

– Posłuchaj, mimo że rano się rozłączyłaś...

– Ja się nie rozłączałam.

– Nie?

– Nie, przerwano połączenie, krzyczałam „halo” do słuchawki, a potem ją odłożyłam.

– Dlaczego nie oddzwoniłaś?

– Bo usłyszałam najważniejsze, czyli że nie przyjeżdżasz, i nie miałam chęci dzwonić do pracy. A jeśli naprawdę chcesz to usłyszeć, to byłam przekonana, że nie przyjedziesz.

– Przysięgam, Livio, że...

– Daj spokój.

Zapadła cisza oceniana na czterdzieści poniżej zera. Potem zaczęła mówić, choć może lepiej by się stało, gdyby tego nie zrobiła.

– Tym razem jaki masz pretekst?

– Jaki pretekst?

– Który sobie wymyśliłeś, żeby nie przyjeżdżać.

– Jaki znowu pretekst! Nie muszę nic sobie wymyślać! Ponieważ wbrew mojej woli zostałem włączony do polowania na skarb i właśnie...

– Cooo?

Matko święta, popełnił błąd, zaczynając w ten sposób. Jak jej teraz wytłumaczy, o co w tym wszystkim chodzi? Nie udałoby mu się to za żadne, z przeproszeniem, skarby. Ale nic nie miał do stracenia, lepiej spróbować jeszcze raz.

– Posłuchaj mnie, zaraz ci wytłumaczę.

– Co ty chcesz mi tłumaczyć? Polowanie na skarb? Wiem, co to

jest. Kilka razy sama też się w to bawiłam.

– Tylko że w tym przypadku to dość szczególne polowanie...

– Kto jest twoim rywalem? Ingrid czy jakaś inna, której nie miałam jeszcze przyjemności poznać?

– Przestań, co ma z tym wspólnego In...

– Dość już tego! Paniczyk nie przyjeżdża do mnie, bo musi brać udział w polowaniu na skarb razem ze swoimi przyjaciółkami! Wiesz co? Mam dość! Po dziurki w nosie!

– A ja nie?

Livia odłożyła słuchawkę. Całe szczęście, bo kiedy usłyszał, że mówi o nim „paniczyk”, Montalbano dostał szału.

I tak, zamiast się pogodzić, do jednej szkody dołożył drugą. Ale warto zaznaczyć, że wina nie leżała tylko po jego stronie. Livia nigdy nie dawała mu skończyć zdania, ciągle przerywała, co doprowadzało go do furii.

W każdym razie tego wieczoru lepiej było już do niej nie dzwonić.

Następnego dnia rano pojechał prosto do szpitala w Montelusie. Zbadano go i usłyszał, że może już nie nosić kołnierza.

Czuł się tak, jak musiał się czuć uwolniony z łańcuchów niewolnik.

– Ktoś dzwonił, coś się dzieje?

– Nic a nic komisarzu. Da mi pan chwilkę?

– O co chodzi?

– Rebus.

– O nie, nie umiem ich rozwiązywać.

Nie była to prawda, tak sobie zmyślił, ale czyż komisarz z tak wspaniałą przeszłością, mimo że obecnie egzystujący w szarej rzeczywistości, mógł zniżyć się do rozwiązywania łamigłówek z telefonistą, w dodatku w osobie Catarelli?

Kiedy minęła jedenasta, a Montalbano od dwóch godzin składał podpisy, zadzwonił Arturo.

– Nic nowego, komisarzu?

– Coś tam jest.

– Może mi pan powiedzieć?

– Przez telefon? To za długo by trwało.

– To może wpadnę?

Tego ranka nie chciało mu się nawet myśleć. Konieczność składania niepotrzebnych podpisów na jeszcze bardziej niepotrzebnych dokumentach paraliżowała mu mózg.

– Może wpadnie pan koło piątej?

– Jasne, to do piątej, będę punktualnie.

Po głosie można było poznać, że młodzieniec aż przebierał nogami, żeby poznać nowiny.

Po napchaniu brzucha makaronem z atramentem kałamarnicy i pół kilo krewetek odbył zwyczajowy spacer aż do latarni, usiadł na płaskiej skale i przez pół godziny drażnił jakiegoś kraba.

Potem wrócił do biura. Punktualnie o piątej pojawił się Arturo.

Komisarz rozmawiał właśnie przez telefon z szefem gabinetu kwestora, panem Lattesem, który chciał się dowiedzieć, dlaczego komisariat nie odpowiedział do tej pory na kwestionariusz numer 3289/PA/045, o którym on, Montalbano, nie wiedział, ani co zawiera, ani gdzie jest.

– Zajmę się tym oczywiście.

Odłożył słuchawkę i zadzwonił do Fazia.

– Możesz wpaść na chwilę?

Kiedy czekał, zapisał numer kwestionariusza na kartce. Wręczył ją Faziowi.

– Chcą, żebyśmy jak najszybciej odpowiedzieli na kwestionariusz z tym numerem. Dlatego właśnie... – powiedział, wręczając kartkę. – Weź te wszystkie papiery stąd, zanieś do siebie i poszukaj.

Fazio musiał obrócić dwa razy, żeby opróżnić biurko.

Arturo kręcił się niecierpliwie na krześle. Kiedy Fazio skończył, już nie wytrzymał.

– No i? – zapytał natarczywie.

Montalbano bez słowa wyjął list z wierszykiem i podał go chłopakowi. Ten o mało nie wyrwał mu kartki z ręki.

– To jasne, że chodzi o inną trasę – powiedział po dwukrotnym przeczytaniu.

Nagle Montalbano pomyślał, że wystawi go na próbę.

Chciał się przekonać, jak bardzo był inteligentny.

– Jasne, ale pan wie, gdzie to jest? Ja, szczerze mówiąc, tym razem nic nie zrozumiałem. Nawet nie rozpocząłem poszukiwań jak poprzednio. Na przykład o co chodzi z tą jagnięcą głową?

– Według mnie, ale mogę się mylić, chodzi przede wszystkim o znalezienie miejsca albo miejscowości, gdzie zazwyczaj podają tę głowę.

– Tak pan uważa? Czyli chodzi o jakąś restaurację w Vigacie?

– Nie sądzę, żeby to podawali w restauracjach. Może raczej jakaś tawerna.

– I co potem? Znajduję to miejsce i dokąd idę? Tego tu nie ma.

– Prawdopodobnie po odkryciu miejsca będzie jasne, w którą stronę pójść.

– Może i ma pan rację, w każdym razie te poszukiwania wydają mi się bezsensowne, szkoda czasu i fatygi.

– Dlaczego?

– Nie czytał pan ostatnich dwóch linijek? Mówi, że nie znajdzie odpowiedzi na moje pytanie. No to po co mam tracić czas?

– Ja tak nie uważam.

– To co by pan zrobił?

– Myślę, że przeciwnik mówi, że nie znajdzie tam pan żadnych nowych instrukcji od niego, ale intuicyjnie odkryje pan coś, co potem okaże się przydatne.

– Może i tak jest, jak pan mówi, ale nie zamierzam się ruszać. Rezygnuję z udziału w tej głupiej grze.

Na twarzy chłopaka odmalowało się wielkie rozczarowanie. A raczej na twarzy dziecka, bo teraz wyglądał zupełnie jak dziecko.

– Rezygnuje pan?

Jeszcze się popłaczę?

– Raczej tak.

– Ale pan nie może się wycofać!

– A niby dlaczego? To nie ja zaproponowałem tę zabawę, nawet mnie nie spytano, czy mam zamiar w to grać, tak więc mogę się wycofać, kiedy mi się tylko podoba.

– Czy pozwoli pan coś sobie zaproponować? – zapytał Arturo.

Trzymał ręce złożone jak do modlitwy. Wydawało się, że chęć wycofania się z rozgrywki bardzo nim wstrząsnęła.

– Słucham.

– A może ja tam pójde zamiast pana?

– Nie uważam tego za wskazane.

– Dlaczego?

– Jeśli przeciwnik odkryje, że wziąłem sobie pana do pomocy...

– Ale zrobię tak, żeby się nie zorientował. Będę bardzo uważał!

– Da pan radę?

– Proszę mi pozwolić spróbować.

Montalbano właśnie na to czekał. Posiedział trochę w milczeniu, jakby oceniając wszystkie za i przeciw, po czym powiedział:

– Zgoda.

Arturo aż podskoczył, oczy błyszczały mu z radości.

– Dziękuję za zaufanie. Odezwę się wkrótce.

Uścisnęli sobie dłonie. Chłopak wyszedł w pośpiechu. Przypominał psa ścigającego zająca.

Po pięciu minutach wszedł Fazio.

– Znalazłem!

Wypełnienie formularza 3289/PA/045, „załączanego do wniosku o otrzymanie danych zgodnie z zadaniami i obowiązkami archiwisty”, zajęło mu prawie godzinę, podczas

której przeklinał w myślach, a chwile zwątpienia okazały się tak silne, że rozważał nawet samobójstwo.

Przed wyjściem z komisariatu pomyślał, żeby zadzwonić do Ingrid. Chciał ją wypytać o Artura, ten chłopak bardzo go intrygował.

Było raczej mało prawdopodobne, że zastanie ją w domu o tej godzinie, na pewno wyszła z koleżanką lub kolegą. Ale chciał sam się przekonać.

– Kalio, kto mówić? – powiedział niski głos, typowy dla śpiewaków bluesa lub artystów z Bolszoja, tyle że należący do kobiety.

Ingrid specjalizowała się w wymianie pokojówek i lokajów co piętnaście dni, tylko dlatego że była bardzo zmienna w uczuciach. Zawsze wybierała osoby pochodzące z tak nieznanymi miejsc, że aby je znaleźć na mapie, potrzebne było wielkie szkło powiększające.

– Mówi Montalbano.

– Jak ty nazywać? Montabbano czy Muwi?

Pięknie byłoby nazywać się Muwi! Naprawdę chciałyby mieć takie nazwisko. Komisarz odpowiedział kobiecie w tym samym języku.

– Montabbano. Rozmawiać z pani Ingrid on chce.

– Czykać.

Z pewnością chciała powiedzieć, żeby poczekał. I rzeczywiście czykał pięć minut, podczas których parę razy powtarzał: halo, jest tam kto, obawiając się, że przerwą połączenie i będzie musiał znowu porozumieć się z pokojówką z Górnego Turkiestanu.

– Cześć, Salvo, co za niespodzianka!

– Skąd pochodzi ta pokojówka?

– Nie wiem, jutro przyślą mi kogoś nowego.

Cholera, właśnie teraz, kiedy zaczęła już mówić po włosku!

– Co robisz wieczorem?

– Widzę, że nie tracisz czasu, żeby dojść do celu. Jestem zajęta, umówiłam się z przyjacielem, który nazywa się tak jak ty, Montabbano. Ale mogę do niego przyjechać nie wcześniej niż za godzinę.

- Nawet nie śmiałem o tym marzyć!
Roześmiała się.
- Mamy chude czasy, Salvo.
- I komu ty to mówisz! No dobrze, czekam na ciebie w Marinelli i potem zdecydujemy, dokąd pojechać.
Przy wyjściu zatrzymał go Catarella.
- Idzie pan sobie już? Pomoże pan chwilę?
- Zgoda, mów.
- Dziękuję, komisarzu.
- Rebus czy krzyżówka?
- Krzyżówka.
- Mów.
- Nie zawsze się świeci. Co to jest? To chyba żarówka, ale przecież ona to się zawsze świeci. Chociaż nie, bo u mnie to się kiedyś spaliła i nie świeciła.
- Nie, Catarè, to złoto. Nie wszystko złoto, co się świeci.
- Ależ pan zdolny, Matko moja! Geniusz i tyle! Jak Leonardo zupełnie.
Nie odważył się zapytać Catarelli, czy miał na myśli Leonarda da Vinci.

Może Adelina wpadła na świetny pomysł i uczciła kulinarnie swój powrót do pracy?

Nie mylił się. Po otwarciu lodówki zobaczył dziesięć roladek z mącznika zrobionych tak, jak lubił, i dwa duże fenkuły, doskonale odświeżające oddech, pokrojone i oczyszczone. Była tam też butelka schłodzonego wina. I kartka z napisem: „Zajrzeć do piecyka”. No to zajrzał.

W piecu lśniła zapiekanka z makaronu i bakłażanów!

Żadna siła ani czar Ingrid nie przekonałyby go do zjedzenia dzisiaj w restauracji. Na wszelki wypadek wziął jeszcze jedną butelkę i włożył do lodówki. W tej samej chwili przypomniał sobie, że nie miał w domu ani kropli whisky.

Wyszedł, zostawiwszy przymknięte drzwi i zapalone światło w przedpokoju. Wsiadł do samochodu i pojechał do baru w Marinelli, gdzie za whisky liczyli sobie podwójnie.

Kupić jedną czy dwie butelki? Lepiej jedną, i to nie z oszczędności, tylko mogliby jeszcze wszystko wypić, a potem Ingrid nie byłaby w stanie prowadzić w drodze do domu do Montelusy. A to oznaczałoby dość niewygodną noc.

Sądząc po bolidzie zaparkowanym pod drzwiami, Ingrid już chyba przyjechała.

Wszedł. Ingrid otworzyła drzwi balkonowe i nakrywała do stołu na werandzie. W jadalni na stole stała już przyniesiona przez nią butelka whisky.

– Ponieważ wczoraj wypiliśmy wszystko...

Nie udało się, ale próbował. Pewnie wieczorem znowu będzie bis.

– Może chciałaś pojechać do restauracji?

– Ani mi się śni, już widziałam, co ci przygotowała Adelina.

Inteligentna kobieta i prawdziwa przyjaciółka, bez dwóch zdań.

– Zajrzałam pod łóżko i lalek już tam nie ma – ciągnęła Ingrid ze specyficznym uśmieszkiem. – Skąd dzisiaj wyjdą?

– Znikąd. Zawiozłem je na komisariat.

– Rzuciłeś je na pożarcie swoim ludziom jako łup wojenny?

– Oni nie potrzebują takich zamienników!

– Odkryłeś już, skąd ta, powiedzmy, duplikacja?

– Nie. Ale mam dziwne wrażenie, że na tym nie koniec. Idę do kuchni włączyć piecyk.

Poszła za nim.

– Aha – powiedziała po chwili – nie wiem, czy...

Zatrzymał się. Ingrid była najwyraźniej skonfundowana.

– O co chodzi?

– Jakiś czas temu chyba głupio się zachowałam.

– Co się stało?

– Kiedy tylko weszłam, zadzwonił telefon i podniosłam słuchawkę. Zupełnie odruchowo, naprawdę, przepraszam.

– Nie ma sprawy. Kto dzwonił?

– Livia.

O kurwa!

Widząc minę Montalbana, usiłowała jakoś wybrnąć.

– W każdym razie tak mi się wydawało.

Dlaczego dzwoniła o tej porze? Może miała mu coś ważnego do powiedzenia?

– Co ci powiedziała?

– Kiedy podniosłam słuchawkę, zapytała o coś, czego nie rozumiałam, „jak idzie polowanie na skarb” lub podobnie. I od razu się rozłączyła. Ale nie jestem pewna, czy dobrze rozumiałam.

– Bardzo dobrze rozumiałaś.

Niestety. I co on ma teraz zrobić? Oddzwonić? Tyle że Livia, wiedząc, że jest z Ingrid, nie odbierze, a jeśli nawet, to zrobi taką scenę, że żołądek mu się wywróci na drugą stronę. Lepiej nic nie robić, nie podejmować żadnej inicjatywy, jeszcze przez tę rozmowę z Livią zaszkodzi mu makaron albo roladki.

Pod koniec kolacji zebrali ze stołu i wrócili na werandę z butelką i dwiema szklankami.

Wieczór był jak z bajki, bez najłżejszego podmuchu wiatru, gwiazdy jasno błyszcząły na niebie, nawet morze się uspokoilo.

– My, kobiety, jesteśmy ciekawskie – zaczęła Ingrid. – I przez cały ten wspomniały wieczór nie myślałam o niczym innym, tylko o słowach Livii.

– Lepiej nie...

Ale ona nalegała.

– Możesz mi wyjaśnić, co miała na myśli, mówiąc o tym polowaniu? Nie sądzę, żebyś lubił takie zabawy. W dodatku kiedy ci o tym powiedziałam, miałeś dziwną minę!

– No cóż, to nie prawdziwe polowanie na skarb, raczej zostałem wmieszany w pewnego rodzaju wyzwanie, które mój nieznanymi przeciwnik właśnie tak nazwał.

– Dlaczego mówisz, że to wyzwanie?

– Bo to on organizuje całą grę, a ja jestem jego jedynym przeciwnikiem. Może lepiej byłoby nazwać ją pojedyńkiem. Przynajmniej tak było jeszcze parę dni temu.

– A potem co się stało?

– Poznałem twój przyjaciela, Artura.

– Ano tak, zapomniałam. Co o nim sądzisz?

- To bardzo inteligentny chłopak. Ciekawa postać, tak mi się wydaje. Chce odkryć, jak działa mój mózg podczas śledztwa, masz pojęcie? Od razu wydało mi się to śmieszne.

- Odmówiłeś?

- Chciałem, ale dałem się przekonać. Bardziej jego entuzjazmem niż słowami. Przyszedł mi wtedy do głowy pomysł, żeby wprowadzić go w sprawę tego polowania, i od razu się do niego zapalił. Pomyśl tylko, dzisiaj wysłałem go, by mnie zastąpił w poszukiwaniu skarbu.

- Ale numer! Na pewno będzie szczęśliwy! Darzy cię niezmiernym szacunkiem.

- Jak go poznałeś?

- Przez Carla, jego ojca, który studiował i rozrabiał w polityce z moim mężem.

- Byłaś...

- Zanim dokończysz pytanie, powiem, że między nami nic nie było. Pewnego dnia mąż zaprosił go na obiad, ja niedawno przyjechałam do Montelusy. Artura poznałam, gdy był jeszcze dzieckiem. Wyglądał dokładnie jak Harry Potter. I cały czas jest do niego podobny.

- Jak wygląda jego matka?

- Umarła przy urodzeniu. Właściwie wychowywali go dziadkowie.

- Jest w tobie zakochany?

- Najpierw zadurzył się, gdy był dzieckiem, jakoś tak obsesyjnie. Gdy dorastał, zmieniało się to w coś pomiędzy romantycznym zakochaniem a fizycznym pożądaniem. Wiesz, że on jest bardzo niebezpieczny?

- No co ty, Harry Potter?

- Posłuchaj, co ci powiem. Jakiś miesiąc temu znalazłam się z nim sam na sam. Pojechałam do domu Carla, który zaprosił mnie na kolację, ale nie było go jeszcze, kiedy weszłam i czekałam w salonie. Arturo, który nie mieszka z ojcem, pojawił się niedługo potem. Usiadł koło mnie na sofie i zaczął rozmawiać, gładząc co jakiś moją rękę drżącą dłonią. Był jak w transie. Po pięciu minutach...

- Rzucił się na ciebie.

- I tu się mylisz. Chcesz wiedzieć? To ja prawie się na niego rzuciłam.

- Naprawdę?

- Tak, nie możesz zrozumieć siły tego pożądania, jakie emanowało z jego ciała. Niesamowite wrażenie. Za każdym razem, kiedy dotykał mojego ramienia, przechodził mnie dreszcz. Kontrolowałam się, wiedząc, że mam dwa razy więcej lat niż on, znalazłam sobie takie głupie wytłumaczenie. Zresztą bałam się go trochę, na szczęście przyjechał Carlo.

- Ma dziewczynę?

- Z tego co wiem, nie. I nie sądzę, żeby... Myślę, że jest bardzo nieśmiały w kontaktach z kobietami i pewnie nie ma też przyjaciół. W każdym razie widzę, że i tobie wydał się interesujący.

- Bardzo. Mówił, że tu w Vigacie ma dom.

- Tak.

- Byłaś tam kiedyś?

Śmiech.

- Nigdy. Gdybym poszła, to z pewnością coś między nami by się wydarzyło.

- Wiesz przynajmniej, w której części miasta mieszka?

- Nie.

- Co on chce robić oprócz studiowania filozofii?

- Nie mam pojęcia, dowiem się, jeśli chcesz.

- Nie! Zaciekawiał mnie, choć moja ciekawość nie dotyczy jego życia prywatnego.

- Rozdział zamknięty?

- Tak.

- To mogę już sobie pójść?

- Dlaczego? - zapytał osłupiały Montalbano.

Nie odpowiedziała. Objęła go ramieniem, przyciągnęła do siebie i pocałowała w usta.

- Kiedy zadzwoniłeś, żeby mnie zaprosić, wiedziałam, że nie zawdzięczałam tego, jak by to powiedzieć, moim kobiecym wdziękom. Zastanawiałam się, czego ode mnie chcesz. Teraz

rozumiem, że potrzebowałeś dowiedzieć się czegoś o Arturze.

– Ale to ty sama zaczęłaś o nim mówić.

– Tak, ale pan jest taki zręczny, komisarzu Montalbano.

– A ty sprytna.

– Teraz kiedy wiesz wszystko, już ci nie jestem potrzebna i mogę sobie pójść. Czy tak?

– Trochę tak, trochę nie.

– Wy tłumacz to lepiej.

– To prawda, że chciałem się dowiedzieć czegoś o Arturze, ale nie tylko dlatego się widzimy. Kiedy potrzebuję jakichś informacji, to wzywam na komisariat, a nie zapraszam na kolację.

– A zapraszając mnie na kolację, łączysz przyjemne z pożytecznym. Tą przyjemnością miałabym być ja.

– Po co te slogany? Wygłaszanie ich prowadzi cię do błędnych konkluzji. Ty nie jesteś przyjemnością.

– Nawet tym nie?

– Daj mi skończyć. Jesteś piękną kobietą i przyjaciółką, którą darzę ogromnym zaufaniem i z którą uwielbiam spotykać się co jakiś czas, śmiać się... Mamy przyjemny układ, choć takie określenie z pewnością jest bardzo ograniczające.

– Jedynym zgrzytem w tym przemówieniu jest „co jakiś czas”.

– Proszę cię, Ingrid, chyba mi nie powiesz, że chciałabyś widywać mnie codziennie!

– Gdybyśmy zostali kochankami i przebywali ze sobą dniami i nocami, to myślę, że w końcu jedno z nas zabiłoby drugie.

– Widzisz, że dochodzisz do tego samego wniosku? Prawda jest taka, że spotykając się co jakiś czas, jak to robimy, wzajemnie się pocieszamy.

Ingrid wyglądała na zaskoczoną.

– Jakos siebie nie widzę w roli siostry miłosierdzia.

– A mnie widzisz?

– Ależ skąd!

– A jednak tak się sprawy mają. Pocieszamy się wzajemnie.

– Ale z jakiego powodu?

– Bo jesteśmy samotni.

Nagle Ingrid wybuchnęła gwałtownym płaczem. Tym razem to

Montalbano ją objął i przytulił. Po niespełna pięciu minutach melancholia jednak opuściła Ingrid. Była jak wróble w deszczu: otrząsają się i znowu są suche.

– Opowiadałam ci kiedyś o tym pośle, który zaproponował mi, żebyś poszła z nim do łóżka?

– Nie wydaje mi się to całkiem dziwną propozycją.

– No tak, ale chciał, żebyśmy się wcześniej przebrali. On za księdza, a ja za zakonnice.

Drugą butelkę opróżnili w trzech czwartych, ale kiedy się podnieśli, była już druga w nocy, a Ingrid nie trzymała się na nogach. Montalbano też nie czuł się na siłach, żeby odwieźć ją do Montelusy, jak nic wpadliby na drzewo albo uderzyli w inny samochód. Koniec końców Ingrid położyła się razem z nim i błyskawicznie zasnęła. Komisarz spędził koszmarną godzinę z tą kobietą u boku, która coraz bardziej pachniała brzoskwiniami. Udało mu się zdrzemnąć, gdy odsuwał się od niej tak daleko, jak mógł, i zwisał z łóżka, ryzykując upadek... Ale i tak budził się co kwadrans. W końcu wstał i położył się na kanapie w jadalni. Było mu jednak niewygodnie i po jakimś czasie wrócił na łożo tortur. Cierpiał na nim jak święty Salvo męczennik, pożerany przez płomienie pokuszenia.

O dziewiątej trzydzieści obudziła go hałasująca w kuchni Adelina. Ingrid nawet nie drgnęła. W ogóle nie było słycać, że oddycha.

Podczas snu odkryła się i teraz widać było jedną pierś i niezwykle długą nogę. Montalbano przykrył ją starannie.

Czuł się nieswojo, po raz pierwszy dzielił sypialnię z kobietą, jeśli nie liczyć rzadkich wizyt Livii. Adelina, która jej nie polubiła, nie pojawiała się wtedy u niego.

Fakt, Adelina słała już łóżka, kiedy poprzednio Ingrid została u niego na noc. Ale jedno to zasłać, a drugie zobaczyć w tym łóżku nagą kobietę.

Wstał powoli i poszedł do kuchni, do Adeliny.

– Kawa gotowa, komisarzy.

Był otępiąły przez whisky i niespokojną noc, dlatego wypił od razu dwie filiżanki.

– Pan zanieś tej pani czy ja mam to zrobić?

Najwidoczniej kiedy poszła sprawdzić, czy wyjechał już do pracy, zobaczyła Ingrid.

Montalbano przyjrzał się jej. Zauważył w oczach gosposi słabe światełko zadowolenia i zrozumiał, skąd się wzięło. Adelina cieszyła się ze zdrady, którą w jej przekonaniu popełnił wobec Livii.

Nie wiadomo dlaczego poczuł się w obowiązku wytłumaczyć przyczynę...

– Ponieważ dzisiaj w nocy sporo wypiliśmy i ona nie była w stanie prowadzić... – zaczął.

Ale Adelina przerwała mu, podnosząc rękę.

– Co mi pan tu opowiada? Tłumaczy się pan? To pana sprawa i nic mi do tego. W każdym razie lepsza taka piękna kobieta z krwi i kości niż te lalki, co je pan tu wcześniej trzymał.

Upokorzony Montalbano zrozumiał, że nigdy nie uda się mu

wytłumaczyć sprawy tych przeklętych lalek. Zabrał kawę i poszedł obudzić Ingrid.

Tego ranka, wchodząc do komisariatu, nie wiedział jeszcze, że okres spokoju właśnie się kończył.

– Komisarzu! Oczekuje pańskiej osoby ten chłopak, co to go pani Sciosciostrommi tu przysłała.

No jasne, Arturo nie tracił czasu!

– Wprowadź go.

Nie zdążył nawet usiąść, kiedy chłopak wpadł tak bardzo podniecony, że nawet zapomniał się przywitać.

– Zagadka rozwiązana – powiedział triumfująco.

– W jaki sposób?

– Zrozumiałem, że miejsce, w którym gotują jagnięcą głowę, musi być tawerną czy czymś takim. Dowiedziałem się, że jest taki lokal, blisko Gallotty, gdzie podają jakieś jedzenie do wina. Pojechałem tam, ale było za późno na spacer. Wróciłem więc dzisiaj rano.

– Rano? Naprawdę?

– Nie mogłem spać, proszę mi wierzyć. Zacząłem iść przed siebie i nagle doszedłem do małego jeziora z wodą w kolorze nieba i małym domkiem obok. Myślę, że to miejsce idealnie pasuje do wskazówek zawartych w wierszu.

– Świetnie. I co, wyciągnął pan jakiś wniosek, sugestię, jakiś pomysł może przyszedł panu do głowy?

Chłopak zrobił rozczarowaną minę.

– Niestety nie.

– Zatem pozostaje nam czekanie.

– Tak sądzę. Ale nie rozumiem, czemu ta zagadka miała służyć.

– Ja też nie.

– Jeśli coś się wydarzy, zawiadomi mnie pan?

– Oczywiście, tym bardziej że dzięki panu oszczędzam czas i wysiłek.

Po godzinie zadzwonił Catarella.

– Komisarzu, pan Bigliardo chce złożyć donos o swym

zaginięciu jako właściciel samochodu.

– Sam chce zgłosić swoje zaginięcie?

– Nie jego własnej osoby.

– No to czyje?

– Jego własnego auta.

– Rozumiem. Ukradli je?

– No tak.

– I ty mi zawracasz dupę jakąś kradzieżą? Powiedz o tym Faziowi.

– Sęk w tym komisarzu, że pan Bigliardo chce koniecznie osobiście z pana osobą porozmawiać.

– No dobrze, połącz mnie.

– Ale nie mogę go połączyć, bo on...

– ...znajduje się już na miejscu? No to niech wejdzie.

– Dzień dobry – przywitał się wyżej wymieniony i podał rękę.

Elegancki pięćdziesięciolatek, z chusteczką w kieszonce, w złotych okularach, o zadbanych szpakowatych włosach. Miał angielskie buty z bajerami i wąsiki z podwiniętymi do góry końcówkami. Był tak wyperfumowany, że pokój natychmiast wypełnił słodkawy zapach drażniący żołądek. Komisarzowi ten gość z miejsca wydał się antypatyczny, dlatego nawet nie uścisnął jego wyciągniętej ręki. Postanowił załatwić sprawę po swojemu.

– How do you do? – zapytał.

Tamten spojrział na niego przerażony.

– Nie jest pan Anglikiem? – zapytał Montalbano, wpatrując się w niego. – Bardzo przepraszam – dodał natychmiast.

Wstał i poszedł otworzyć okno. Wyjrzał na zewnątrz, po czym usiadł za biurkiem.

– Przyszedłem niepokoić pana, ponieważ... – zaczął niepewnie gość.

– Proszę mi wybaczyć, jeszcze chwilka.

Pochylił się, otworzył ostatnią szufladę i wyciągnął teczkę z dokumentami. Długo je wertował, wziął długopis, poprawił dwa słowa i odłożywszy na miejsce, zamknął szufladę. Następnie spojrział na mężczyznę nieprzytomnym wzrokiem.

– Mówił pan...

– Chciałem zgłosić...

– Wjechali w pana?

Gość się zdziwił.

– We mnie? Nie.

– Przepraszam, zrozumiałem, że został pan potrącony przez jakiś samochód, panie Bigliardo.

– Vilardo.

Świetna zabawa.

– Zatem słucham.

– Przyszedłem zgłosić kradzież mojego samochodu – powiedział, podkreślając dwoma palcami końcówkę lewego wąsa.

– Jakie to auto?

– Terenowe. Marki...

– Jeździ pan po mieście terenówką?

– Czasem tak. Ale mam dwa samochody.

– Kiedy je panu ukradziono?

– Przedwczoraj.

– Dlaczego od razu nie zgłosił pan kradzieży?

– Ponieważ myślałem, że wziął je mój syn Pietro i nie poinformował mnie o tym. Często tak robi.

Montalbano nie mógł się powstrzymać, żeby jeszcze trochę nie popajacować.

– Nie bardzo rozumiem. Pan ma dwa samochody, a syn żadnego?

– No tak.

– Mieszka z panem?

– Tak.

– Ile ma lat?

– Trzydzieści.

– Maminsynek?

Mężczyzna wybałuszył oczy.

– Nie rozumiem.

– Nie słyszał pan, że tak nazywa naszych trzydziestolatków mieszkających z rodzicami jeden z ministrów? Maminsynki.

Vilardo patrzył na niego z coraz większym zdumieniem.

Poważnie wątpił w zdrowie psychiczne komisarza.

– Nie wiem, co to ma wspólnego...

– Ma pan rację, proszę mówić dalej.

– Na czym skończyłem?

– Że maminsynek zabrał terenówkę.

– A tak. Tyle że Pietro powiedział mi, że pojechał do Palermo samochodem kolegi.

– Okej, myślę, że to wystarczy. Przyślę kogoś do pana, żeby spisał zeznania.

– Chwileczkę, komisarzu. Chciałem rozmawiać o tym tylko z panem z jednego powodu. Otóż wczoraj wieczorem widziałem w Vigacie mój samochód, ale ze znacznej odległości.

– Jest pan pewien?

– Jak najbardziej.

– Widział pan, kto siedział za kierownicą?

– Jakiś mężczyzna. Nie mogłem dostrzec rysów twarzy. Było dość ciemno. Ale nie jechał sam, bo nagle zobaczyłem, jak pojawiają się blond włosy z tyłu, jak gdyby leżąca tam kobieta próbowała się podnieść. Kierowca gwałtownie popchnął ją na siedzenie. Potem minął ich autobus i...

– Może to jakaś kłótnia?

Podniósł słuchawkę.

– Catarella? Chodź tu i odprowadź pana Vilara do Fazia.

Po niecałej godzinie Catarella uprzedził go półgłosem, że przyszedł jakiś mężczyzna, którego nazwiska nie dosłyszał, bo mężczyzna płakał i chciał się widzieć z komisarzem.

Kiedy Montalbano zobaczył gościa, od razu zdał sobie sprawę, że ten źle ubrany biedak, pięćdziesięciolatek, ledwie trzyma się na nogach i wyciera brudną chustką czerwone od płaczu oczy. Komisarz zerwał się z miejsca, wziął gościa pod rękę i podprowadził do krzesła przy biurku.

– Może wody?

Mężczyzna skinął twierdząco głową. Montalbano nalał mu wody z butelki stojącej nad segregatorem i podał szklankę. Mężczyzna wypił wszystko duszkiem.

– Proszę mi wybaczyć, ale od dzisiejszego ranka... było jeszcze ciemno, jak zacząłem szukać. Umieram ze zmęczenia.

Dwie wielkie łzy spłynęły mu z oczu. Wytarł je, dość zawstydzony.

– Moja córka... moja...

Głos mu się łamał i nie był w stanie mówić.

– Jak się pan nazywa?

– Bonmarito Giuseppe.

– Proszę posłuchać, panie Bonmarito, niech się pan nie wysila, mamy mnóstwo czasu. Proszę się najpierw uspokoić. Opowie mi pan wszystko, kiedy już będzie w stanie mówić.

– Mogę prosić...? – zapytał mężczyzna, wskazując na pustą szklanę.

Montalbano wstał i napełnił ją ponownie. Bonmarito wypił połowę, wziął głęboki oddech i zaczął mówić.

– Moja córka Ninetta od wczorajszego popołudnia nie daje...

– Nie daje znaku życia?

– No tak.

Dopóki miał taki zamęt w głowie, lepiej zadawać mu pytania wymagające krótkich odpowiedzi.

– Już się to kiedyś zdarzyło?

– Nigdy.

– Ile córka ma lat?

– Skończyła osiemnaście.

– Pracuje?

– Nie, uczy się, jest w ostatniej klasie liceum.

– Ma rodzeństwo?

– Jest jedynaczką.

– A chłopaka?

– Takiego prawdziwego narzeczonego to nie. Ma jakiegoś chłopaka, który łązi za nią. Ale myślę, że córka uważa go tylko za przyjaciela.

– Zna go pan?

– Tak. Wczoraj w nocy poszedłem do niego. Obudziłem go, powiedział, że nie widział Ninetty od rana. Chodzą razem do szkoły.

– O której wyszła z domu?

– Żona mówiła, że jakoś przed szóstą. Miała iść do kina z koleżanką i wrócić najpóźniej o wpół do dziewiątej.

– Rozmawiał pan z tą koleżanką?

Biedaczysko jakoś wreszcie doszedł do siebie.

– Tak. Czekaliśmy na córkę z jedzeniem do wpół do dziesiątej, a potem, skoro jej nie było, zadzwoniłem do jej koleżanki. Powiedziała mi, że rozstały się z Ninettą zaraz po wyjściu z kina, właśnie minęła ósma.

– W którym kinie były?

– Splendor.

– Ma pan zdjęcie córki?

– Tak.

Wyjął z portfela i podał komisarzowi. Przepiękna uśmiechnięta blondynka.

– Jest jeden problem – powiedział Montalbano.

– Jaki? – zapytał zaniepokojony Bonmarito.

– Pana córka jest pełnoletnia.

– I co to znaczy?

– Znaczy, że nie możemy interweniować, dopóki nie upłynie określony prawem czas.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ równie dobrze mogła odejść z własnej nieprzymuszonej woli. I, teoretycznie, jako osoba, jak mówiłem, pełnoletnia, nie musi się nikomu spowiadać, co ma zamiar zrobić.

Ojciec spuścił głowę, wpatrując się w czubki butów.

– Nie – powiedział zdecydowanym głosem.

– Co nie?

– Jest zbyt przywiązana do swojej matki. A żona choruje poważnie na serce. Nawet jeśli Ninetta uciekłaby z jakimś mężczyzną, to przynajmniej zadzwoniłaby do nas.

Bonmarito wypowiedział te słowa z tak wielką pewnością, że przekonał Montalbana. Co pogarszało sytuację, ponieważ oznaczało, że jeśli Ninetta nie zadzwoniła, to dlatego, że jej to uniemożliwiono.

– Córka ma komórkę?

- Tak.

- Próbował pan na nią dzwonić?

- Oczywiście. Ale jest wyłączona.

- Gdzie pan jej szukał?

- Wsiadłem w pierwszy autobus, ten o piątej, i rozpytywałem w szpitalach, klinikach, na komendzie i u karabinierów w Montelusie. Byłem też u nich w Vigacie, przyszedłem i tutaj i pytałem na ulicach, czy może ktoś widział ją wczoraj wieczorem...

Nie mógł mówić dłużej. Tym razem zaczął szlochać bezgłośnie, wycierając chustką oczy i nos.

Montalbano ponownie przyjrzał się zdjęciu. Jakaż ona była piękna! I te blond włosy...

Nagle go olśniło. Przypomniał sobie słowa Vilarda: widziałem blond włosy na tylnym siedzeniu...

Zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że Bonmarito również zrobił to samo.

- Proszę siedzieć. Zaraz wracam.

Pchnął drzwi do pokoju Fazia z takim impetem, jak Catarella podczas jednego ze swoich triumfalnych wejść.

- Czy ten, jak mu tam... Vilardo, zostawił swój numer telefonu?

- Tak. Domowy i komórkę.

- Zadzwoń do niego natychmiast. Niech ci powie, gdzie dokładnie był wczoraj wieczorem, kiedy zobaczył swój skradziony samochód. I w jakim kierunku pojechał. Potem zaraz wracaj tutaj.

Poszedł do swojego pokoju. Bonmarito oparł łokcie na kolanach i ujął głowę w dłonie.

- Proszę mi zostawić adres i numer telefonu. Potrzebuję też nazwisk, adresów i numerów telefonów kolegi Ninetty ze szkoły i jej koleżanki, z którą była w kinie.

Bonmarito podyktował wszystko.

- Gdyby otrzymał pan jakąkolwiek propozycję okupu...

Mężczyzna uśmiechnął się w taki sposób, że komisarza aż ścisnęło za serce.

- Okupu? My jesteśmy bardzo biedni.

– Gdzie pan pracuje?

– Na targu rybnym. Jestem dozorcą.

– W każdym razie proszę mnie niezwłocznie zawiadomić, jeśli coś się wydarzy nowego. Niech pan idzie już do żony, nie można zostawiać jej samej.

Bonmarito wstał z krzesła bardzo powoli, z widocznym trudem. Musiał być wykończony.

– Obiecuję – powiedział Montalbano, kładąc mu rękę na ramieniu – że od razu rozpoczynamy poszukiwania, nawet jeśli nieoficjalne. Ma pan samochód?

Kolejny uśmiech bardziej wymowny niż jakakolwiek odpowiedź.

– Proszę ze mną.

Zaprowadził go do Catarelli.

– Zadzwoń do Galla i powiedz, żeby odwiózł pana Bonmarita do domu.

– Rozmawiałem z tym inżynierem – powiedział Fazio, wchodząc do pokoju.

– Z jakim inżynierem?

– Vilardem. Mówił, że wczoraj wieczorem, gdzieś koło ósmej trzydzieści, ta jego terenówka mignęła mu przed ogrodem na ulicy Sambuco. Właśnie wyprowadził psa na spacer.

– Widział, w jakim kierunku pojechała?

– Wydawało mu się, że skręciła w prawo, w stronę ulicy Glicini. Ale nie jest pewien, bo w tym samym czasie przejechał autobus, który wszystko zasłonił. Może mi pan wytłumaczyć, co się dzieje?

Komisarz opowiedział mu to, co usłyszał od Bonmarita, i pokazał zdjęcie dziewczyny. Fazio długo je oglądał i w końcu oddał komisarzowi, kręcąc nosem.

– Jeśli są tacy biedni, a ona tak piękna, to cel porwania musi być tylko jeden.

– Zgadzasz się z tobą. Co proponujesz?

– Nie chce pan czekać, aż upłynie przewidziany prawem czas?

– Nie.

– I słusznie. Według mnie trzeba najpierw ustalić, czy wszystko

nie odbyło się za jej zgodą.

- Myślisz, że to mogło być sfingowane porwanie?

- Teraz już tak często tego nie robią, ale trzeba to brać pod uwagę.

- Ojciec wyklucza taką możliwość, jest przekonany, że przez wzgląd na chorą matkę córka na pewno by się odezwała.

- Dajmy spokój rodzicom.

- Dlaczego?

- Przedwczoraj pokazywali w telewizji chłopaka, który zabił parę staruszków, żeby ukraść im dwadzieścia euro. I wie pan, komisarzu, co zeznała matka zabójcy? Że syn to anioł, niezdolny do zabicia nawet muchy.

- Ale Vilardo widział, że ta kobieta z tyłu usiłowała się podnieść, a kierowca popchnął ją na siedzenie.

- I co to niby znaczy? Może podniosła się raptownie, a on powiedział jej, żeby uważała, bo mogą ich zobaczyć.

- Ale jeśli chcieli uciec oboje i zatrzeć ślady, to przecież kradzież auta byłaby poważnym błędem? Jeśli pełnoletnia dziewczyna ucieka z chłopakiem, nie musimy interweniować, a w przypadku kradzieży – tak.

- To prawda. Może kradzież okazała się konieczna pomimo ryzyka.

- Dlaczego tak się upierasz przy tej ucieczce z miłości?

- Bo u nas rzadko się kogoś porywa. Zwłaszcza córkę jakiegoś biedaka...

- Ale mogło chodzić o porwanie z zamiarem gwałtu.

- Oczywiście, szczerze mówiąc, tę drugą możliwość trzeba brać pod uwagę.

- Czyli nie wyklucasz największego ryzyka - ciągnął Montalbano. - To znaczy, że przetrzyma kilka dni porwaną do swojej całkowitej dyspozycji, a potem znajdziemy ją martwą.

- Dlaczego martwą? Może ją wypuści?

- O nie! Widziała jego twarz! Vilardo nie powiedział nam, że kierowca miał kominiarkę! Gdyby porywacz wypuścił dziewczynę na wolność, naraziłby się na niebezpieczeństwo. Ryzykowałby, że dziewczyna go oskarży i będzie w stanie zidentyfikować. Nie, nie, według mnie on ją zabije.

- Może i tak.

- Wiesz co, zróbmy jedno, żeby mieć czyste sumienie. Wiesz, gdzie jest kino Splendor?

- Tak.

- Ninetta wyszła z kina o ósmej. Popytaj, czy sąsiedzi albo jakiś sklepikarz nie zauważyli wczoraj wieczorem czegoś dziwnego. Weź zdjęcie tej małej.

- A pan co zrobi?

- Idę jeść, a potem pójdę do...

Spojrzał na kartkę, którą trzymał w ręku.

- ...do Liny Anselmo, tej koleżanki, która była z Ninettą w kinie.

Zjadł bardzo mało, myśli o Bonmaricie, tym biednym ojcu, tak dumnym w swej rozpacz, ścisnęła mu żołądek.

Zaraz po posiłku wszedł do samochodu i ruszył w drogę.

Wolał nikogo nie uprzedzać o swoich odwiedzinach, dzięki temu ludzie nie mieli czasu, żeby przygotować odpowiedzi na pytania. Z jego doświadczenia wynikało, że wszyscy, których przesłuchiwał, nawet ci najbardziej uczciwi i niewinni, starali się zaprezentować przed nim odrobinę lepsi, niż byli w rzeczywistości, bardziej ułożeni i ugrzecznieni.

Lina Anselmo, dziewczyna, z którą Ninetta poszła do kina,

mieszkała prawie za miastem, na ostatnim piętrze czteropiętrowego domu bez windy.

Montalbano wszedł po schodach bez przeklinania, traktując to jako substytut poobiedniego spaceru do mola.

Drzwi, na ile pozwalał prymitywny łańcuch, uchyliła mu osiemnastoletnia brzydula, strasznie chuda, z włosami zebranymi w kok, w okularach.

- Czy pani Lina Anselmo?
- Kim pan jest?
- Komisarz Montalbano.
- Czego pan chce?
- Porozmawiać o Ninettie.
- Dobrze.
- Proszę mnie tylko wpuścić.
- Nie.
- Dlaczego?
- Tata nie pozwala otwierać nieznajomym.
- Jest w domu?
- Nie.
- A mama?
- Też nie. Jestem sama.

Montalbano zaklął w duchu, wyciągnął z kieszeni legitymację i podał dziewczynie. Wzięła ją w dwa palce.

- Proszę uważnie przeczytać. Przekona się pani, że jestem policjantem.

Lina rzuciła tylko okiem i oddała mu.

- To nic nie znaczy.
- Niby dlaczego?
- Może być fałszywa.

Co on ma zrobić? Wyważyć drzwi ramieniem? Rozdarłaby się jak zarzynane prosię. Może przysłać kogoś w mundurze?

I tak nic by to nie dało, ta cipa pomyślałaby, że mundur też jest fałszywy. Lepiej jak najszybciej mieć ją z głowy.

- Była pani wczoraj w kinie z Ninettą Bonmarito?
- Tak.
- Często chodzicie do kina?

- Tak.
- Czy zdarza się, że podczas seansu ktoś was zaczepia?
- Tak.
- Co wtedy robicie?
- Przesiadamy się.
- A jeśli nie ma miejsc?
- Ninetta woli wyjść.
- Wczoraj wieczorem ktoś was zaczepiał?
- Wczoraj nikt.
- O której wyszłyście?
- Kilka minut po ósmej.
- Ktoś szedł za wami?
- Nie.
- Jak pani wróciła do domu?
- Skuterem.
- Dlaczego nie odwiozła pani Ninetty?
- Zawsze to robię.
- To dlaczego wczoraj nie?
- Musiałam wrócić wcześniej do domu, żeby pomóc mamie.

Mieliśmy gości na kolacji.

- Czy Ninetta chodziła do kina tylko z panią?
- Nie, czasami też z Lucią, inną koleżanką.
- Reasumując, nie wie pani, co mogło się z nią stać?
- Nie mam pojęcia. Długo o tym myślałam.
- Czy Ninetta zwierzała się pani?
- Oczywiście.

- Powiedziała, że była w kimś zakochana, że ktoś składał jej jakieś propozycje...

- W jej życiu nie było żadnego chłopaka ani mężczyzny. Jedynym, do którego czuła trochę sympatii, był Michele. Michele Guarnera. I tyle. Chce pan wejść? – zapytała nieoczekiwanie, zdejmując łańcuch i otwierając drzwi.

Wreszcie nabrała zaufania.

- Nie – powiedział Montalbano.

Odwrócił się i zaczął schodzić. Ta dziewczyna była brzydka, uparta, nieufna, ale z pewnością szczerą.

Rodzina Guarnerów mieszkała na trzecim piętrze nowoczesnego budynku w nowiutkiej dzielnicy Vigaty. Zaparkowane auta należały do ludzi z kasą. Były tu też starannie utrzymane ogródki. Zadzwoił domofonem. Odezwał się grzeczny głos kobiety.

– Jestem komisarz Montalbano.

Hol i windy były niezwykle czyste. Otworzyła mu piękna kobieta koło czterdziestki, dobrze ubrana. Uśmiechała się jedynie ustami, bo oczy były zaniepokojone.

– Proszę wejść.

Gustowny salon z nowoczesnymi meblami. Komisarz zauważył na ścianach ryciny Cagliego i jednego Guttusa.

– Coś wiadomo o Ninettie? – to było jej pierwsze pytanie.

– Jeszcze nie. Nadal nic. Pani jest matką Michelego?

– Tak. Mam na imię Anna.

– Bardzo mi miło. Czy syn jest w domu?

– Tak, jeszcze śpi.

Śpi o tej porze po południu? Nieźle sobie ten mały żyje! Ale Anna zaraz wszystko wytłumaczyła.

– Tata Ninetty był tu prawie o pierwszej w nocy, spaliśmy już. Przestraszył nas; mąż jest służbowo w Rzymie. Po tej wizycie Michele nie mógł już zasnąć. Wreszcie padł dwie godziny temu. Mam go obudzić?

– Niestety tak.

– Napije się pan kawy?

– Proszę sobie nie robić kłopotu.

Michele pojawił się za pięć minut. Był w spodniach, porozpinanej koszuli i w kapciach. Potargane włosy, twarz jeszcze mokra od szybkiego mycia. Kawał chłopa o inteligentnym wyglądzie, z ramionami gracza w rugby.

– Zostawiam was, porozmawiajcie, tak będzie lepiej – powiedziała kobieta.

Komisarz docenił jej takt.

– Ty zacznij – powiedział, kiedy zostali sami.

Chłopak wydał się trochę zaskoczony tą propozycją. Spojrzał na komisarza i nie odezwał się.

- No i?

- Ale czy to nie pan powinien zadawać mi pytania?

- Zazwyczaj tak, kiedy jestem w komisariacie. Ale tym razem siedzę w twoim domu i chciałbym, żebyś sam swobodnie mi wszystko opowiedział.

- Od czego mam zacząć?

- Od czego chcesz.

Widząc, że chłopak nie może się zdecydować, Montalbano zachęcił go.

- Opowiedz o Ninetcie.

- Ninetta... jest fantastyczna. Bardzo związana z rodziną, zwłaszcza z matką. I bardzo przejęta jej stanem zdrowia. Naprawdę wydaje się taka niedzisiejsza.

- W jakim sensie?

- Jest najlepsza w klasie, a mimo to wszyscy ją lubią, bo nie jest kujonem i zawsze chętnie pomaga. Jest piękna, ale nie upaja się swoją urodą, nie pozuje.

- A poza szkołą spotykacie się wszyscy?

- Jasne, organizujemy melanże, imprezki.

- Jak Ninetta się wtedy zachowuje?

- Jest wesoła, towarzyska, skora do żartów, ale umie także trzymać na dystans tych, którzy za daleko się posuwają.

- Podczas takich spotkań...

- Wiem, co chce pan powiedzieć. Nie pije, nie pali, nie robi skrętów i nie uprawia seksu. Czy można chcieć więcej?

- Jesteś w niej zakochany?

- Tak.

Bez chwili wahania. Nawet z pewną dumą.

- A ona?

- Nie. Lubi mnie, lubi moje towarzystwo, to z pewnością, ale zakochana nie jest.

- Nie wiesz, czy kiedyś była w jakimś związku?

Chłopak zaśmiał się.

- Może źle panu wytłumaczyłem, komisarzu. Postaram się

wyrażać jak najbardziej jasno. Koleżanki ciągle śmieją się z Ninetty, bo jest jedyną dziewczicą w klasie.

– Wiesz może, czy ktoś próbował ją zdobyć?

– Wszyscy.

– Ktoś bardziej agresywny niż pozostali?

– Francesco. Dwa miesiące temu spoliczkowała go.

– Dlaczego?

– To zdarzyło się na jakiejś imprezie. Napił się i zapytał przy wszystkich Ninettę, co miałyby ochotę robić, gdyby trafiła jej się noc z nim.

– Jak to się skończyło?

– Francesco dostał w twarz, my staraliśmy się ich pogodzić, ale od tej pory nie rozmawiają ze sobą.

– To kolega z klasy?

– On jest w B.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Tak, nazywa się Diluigi. Ale naprawdę nie byłby zdolny do...

– Pozwól, że sam go ocenię. Daj mi adres.

Michele podał mu namiary.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? Muszę ci zadać to pytanie.

– Rozumiem. Chce pan poznać moje alibi. Spędziłem popołudnie w Montelusie. Gram w tenisa. Widziało mnie nie mniej niż siedem, osiem osób.

– A potem?

– Wróciłem do Vigaty koło wpół do ósmej.

– Ninetta została porwana zaraz po ósmej.

– Chwileczkę. W drodze powrotnej pojechałem do warsztatu, bo skuter coś mi szwankował. Ponieważ powiedzieli, że mogę go odebrać za godzinę, poszedłem do domu, zostawiłem torbę, przebrałem się, bo byłem w bluzie od dresu, i znowu poszedłem do warsztatu. Jeśli pan chce dam adres mechanika.

– Nie ma takiej potrzeby, dziękuję. Nic więcej nie masz mi do powiedzenia?

Chłopak zastanowił się chwilę.

– Nie wiem, czy to ważne...

– Powiedz mi i tak.

– Miesiąc temu Ninetta przyznała mi się, że na nią napadnięto.

– To znaczy?

– Wracała do domu, było już dość późno, bo poszła się uczyć do jednej koleżanki. Padało, było ciemno, żywej duszy na ulicy i nagle ktoś do niej podszedł, zakrył usta ręką, wepchnął do bramy, odwrócił twarzą do ściany i usiłował podwinąć spódnicę. Ninetta była tak przerażona, że nie miała nawet siły zareagować. Na szczęście ktoś schodził po schodach, jakiś mężczyzna, no i ten, co na nią napadł, uciekł. Ninetta powiedziała mi także, że mimo tak wielkiego strachu nie poinformowała o tym rodziców.

– Dlaczego?

– Bała się, że nie pozwolą jej wychodzić samej. Są w stosunku do niej bardzo opiekuńczy.

– Opisała ci tego, który na nią napadł?

– Nie.

– Gdzie to się stało?

– Nie powiedziała mi. Myśli pan, że to ten sam teraz spróbował ponownie?

Montalbano rozłożył ramiona. Po chwili chłopak najpierw spojrzął komisarzowi w oczy, potem na ziemię, potem znowu popatrzył na policjanta.

– Myśli pan, że jest jakaś nadzieja, że znajdziecie ją żywą?

Oczywiście myślał w ten sam sposób. Ktokolwiek by ją wykorzystał, z pewnością by zabił.

– Mam taką nadzieję.

– Idę dzisiaj do nich – powiedział Michele.

– Do kogo?

– Do rodziców Ninetty. Nie chcę, żeby byli sami.

Ponieważ i tak kręcił się po mieście, postanowił, że odwiedzi chłopaka spoliczkowanego przez Ninettę. Diluigi na szczęście nie mieszkali daleko od rodziny Guarnerów. Elegancki, czteropiętrowy budynek w eleganckiej dzielnicy. Pojechał windą, nacisnął dzwonek. Otworzył mu kolos mierzący metr dziewięćdziesiąt, w podkoszulku, wściekły, jak gdyby zaraz miał rzucić się komuś do gardła.

– Jeśli chcesz coś sprzedać, to wypad, a rachunki płacimy w banku.

Miał już zamknąć, ale Montalbano zablokował drzwi nogą.

– Zabieraj nogę albo ci ją połamie.

– Proszę się uspokoić. Niczego nie sprzedaję i nie mam żadnych rachunków dla pana. Jestem komisarz Montalbano.

– I co z tego?

– Chcę rozmawiać z Franceskiem Diluigim. To pański syn?

– Niestety tak.

– A zatem?

– Proszę wejść.

Przedpokój wyglądał czysto i miło.

– Carmelina! Chodź tu natychmiast! – zawołał mężczyzna głośno.

Pojawiła się kobieta jeszcze wyższa od niego. W okularach, zaniehbana, w powyciąganej na wszystkie strony bluzie i też ruda.

– Ten pan jest komisarzem policji i chce rozmawiać z twoim ukochanym synalkiem – rzekł mężczyzna, wychodząc z przedpokoju.

– Słucham – powiedziała kobieta. – Pan jest...

– Komisarz Montalbano.

– Komisarz czego?

– Policji.

– Mój syn to anioł – powiedziała na wstępie kobieta, przybierając wyzywającą minę i opierając ręce na biodrach.

– Nie podważam tego.

Ale matka naciskała.

– Mój syn z pewnością nic złego nie zrobił.

– Jestem o tym przekonany, szanowna pani.

– Mój syn...

– ...to rzadkiej wody brylant.

– Dokładnie tak!

– Mogę się z nim zobaczyć?

– Nie.

– Nie ma go w domu?

– Jest. Ale od rana leży z gorączką. Chciał nawet wstać, ale mu nie pozwoliłam.

– Dlaczego?

– Różnica temperatur mogłaby mu zaszkodzić.

– W takim razie pójdę do jego pokoju.

– To nie jest dobry pomysł. Pan nie wie, jaki jest Francesco. Mógłby się przestraszyć.

– Czego?

– On jest taki wrażliwy! Taki bezbronny! Mógłby się przestraszyć, widząc komisarza. Naprawdę musi mu to pan powiedzieć?

– Ale co?

– Że jest pan z policji. Nie mógłby pan udać, że jest lekarzem? Wezwałam lekarza, ale jeszcze się nie pojawił.

– Nie ma mowy.

Kobieta spojrzała na Montalbana wzrokiem kata ucinającego głowę ofierze. Potem zrozumiała, że nie ma wyjścia, i westchnęła zrezygnowana.

– No dobrze. Proszę za mną.

Kiedy jednak weszli do pokoju, chłopaka nie było w łóżku.

– Może poszedł do łazienki. Ma lekkie rozwolnienie. Pójdę mu pomóc.

W czym? W podtarciu tyłka?

– Tymczasem proszę siadać.

Było upiornie gorąco dzięki włączonemu w rogu pokoju piecykowi. Oprócz łóżka stała tu szafa, regał z książkami, stolik z komputerem i obok niego krzesło.

Montalbano zaczął oglądać książki.

Zainteresowały go te stłoczone na najwyższej półce: *Wenus w futrze*, *Justyna*, *Historia O*, traktat o psychopatologii seksualnej, dwa oprawione roczniki *Penthouse'a*... Ten mamusiny brylant musiał wykonywać dużo ręcznych robótek.

– Zaraz przyjdzie. Widzę, że ogląda pan książki. I pomyśleć, że ani ja, ani mąż nie przeczytaliśmy w naszym życiu ani jednej książki z wyjątkiem podręczników, a on, proszę! Widzi pan, ile tego? On kocha książki. Mówię, że może zniszczyć sobie wzrok,

ale na próżno. Nikomu nie pozwala ich dotykać, sam wszystko odkurza. Tylko czyta i siedzi przed komputerem.

Oglądając rzecz jasna strony porno.

– Ale nauczyciele go nie rozumieją! Zazdroszczą mu inteligencji i celowo dają złe stopnie.

Nareszcie pojawił się Francesco, w piżamie i kapciach, otulony wełnianym kocem. Pierwsze pytanie, które przyszło do głowy komisarzowi, kiedy chłopak kładł się do łóżka, miłośnie wspomagany przez matkę, było następujące:

– Jak się panu udaje stać prosto?

Francesco bowiem, wysoki i gruby, przypominał żółtawą galaretkę z kurczaka. Galaretkę, która trzęsie się przy najmniejszym poruszeniu, w każdej chwili grożąc rozpadem.

– Tylko proszę mi go nie zmęczyć – zaleciła matka, kładąc się na łóżku obok swego klejnotu.

Miała zamiar z nimi zostać?

– Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym porozmawiać z Franceskiem w cztery oczy – powiedział grzecznie, ale stanowczo komisarz.

– Jestem jego matką!

– Nigdy w najmniejszym nawet stopniu w to nie wątpiłem, ale mimo wszystko proszę zostawić nas samych.

– Nie!

– A więc dobrze – odpowiedział komisarz.

A potem zwrócony w stronę Francesca:

– Tego dnia na zabawie, kiedy Ninetta cię spoliczkowała...

– Co pan wygaduje? – zapytała kobieta, zrywając się na równe nogi.

A następnie, patrząc na Francesca, który zdawał się rozplywać ze wstydu, zapytała:

– Kto śmiał to zrobić?

– Mamo, proszę cię, zostaw nas – powiedział Francesco.

Nie mówiąc słowa, oburzona, z oczami, które ziały ogniem, kobieta skierowała się w stronę drzwi. Ale zanim wyszła, zapytała:

– Tak się odwdzięczasz, Francesco, za to wszystko, co matka dla

ciebie robi?

I trzasnęła drzwiami. W teatrze taki popis oceniono by bardzo wysoko i gorąco oklaskiwano. Tego był pewien.

– Ona mnie... Ninetta oskarżyła mnie? Doniosła na mnie? – zapytał Francesco cienkim głosem.

– Nikt na ciebie nie doniósł.

Dlaczego ma teraz tracić czas z tym palantem?

– Odpowiedz na jedno pytanie i idę sobie. Umiesz prowadzić?

– Nie mam prawka.

– Nie pytam, czy masz, tylko czy umiesz prowadzić.

– Nie. Nawet nie umiem jeździć na skuterze.

Montalbano otworzył drzwi i o mało nie wyrznął nimi w twarz matki chłopaka, która, pochylona, podglądała przez dziurkę od klucza. Rzuciła się do pokoju syna, a komisarz sam opuścił mieszkanie.

Był na siebie wściekły. Michele usiłował wytłumaczyć mu, jaką osobą był Francesco, ale on nie chciał go słuchać. Szkoda, oszczędziłby sobie czasu.

– Ktoś do mnie dzwonił?

– Tak osobiście do pańskiej osoby to nie.

Czyli Bonmarito jeszcze niczego nie dowiedział się o córce.

– Poproś do mnie Fazia.

– Nie przebywa tu, komisarzu.

– No to Augella.

– On też tu nie przebywa.

– A gdzie jest?

– Z wyżej przez pana wymienionym Faziem.

Kiedy tylko usiadł, podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do Bonmarita, wesprzeć go, dać do zrozumienia, że pracuje nad odnalezieniem córki. Ale zaraz odłożył.

Nagle zabrakło mu odwagi. Jeśli tamten zacznie zadawać pytania, czego należało się spodziewać, to co on mógł odpowiedzieć? Że sprawy mają się coraz gorzej?

Bo tak niestety było. Z tego, co wcześniej usłyszał od Liny, a potem od Michelego, wyrobił już sobie zdanie o tej całej sprawie. Porwanie zorganizował nie jakiś odrzucony lub porzucony kochanek, ale ktoś, kogo Ninetta najprawdopodobniej widziała po raz pierwszy na oczy. Znalazła się akurat w zasięgu kogoś, kto szukał jakiegokolwiek dziewczyny, żeby ją porwać. Może nie jakiegokolwiek, może musiała mieć jakieś określone cechy, ale jeśli trafiłaby mu się inna, podobna do Ninetty, to też by się nadała. Jeżeli chodziło o kogoś z kręgu przyjaciół, znajomych Ninetty, z pewnością nie zaczynałby się w kinie, bo Lina i tak zawsze odwoziła Ninettę do domu. Tylko tego wieczoru zrobiła wyjątek. Ale porywacz nie mógł o tym wiedzieć. Chyba że trzeba było wziąć pod uwagę ewentualną zмовę pomiędzy Liną a tym porywaczem, ale to wydawało mu się niemożliwe. Reasumując, nie było żadnego punktu wyjścia, który w jakiś sposób mógłby zawęzić zasięg dochodzenia.

Nagle objawili się Mimì i Fazio.

– Gdzie byliście?

– Ty mu powiedz – rzucił szorstko Augello do Fazia. – Ja mam coś do zrobienia. Zobaczymy się późno wieczorem.

Wybiegł z pokoju bez pożegnania. Wydawał się zmartwiony i zdenerwowany. Nieco zdziwiony komisarz popatrzył, jak zamyka za sobą drzwi.

– Co mu się stało? – zapytał Fazio.

– A bo ja wiem. Nastroszył się tak, kiedy mówiłem mu o porwaniu tej małej.

– Po co mu powiedziałeś?

– Nie powinienem?

– Tego nie mówię, chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego zeszło wam akurat na temat porwania, co było tego przyczyną?

Pytanie było w pełni uzasadnione. Mimo że pracowali razem już od wielu lat, nie można było powiedzieć, że Augello i Fazio jakoś dogadywali się między sobą.

– Musiałem, komisarzu. Już tłumaczę. Kiedy wróciłem z tego objazdu, na który mnie pan wysłał...

- À propos, czegoś się dowiedział?
 - Żaden ze sklepikarzy, choć dwóch było już zamkniętych, niczego szczególnego nie zauważył.
 - No jasne!
 - Wie pan, gdzie jest Splendor?
 - Tak dokładnie to nie.
 - To nowiutkie kino w Vigacie 2, mała uliczka z pięcioma sklepami i czterema domami, z których jeden jest gotowy, a reszta jeszcze czeka na najemców.
 - Jak Ninetta tam dojechała? Przecież nie ma nawet skutera!
 - Na pewno wsiadła do autobusu, który tam od niej jeździ. Zatrzymuje się na ulicy równoległej do tej, na której jest kino.
 - Czyli kiedy pożegnały się przy wyjściu, jej przyjaciółka odjechała, a Ninetta musiała dojść do przystanku?
 - Oczywiście.
 - Trzeba coś zrobić, Fazio, i to szybko. Jak tylko skończymy, idź do tych od transportu miejskiego, niech ci dadzą nazwisko kierowcy, który wczoraj jeździł tą trasą koło ósmej. Znajdź go, pokaż zdjęcie i zapytaj, czy zauważył tę dziewczynę na przystanku, o którym mi powiedziałaś.
 - Tylko że ja już nie mam tego zdjęcia. Augello chciał je wziąć, to mu dałem.
 - A po co mu?
 - Nie powiedział mi.
- Montalbano zastanowił się chwilę. Potem zdecydował.
- Idź i tak do tego biura, bez zdjęcia. Opisz ją kierowcy. Na pewno będzie pamiętał taką piękną dziewczynę. Dokończ, co mi mówiłeś o Mimì.
 - Mówiłem, że kiedy wróciłem, pan Augello wszedł do mojego pokoju, żeby się o coś dowiedzieć, i zobaczył zdjęcie Ninetty. Wziął je i przyglądał się, potem zapytał, skąd je mam. No to mu powiedziałem. Chciał wszystko wiedzieć. W tym momencie zadzwonił telefon, ktoś zawiadomił nas, że płonie jakiś samochód niedaleko szóstego kilometra drogi do Montereale. Powiedział, że to chyba terenówka.
- Terenówka? Montalbano nadstawił uszu.

- Pan Augello powiedział, że jedzie ze mną – zakończył Fazio.
- I co się okazało?
- Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, to auto, porzucone w polu, ale blisko drogi, jeszcze płonęło. Nie udało się nam ugasić pożaru gaśnicami. Od razu mi się wydało, że to auto inżyniera Vilarda. Potem odczyściłem tablicę rejestracyjną i częściowo udało mi się ją odczytać. To ten samochód, komisarzu.
- Zajrzeliście do bagażnika?
- Tak, ale nic tam nie było. Na szczęście.
- Myślałeś pewnie, że znajdziesz ciało Ninetty?
- No tak. Ale zadzwoniłem po techników.
- Po co?
- Wiem, że im mniej się wtrąca doktor Arquà, tym lepiej, ale coś sobie pomyślałem.
- Mianowicie?
- Najpierw zadałem sobie pytanie. Jeśli ten, kto porwał dziewczynę, wywozi samochód na wieś i podpala go, to w jaki sposób wraca? Można wziąć pod uwagę dwie możliwości: albo ma współnika, który jedzie za nim drugim samochodem i potem go zabiera, albo łapie okazję.
- Chyba nie bawił się w autostop?
- Nie, ale za to niedaleko jest przystanek autobusu do Vigaty.
- Daj spokój, Fazio! Według ciebie podnosi rękę i autobus staje sobie spokojnie, podczas gdy pięć metrów dalej wszyscy widzą płonąca terenówkę?
- Nie o to mi chodzi, komisarzu. Wtedy auto jeszcze nie płonie. To normalna terenówka, którą ktoś przyjechał sobie na wieś.
- To jak ją podpala?
- Timerem. Terenówka zaczyna płonąć pięć minut później, kiedy autobus już dawno odjechał. Dlatego wezwałem techników. Na pierwszy rzut oka przyznali mi rację.
- Jesteś super, Fazio! – wykrzyknął komisarz.
- Dziękuję.
- Tylko że to wszystko komplikuje całą sprawę, bo pokazuje, że porywacz jest w stanie obsługiwać timer. A w Vigacie raczej tak łatwo nie można dostać takich urządzeń.

- To tylko amerykańskie słowo, które onieśmiela, ale przecież w tym celu dobry będzie nawet budzik.

Miał rację.

- Ale należy zadać sobie jeszcze jedno pytanie. Po co spalił auto? Nie mógł porzucić go w jakimś odludnym miejscu bez podkładania ognia?

- No cóż - powiedział Fazio. - Ja mam na to odpowiedź. Widać, że wybrał takie miejsce poza miastem, w które nie można przyjechać normalnym samochodem.

- Tu jesteśmy zgodni. Ale kiedy ta terenówka nie jest już mu potrzebna, to po co ją podpala? Wiemy, że była potrzebna do przewiezienia dziewczyny, tak? Ale nie wiemy, kto ją prowadził. Co oznacza, że w środku, podczas jazdy, wydarzyło się coś, co pozwalałoby go zidentyfikować. Dlatego musiał zniszczyć to auto.

- W środku nic nie było.

- Nic, co można by zobaczyć gołym okiem.

- Ma pan na myśli odciski palców?

- Nie tylko. DNA także. Wiesz, ile on pozostawiał śladów? Zyliony! Ten porywacz myśli o wszystkim. Jest poukładany i mądry... Jeszcze zada nam bobu.

- Mogę coś powiedzieć, komisarzu? To porwanie mnie przeraża.

- Mnie też. Zawiadomiłeś inżyniera, że może już zapomnieć o swojej terenówce?

- Jeszcze nie.

- Zrób to od razu, potem leć do tych od autobusów.

- Komisarzu, wydzwania tu do pana ten chłopak, co to go pani Sciosciostrommi nadesłała.

Arturo! Prawie o nim zapomniał! Ale nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę o polowaniu na skarb. Miał poważniejsze sprawy do przemyślenia.

- Powiedz mu, że jestem zajęty i że w naszej sprawie nie ma żadnych nowych informacji.

- W naszej?

- Co w naszej, Catarella?
 - W tej naszej sprawie, czyli jest jakaś sprawa między panem i mną? Ja tam nic nie wiem o tej sprawie, co niby ma być nasza! Komisarz poczuł, że kręci mu się w głowie.
 - Nic mu nie mów, połącz mnie z nim.
 - Przepraszam, że przeszkadzam, komisarzu, ale jestem ciekawy, czy może...
 - Zero nowości niestety, nasz przyjaciel jeszcze nie pofatygował się z żadnymi informacjami.
 - Nie wydaje się to panu dziwne?
 - Nie wiem, co mam powiedzieć. Przepraszam, ale mam teraz coś do zrobienia. Proszę się nie niepokoić, odezwę się.
- Skoro, jak mówiła Ingrid, nie zadawał się ani z kobietami, ani z mężczyznami, ten Arturo miał aż nadto czasu do tracenia na pierdoły.

Właśnie miał pojechać do Marinelli, kiedy pojawił się Mimì Augello.

- Mogę z tobą porozmawiać prywatnie?
 - Jasne, siadaj.
 - Mogę zamknąć drzwi na klucz?
 - Jak chcesz.
- Zamknął drzwi i usiadł. Miał dziwny wyraz twarzy, trochę zawstydzony, a trochę stanowczy.
- Montalbano ułatwił mu sprawę.
- O co chodzi, Mimì?
 - Muszę ci coś powiedzieć w zaufaniu. Mógłbym tego nie robić, kiedy już wyjaśniłem sprawę, ale ponieważ myślę, że może ci się to przydać, więc powiem. Nawet jeśli dużo mnie to kosztuje.
 - Przydać do czego, Mimì?
 - Do śledztwa w sprawie porwania dziewczyny.
- Ale nadal nie mówił, co konkretnie miałyby się przydać w dochodzeniu. Montalbano rozumiał, że lepiej go nie spieszać. Wreszcie Augello odważył się i zaczął mówić.
- Dwa miesiące temu byłem w domu publicznym.
 - Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek...

Ale jego oczy napotkały wzrok Mimì i wtedy Montalbano nagle wszystko zrozumiał.

– Jako klient?

– Tak.

I zaczął mówić bardzo szybko.

– To taki dom na peryferiach między nami a Montelusą, dojeżdża się tam w kwadrans i...

Montalbano spojrział na niego i Augello zamilkł.

– Sukinsyn.

– Spodziewałem się takiej reakcji. Dlatego tak ciężko było mi się do tego przyznać. Ale to nie tak, jak myślisz... My z Bebą naprawdę się kochamy, ale czasem nachodzi mnie taka chęć na zmianę, że...

– To nie o Bebę chodzi.

– No to o co?

– Jeśli sam nie rozumiesz, to znaczy, że jesteś dupkiem do kwadratu. A gdybyśmy akurat wtedy zrobili nalot i nakryli cię w środku? Miałbyś karierę z głowy.

– Nie pomyślałem o tym. Może dajmy sobie już spokój z tym dupkiem? Mogę mówić dalej?

– Tak.

– Pośród zdjęć, które właścicielka pokazała mi, żebym sobie wybrał dziewczynę, była jedna osiemnastolatka identyczna jak Ninetta.

Montalbano zamarł. Nigdy by się tego nie spodziewał, co innego myślał o tej dziewczynie. Niby taka pilna uczennica i dobra córka, a tu...

Ale nic nie powiedział.

– Więc wybrałem ją, ale właścicielka powiedziała, że chwilowo nie jest dostępna.

– To dlaczego dzisiaj wzięłeś tę fotografię?

– Już tłumaczę. Miesiąc temu komenda zrobiła nalot...

– A nie mówiłem, że...

– Tak, ale powiedzieliśmy sobie, że nie wracamy już do tego tematu.

– Przepraszam.

- Aresztowali właścicielkę, spisali dziewczyny i klientów i zabrali album ze zdjęciami. Operacją kierował kolega Zurlo. Dzisiaj poszedłem do niego, wymyśliłem jakiś pretekst i porównałem zdjęcie Ninetty z tą dziewczyną z albumu. To nie ona.

- Jesteś pewien?

- Wygląda prawie jak jej bliźniaczka, ale to nie ona. Jestem bardziej niż pewien. I to tyle.

Skoro sprawy tak się miały, Augello mógł sobie oszczędzić tej całej spowiedzi. W sumie zachował się uczciwie.

- Dlaczego uważasz, że to się może przydać w śledztwie?

- Zastanawiałem się, czy porywacz nie pomylił przypadkiem osoby? Może chciał porwać tę z albumu, a zabrał Ninettę?

- A ta z albumu została zidentyfikowana?

- Tak.

- Jak ustaliłeś z absolutną pewnością, że nie chodziło o Ninettę?

- Bo ta z albumu ma bardzo małą bliznę pod lewym uchem. Z bliska musi być widoczna.

Wyciągnął z kieszeni zdjęcie Ninetty i położył je na biurku.

- Sam zobacz. Na twarzy Ninetty nie ma żadnej blizny. A zdjęcie nie jest retuszowane. Jednak z daleka możesz blizny nie zobaczyć. Dlatego taka pomyłka jest bardzo prawdopodobna.

Jeszcze tylko tego brakowało, żeby wszystko skomplikować!

- Posłuchaj, Mimì, udało ci się zdobyć nazwisko i adres tej małej z albumu?

- Tak. Mieszka w Vincinzelli.

Stara dzielnica między Vigatą a Montelusą.

- Pojedź do niej i porozmawiaj.

- Co chcesz wiedzieć?

- Czy można by ją uznać za obiekt do porwania.

- Jak mam się dowiedzieć? Pojadę tam i powiem: przepraszam panią, czy ktoś miałby powód, żeby panią porwać?

- Zrobisz, jak uważasz, Mimì. Jesteś mistrzem w oswojaniu kobiet.

- Nie wiem, czy już nie wyszedłem z wprawy.

- Nie gadaj głupot. Jedno szczególnie mnie interesuje. Musisz

się dowiedzieć, czy wśród jej klientów był ktoś, kto się w niej zakochał, przychodził częściej niż inni albo chciał ją stamtąd wyciągnąć...

– Postaram się.

Na parkingu, kiedy otwierał drzwi samochodu, ktoś go zawołał. Fazio właśnie wrócił i wysiadał z auta.

– Ale szczęście!

– Co się stało?

– Kiedy już zawiadomiłem inżyniera, to zadzwoniłem do firmy transportowej i powiedzieli mi, że kierowca z tej linii pracuje także dzisiaj, jeszcze nie skończyła mu się wczorajsza zmiana. Połączyli mnie z nim i poprosiłem, żeby na mnie zaczekał. Pojechałem do niego, pogadałem i zaraz wszystko opowiem.

Włożył rękę do kieszeni, wyciągnął pół kartki i chciał przeczytać.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, jak nazywa się kierowca, czym jest synem, kiedy się urodził, to wepchnę ci tę kartkę do gardła!

Lekko skonfundowany Fazio, wielki fan danych osobowych, jak nazywał go Montalbano, wsadził kartkę do kieszeni z rozczarowaną miną.

– No i?

– Kierowca doskonale zna Ninette. Pamięta, że wczoraj wieczorem, dziesięć po ósmej, wsiadła na przystanku niedaleko kina. Była jedyną kobietą w autobusie.

– Czyli tam jej nie porwali.

– Nie, ale Gibilaro...

– Kto to?

– Kierowca. Gibilaro powiedział mi, że w pewnym momencie, kiedy jechał ulicą De Gasperi, minęła go jakaś terenówka i od razu po tym zahamowała. Gibilaro musiał nacisnąć mocno na hamulec i pasażerowie zaczęli protestować. Po wyminięciu terenówka jechała obok autobusu.

– Zaczekaj, Gibilaro widział, gdzie siedzi Ninetta?

– Tak. Siedziała po lewej stronie, z twarzą przyklejoną do szyby, i wyglądała na ulicę.

- Czyli jest możliwe, że ten kierowca terenówki dostrzegł ją podczas wyprzedzania.

- Jak najbardziej.

- I co potem?

- Gibilaro zobaczył, jak Ninetta wysiada na ulicy delle Rose, żeby przesiąść się do trójki, która dowiezie ją w okolice domu.

Montalbano postanowił, że lepiej samemu sprawdzić, gdzie znajdowały się te ulice, bo słuchając tylko nazw, mógłby się pogubić.

- Wejźmy do środka – powiedział.

Jeśli załatwi to teraz, zje z większym apetytem przygotowaną przez Adelinę kolację.

– I wrócił pan był wreszcie! – krzyknął ucieszony Catarella.

– Tak, wróciłem byłem.

Jak gdyby można było mieć co do tego wątpliwości.

– Pamiętasz może, jak parę dni temu zostawiłem w pokoju trochę dokumentów na podłodze?

– Dopraszam się o wybaczenie pana komisarza, ale pan komisarz to za przeproszeniem ciągle ma jakieś papierowe dokumenty na podłodze!

– Pytam o takie, które wyglądały jak mapy wielkoskalowe.

– Wielkoskalowe? – zapytał zdziwiony Catarella. – Nie wiem, czy tam były jakieś skały, czy nie, ale te, co ja widziałem byłem, to miały wszystkie ulice pozaznaczane.

– Właśnie o nich mówię. Wiesz, gdzie teraz są?

– Tamtego wieczora wszystko pozawijałem akuratnie w rulon i w obawie przed tymi paniami od porządków, co to by je bez żadnych zwłok wyrzuciły, wsadziłem do szafy tu obecnego Fazia.

– Świetnie, idź po nie.

Z pomocą Fazia Montalbano powtórzył tę samą operację co poprzednio.

Odsunął fotele, rozłożył na podłodze mapy, przyciskając je pudełkami, zszywarkami i broszurami.

– Dostałeś trasę autobusu?

– Dali mi trasy wszystkich linii.

Prześledzili na mapie drogę autobusu od przystanku w pobliżu kina Splendor aż do końca.

Żeby przesiąść się do autobusu numer trzy, Ninetta wysiadła na przystanku przy ulicy delle Rose. Na pewno tam właśnie została porwana, ponieważ ulica Sambuco, na której inżynier Vilardo zobaczył swój samochód, była tuż obok.

– Teraz weź zdjęcie Ninetty, które leży na biurku, i...

– Augello już je oddał?

– Tak.

– Powiedział, do czego mu było potrzebne?

Montalbano starał się nie wchodzić w szczegóły.

– Wydało mu się, że była podobna do jednej z osób, z którymi rozmawiał, ale się pomylił.

Fazio spojrzął na niego średnio przekonany takim wyjaśnieniem, jednak nic nie powiedział.

– Weź to zdjęcie – ciągnął komisarz – i jutro rano pojedź na ulicę delle Rose, popytaj, czy ktoś coś widział. Według mnie to i tak nic nie da.

Znowu zagłębił się w lekturze map.

– Zapomniałem nazwę ulicy, w którą wydawało mu się, że skręcił samochód.

– Inżynier powiedział, że terenówka skręciła w ulicę dei Glicini.

– Zobaczmy, dokąd ta ulica prowadzi.

Zrozumiał to, kiedy tylko spojrzął na mapę.

Ulica kończyła się na małym placu, którego on sam szukał parę dni temu. I znalazł.

To był ten sam plac z rondem, od którego odchodziły cztery ulice: dei Glicini, Garibaldiego, dei Mille i Cavoura.

– Wydaje mi się jasne – powiedział do Fazio – że porywacz przez przypadek, wyprzedzając autobus w alei De Gasperiego, widzi w nim Ninettę. Może cała sprawa jest nawet trochę bardziej złożona. Widzi kogoś, kto przypomina inną osobę. Wie, że to nie ta, ale zdaje sobie sprawę, że mogłaby zostać jej dublerką.

– Chwila moment – powiedział Fazio. – Mówi pan, że porywacz nie uprowadził pierwszej lepszej panny, ale dokładnie wiedział, kogo chce porwać?

– Tak właśnie. To hipoteza, której nie możemy odrzucić. Idźmy naprzód. Zwalnia więc i zaczyna jechać koło autobusu. Trzy przystanki dalej dziewczyna wysiada na ulicy delle Rose. Wtedy mężczyzna chwytą ją i zmusza, żeby pojechała z nim terenówką. Auto wjeżdża w ulicę Sambuco, Vilardo spostrzega, jak przejeżdża koło niego, śledzi je wzrokiem i widzi, że skręca w

stronę ulicy dei Glicini. Potem traci je z oczu, bo przejeżdża autobus.

- Numer trzy, ten, do którego powinna była wsiąść Ninetta - zakończył Fazio.

- Tak jest.

- A zatem - ciągnął Fazio - oznacza to, że porywacz był megaszybki. W mig pochwycił dziewczynę i zmusił ją, żeby wsiadła do auta bez stawiania oporu. A wszystko to odbywało się na przystanku autobusowym, w obecności czekających tam ludzi. Jak on to zrobił?

- Wiesz, co to znaczy?

- Nie.

- Kolejna robótka dla ciebie - powiedział Montalbano.

- Jaka?

- Taka, że musisz dowiedzieć się, kim był kierowca trójki tamtego wieczoru, następnie musisz z nim porozmawiać i zapytać, czy zauważył coś, gdy dojeżdżał do przystanku na ulicy delle Rose.

- A w jaki sposób dotrzemy do ludzi czekających wtedy na autobus?

- Lepiej wybij ich sobie z głowy. Jeśli byli świadkami jakiejś przemocy i do tej pory nie zgłosili się na policję, to znaczy, że nigdy tego nie zrobią.

To nie był zbyt udany wieczór. W zasadzie sam wieczór był wyjątkowo przecudnej urody, ale zły humor komisarza skutecznie psuł pejzaż. Zjadł niechętnie na werandzie, bo myśl o biednej dziewczynie nie chciała wyjść mu z głowy.

I to był duży błąd, który go denerwował.

Współczucie, litość dla istoty ludzkiej, która poddawana jest gwałtom i przemocy, to uczucia, które należy odczuwać potem, po rozwiązaniu danego przypadku. Jeśli jednak ogarniają cię podczas śledztwa, to przesłaniają rozum, który powinien pozostać jasny i świeży, skoncentrowany na katach, a nie ofiarach.

À propos katów i ofiar, to chyba powinien zadzwonić do Livii?

Na pewno pierwszy krok należał teraz do niego, bo Livia wykazała już dobrą wolę i chęć pogodzenia się, dzwoniąc do niego. Jednak słuchawkę podniosła Ingrid i wszystko skończyło się żałościwie.

Wstał, podszedł do telefonu i wykręcił numer. Napadła na niego.

– Zrobiłeś to specjalnie!

– Ale co?

– Że to Ingrid podniosła słuchawkę!

– Jak możesz myśleć, że...

– Uważasz się za Machiavellego i manipulujesz!

Udać, że nic się nie słyszy, i brnąć dalej.

– Livio, proszę cię, jeśli naprawdę mnie kochasz, to daj mi pięć minut, żebym mógł coś ci powiedzieć.

– Mów.

W końcu się pogodzili. Ale dopiero nad ranem, a pracownicy centrali telefonicznej uczcili to pewnie butelką szampana.

O wpół do dziesiątej następnego ranka Fazio pojawił się w komisariacie z odpowiedziami na pytania.

– Ranny ptaszek z ciebie.

– Żeby pan wiedział, komisarzu, że im więcej czasu upływa, tym gorzej dla tej dziewczyny!

– Co odkryłeś?

– Sklepy na ulicy delle Rose blisko przystanku były już zamknięte, więc niepotrzebnie traciłem czas. Dozorczyni spod numeru dwudziestego ósmego, dokładnie naprzeciwko przystanku, zauważyła, że na autobus czekało około dziesięciu osób. Wśród nich jedna jej znajoma, z którą przesłały sobie pozdrowienia na odległość.

– Pamiętała, czy ta blondynka już tam była?

– Mówi, że nie, że nie pamięta.

– A Ninettę wystarczyło raz zobaczyć, żeby zapamiętać.

– Istotnie ta dozorczyni mówi, że to nie znaczy, że dziewczyny tam nie było, tylko że ona nie przyglądała się tym ludziom dłużej.

– Dała ci namiary na tę koleżankę?

– Tak, ale nie rozmawiałem z nią. Nie miałem jeszcze czasu. Pojadę do niej po naszej rozmowie. Ale za to rano spotkałem się z kierowcą trójki, który właśnie zaczynał pracę.

– Coś widział?

Fazio włożył rękę do kieszeni i wyciągnął pół kartki.

– Dane osobowe kierowcy.

– Jeśli zaczniesz je czytać, to cię zastrzelę.

– Jak pan uważa – powiedział zrezygnowany Fazio.

Ale Montalbano musiał go najpierw uciszyć, żeby potem zmusić do mówienia.

– No i?

– Kiedy kierowca podjechał na przystanek, zobaczył terenówkę zaparkowaną tyłem w miejscu przeznaczonym na manewry autobusu. Jakaś młoda blondynka rozmawiała z kimś, kto siedział w środku, ale na tylnym siedzeniu.

– Jesteś pewny?

– Że ten, z którym rozmawiała, siedział z tyłu? Tak.

– Mów dalej.

– Potem kierowca spojrział w wewnętrzne lustro na wchodzących pasażerów, bo autobus już był pełny. Kiedy zamknął drzwi i zaczął manewrować, żeby ominąć terenówkę, ona nagle odjechała mu sprzed nosa. Nic innego nie zauważył.

– Czyli potem nie widział już dziewczyny?

– Nie. I nie umiał powiedzieć, czy wsiadła razem z innymi pasażerami.

Montalbano zamyślił się.

– O czym pan myśli? – zapytał po jakimś czasie Fazio.

– Obliczałem czas.

– To znaczy?

– No tak, posłuchaj uważnie. Z tego, co ci mówił kierowca... Jak on się nazywa?

– Nie pamiętam – odparł Fazio z pokerową twarzą.

– Pozwalam ci zerknąć na tę pieprzoną kartkę, ale tylko po to, żebyś mi podał nazwisko.

Fazio wykonał polecenie z zadowoloną miną.

– Caruana Antonio – przeczytał.

- Z tego, co ci powiedział Caruana, mogłoby się wydawać, że w terenówce siedziały dwie osoby. Jedna za kierownicą, a druga z tyłu, czyli ta, z którą właśnie rozmawiała Ninetta.

- A tak nie jest?

- Nie wydaje mi się. To według mnie porwanie w pojedynkę. Ten, kto uprowadził dziewczynę, chce się nią nacieszyć w samotności i nie dzielić absolutnie z nikim.

- No to jak to zrobić?

- Mówiłem, że wyliczyłem czas. Ninetta wysiadła na przystanku trójki i zaraz potem, w części przeznaczony dla autobusów, zatrzymała się terenówka. Tak było?

- No tak.

- I do tego miejsca wszystko jasne. Teraz jednak wchodzimy na teren słabiej oświetlony. Myślę, że wszystko potoczyło się tak: kierowca terenówki staje, wysiada, udaje, że czegoś szuka z tyłu. Potem otwiera tylne drzwi i pyta o coś Ninette. Dziewczyna podchodzi bliżej i w tej samej chwili nadjeżdża autobus. I nikt, ani pasażerowie, ani kierowca, nie patrzy na terenówkę. Pasażerowie tłoczą się przy wejściu, Caruana obserwuje ich w lusterku. To kilka sekund, ale wystarcza porywaczowi.

- Jasne, ale jak on to zrobić?

- W jedyny możliwy sposób, używając przemocy. Porywacz łapie za ramię Ninette, wciąga ją do środka i drugą ręką uderza w twarz, aż dziewczyna traci przytomność. Wysiada z tyłu, siada na miejscu kierowcy i odjeżdża. Zastanów się chwilę i zobaczysz, że to ryzykowna operacja, ale możliwa do wykonania.

- No rzeczywiście...

- A sposób, w jaki to zrobić, dodaje nam nieco kolorów do portretu porywacza. Działa z megazimną krwią, umie doskonale wyliczyć czas, nie traci spokoju, umie obrócić na swoją korzyść każdą sytuację. Oraz bez żadnych problemów użyć siły.

- Nie rozumiem, dlaczego miałby usiąść z tyłu.

- To świetny przykład jego uporządkowanego umysłu. Gdyby umieścił ją na siłę z przodu, to jak mógłby prowadzić, mając obok miotającą się dziewczynę? Z tyłu ma nie tylko więcej miejsca do wykorzystania, ale może też położyć tam porwaną, która nie

będzie mu przeszkadzała w prowadzeniu.

– A kiedy Ninetta odzyskuje przytomność i się podnosi, znowu spycha ją na podłogę i bije – dokończył Fazio.

– Super, właśnie tak. I częściowo taką właśnie scenę widział inżynier ze skweru.

Pomilczeli jeszcze przez jakiś czas, trawiąc właśnie dokonaną rekonstrukcję. W pewnym momencie Fazio zaczął potrząsać głową z powątpiewającą miną.

– O co chodzi?

– Komisarzu, chyba coś nie gra w tej naszej rekonstrukcji porwania.

– To znaczy?

– Bo pan nigdy, ale to nigdy nie wziął pod uwagę możliwości, że Ninetta i porywacz znali się już wcześniej?

– A jakie to by miało znaczenie?

– Po pierwsze, powinniśmy w takim przypadku powęszyć także wśród jej przyjaciół. A po drugie, Ninetta mogła wsiąść do terenówki spontanicznie i bez użycia siły.

– Ja jednak jestem przekonany, że byłaby to strata czasu.

– Dlaczego?

– Bo Ninetta i porywacz widzieli się po raz pierwszy w życiu na ulicy delle Rose, na przystanku trójki.

– Dlaczego jest pan tego pewien?

– Opieram się na tym, co ci powiedział kierowca trójki. Kiedy nadjechał, terenówka już tam stała, zajmując część zatoczki przeznaczonej dla autobusów, przeszkadzając zarówno pojazdowi, jak i pasażerom. Ale Ninetta dalej rozmawia z nieznanym siedzącym z tyłu. Ile czasu zajmuje pasażerom wejście do zatłoczonego autobusu? Pół minuty? A terenówka nadal tam stoi. Rusza prawie w tym samym momencie co autobus, ledwo go wyprzedza.

– Ale dlaczego to każe panu przypuszczać, że ci dwoje nie znali się wcześniej?

– Jezu, Fazio, pomyśl chwilę! Gdyby się znali, to wszystko nie trwałoby nawet dziesięć sekund. Przyjeżdża samochód, kierowca widzi Ninettę, która czeka na autobus, zatrzymuje się, otwiera

okno, woła ją, proponując podwiezienie. Ninetta wsiada w pośpiechu, żeby nie blokować autobusu, i odjeżdżają, podczas gdy połowa pasażerów jeszcze nie zdążyła wsiąść.

Fazio pomyślał chwilę.

– Ma pan rację – stwierdził.

Dodał po chwili:

– To co, mam iść porozmawiać z tą panią?

– Nie sądzę, żeby coś widziała. Nie ma sensu, lepiej zadzwoń do Bonmarita, zapytaj, czy ma może jakieś wiadomości. Możesz stąd.

Ale nie chciał być obecny przy tej rozmowie.

Wstał więc i podszedł do okna, żeby wypalić papierosa. Kiedy skończył, odwrócił się. Fazio odkładał słuchawkę.

– Nic nowego. Ten biedak płakał.

Montalbano podjął decyzję.

– Jedź do niego.

– Po co?

– Niech zgłosi zaginięcie córki. Myślę, że nadszedł czas, żeby zawiadomić Bonettiego-Alderighiego. On może zorganizować prawdziwe poszukiwania, a my tylko bawimy się w podchody.

Ale nie od razu przystąpił do działania. Rozmowa z kwestorem nie przepełniała go szczęściem.

– ...tak, panie kwestorze, to ojciec zgłosił jej zaginięcie. Mam uzasadnione podejrzenie, że chodzi o porwanie... Nie, nie mówiłem o dowodach, tylko o podejrzeniu... Dobrze, jak pan sobie życzy... Tak, dziewczyna jest pełnoletnia... Wiem, co nakazuje nam prawo, ale widzi pan, upłynęło już ponad czterdzieści osiem godzin... komisarz Seminara, tak pan mówi?... Będzie prowadził dochodzenie?... Ależ oczywiście, to świetny specjalista... Nie, proszę się nie obawiać, absolutnie nie ma mowy o żadnym wtrącaniu się... Ależ skąd... Moje uszanowanie, panie kwestorze.

Zawołał Catarellę.

– Fazio wrócił?

– Dopiero co.

– Poproś, żeby tu przyszedł.

Policjant pojawił się z twarzą melancholijną jak listopadowy poranek.

– Co się stało?

– Komisarzu, kwadrans z państwem Bonmarito mnie wykańcza. Ona leży i nie może się ruszać, on już nie kontaktuje. To straszne!

– Masz zgłoszenie?

– Tak jest.

– Dobrze. Zadzwoń na komendę, do Seminary, i opowiedz mu wszystko.

– Dlaczego jemu?

– Bo od tej pory on będzie oficjalnie prowadził śledztwo. Pan kwestor odsunął nas od tego.

– Ale dlaczego?

– Płyta ci się zacięła? Dlaczego i dlaczego! Jak w przedszkolu. Może być wiele powodów. Po pierwsze, nie uważa mnie za wystarczająco dobrego. Po drugie, Seminara jest Kalabryjczykiem.

– I co z tego?

– Bonetti-Alderighi jest święcie przekonany, że Kalabryjczycy znają się na porwaniach lepiej niż ktokolwiek inny. Nie pamiętasz, że postąpił tak samo kilka lat temu, kiedy porwali tę studentkę?

– No fakt.

– Co to za mina?

– Przykro mi, komisarzu, że nie możemy się tym zająć. Za pozwoleniem, dziwię się, że nie uparł się pan i nie protestował.

– A kto ci powiedział, że nie będziemy się tym zajmować?

Fazio popatrzył na niego zdumiony.

– Pan sam tak powiedział. Ma się tym zająć Seminara i jasne, że my...

– Co to znaczy? On się tym zajmie oficjalnie, a my nic nikomu nie powiemy, ale będziemy dalej robić to, co dotychczas.

Fazio aż wytrzeszczył oczy z zadowolenia.

– Zresztą jestem przekonany, że Seminara, który nie jest głupi, i tak poprosi nas o współpracę.

I rzeczywiście, niecały kwadrans później:

- Komisarzu, co za wydarzenie! Na telefonie mam pana Seminarę, co to mówi, że jest pana kolegą z Montelusy.

- Cześć, Montalbano.

- Cześć, Seminara.

- Kwesor nas w to ubrał! Wybacz, ale muszę wykonać polecenie. Twój Fazio powiedział mi, że już w tym siedzieliście. Byłoby niezwykle pożytecznie móc dowiedzieć się, do jakich wniosków doszliście. Pod warunkiem że nie masz nic przeciwko.

Rozmawiał z nim delikatnie jak z wariatem. Znał trudny charakter kolegi Montalbana.

- Przyjedź, kiedy możesz.

- Jutro rano koło dziesiątej? – zapytał podniesiony na duchu Seminarę.

- Zgoda.

- Aha, jeszcze coś. Fazio powiedział mi, że chodzi o bardzo biedną rodzinę i że według ciebie porwanie ma motyw seksualny.

- Jesteśmy raczej o tym przekonani.

- To może nie byłoby głupie założyć podsłuch tej rodzinie?

- Chyba nie.

Poszedł coś zjeść.

Mimo że kwestor odebrał mu śledztwo, nie był ani zły, ani rozczarowany. Być może dlatego, że Seminara był poukładanym gościem, skrupulatnym i upartym. Dobry pies myśliwski, który z pewnością da sobie radę z porwaniem Ninetty.

Najważniejsze było właśnie to: uwolnienie tej małej, jak najszybciej to będzie możliwe, jeśli jeszcze żyje. A co do tego komisarz miał spore wątpliwości. Kiedy tylko usiadł na swoim stałym miejscu, Enzo podszedł do niego z kopertą w rękę.

– Przynieśli to dla pana dziesięć minut temu.

No proszę! Znowu daje znać o sobie! Koperta była ta sama co zawsze, z wypisanym adresem i dopiskiem „Polowanie na skarb”.

– Kto ją przyniósł?

– Jakiś chłopiec, który zwiął, gdy tylko mi to podał.

Ta sama technika jak tego dnia, kiedy przyniesiono paczkę z jagnięcą głową. Jakiś dzieciak, którego zatrzymano na ulicy, wręczono kopertę lub paczkę. Dano mu euro napiwku w zamian za dostarczenie, zaznaczono, że ma uciec, jak tylko ją odda. I znajdź go teraz!

Wsadził kopertę do kieszeni. Rywal mógł zaczekać. Nie spieszyło mu się? W takim razie on też zachowa się tak samo.

– Co mi dasz dobrego?

– Wszystko, co tylko pan zechce.

– Chcę wszystko.

– Ma pan dzisiaj apetyt?

– Nie za bardzo. Ale podjadając po trochu wszystkiego, w końcu się najem, mimo że nie jestem głodny.

A jednak, strasznie chcąc nie chcąc, się najadł. Po raz pierwszy w życiu poczuł wstyd.

Potem, kiedy skierował się w stronę mola, zastanowił się, dlaczego tak zawstydziło go to obżarstwo.

Pewnie przez porwanie Ninetty. No bo jak to? Biedna dziewczyna cierpi w tej chwili Bóg wie jakie męki, więziona przez kogoś, kto brutalnie sobie na niej używa, a komisarz odpowiedzialny za śledztwo, ten, który powinien ją uwolnić, wpięprza sobie w najlepsze obiadek i ma biedaczkę głęboko w dupie.

Chwila moment, Montalbano, stary, tylko mi tu nie pierdol. Przecież kiedy ratownicy szukają pogrzebanego pod gruzami domu jakiegoś kolesia, który nie je i nie pije od trzech dni, to przez solidarność też mają nie jeść i nie pić? No i co wtedy? Ano to, że po trzech dniach nie mają już siły, żeby tamtego wyciągnąć z ruin.

Ergo, im więcej jedzą, tym są w lepszej formie do niesienia pomocy.

– Chuja wiesz, pieprzenie takie – stwierdził drugi Montalbano. – Jedno to jeść tyle, ile należy, a drugie to nawpierdalać się tak jak ty.

– Może wytłumacz lepiej różnicę.

– Jedzenie jest obowiązkiem, obżeranie się przyjemnością.

– I tu robisz błąd, kolego. Zadam ci pytanie: według ciebie dlaczego tyle jem?

– Bo nie umiesz się powstrzymać.

– Pudło. Mogę nawet być głodny jak wilk, ale jeśli wciąga mnie jakieś śledztwo, nie jem całymi dniami. Czyli kiedy muszę, to się kontroluję.

– No to powiedz, dlaczego tyle jesz.

– Mógłbym ci odpowiedzieć, że ma to związek z moim metabolizmem. Tak jedząc, powinienem też tyć, a ja ważę ciągle tyle samo, chyba że w ogóle się nie ruszam, jak jeszcze kilka dni temu. I nawet nie boli mnie wątroba. Prawdę powiedział mi kiedyś jeden z moich przyjaciół: dla mnie jedzenie to taki swoisty akcelerator funkcji mózgowych. Dlatego żegnajcie, wyrzuty sumienia i wstydzie.

Spacer do mola zajął tym razem dużo czasu, Montalbano włókł się noga za nogą. Ponieważ jedzenie co prawda oliwiło mu mózg, ale równocześnie spowalniało krok.

Kiedy doszedł do płaskiej skały, usiadł i spokojnie wypalił papierosa.

Potem zaczął drażnić się z krabem, rzucając w niego małymi kamykami. Wreszcie zdecydował się wyjąć kopertę z kieszeni, otworzyć i przeczytać liścik.

*Wybacz mi, Montalbano, komisarzu miły,
ale czekać nie będziesz na próżno bez siły.*

*Dnie i noce ślęcę nad pracą skulony,
abyś ze skarbu pięknego był zadowolony.*

*Przede mną trudne, że aż dech zapiera, wyzwanie,
Montalbano zamiast prawdy niby-prawdę dostanie.*

*Uwierz mi: kiedy sam wreszcie rzecz całą prześledzisz,
w płacz wielki, z radości, ani chybi uderzysz.*

*Wyglądaj niecierpliwie następnego zagrania,
bo w naszej rozgrywce dużo masz do ugrania.*

I co z tego wynikało? Jego rywal mógł sobie oszczędzić pisanie tych kulawych strofek.

No i?

Trzeba jeszcze poczekać, bo on pracuje, abym był zadowolony ze skarbu. Powodzenia.

Może nie warto dawać tego do przeczytania Arturowi, gdyż treść była kompletnie nieprzydatna. Potem jednak stwierdził, że tak nie można. Skoro obiecał temu chłopakowi, że będzie mu towarzyszył w grze, to powinien dotrzymać słowa i informować go na bieżąco o każdej nowości. Nie chciał się jednak z nim spotykać, to podobieństwo do Harry'ego Pottera zaczynało wydawać mu się coraz bardziej antypatyczne. Przeczytał ponownie wierszyk i tym razem się zaniepokoił. W tych wersach czało się coś obrzydliwego. No i co miał znaczyć trzeci dwuwiersz?

- Jest Augello?

- Nie, panie komisarzu.

Gdzie on się podziewa?

- Dzwonił ktoś?

- Tak, chłopak, od pani Sciosciostrommi...

Czego chce ten Arturo? Coraz bardziej zaczyna się naprzykrzać!
Wydzwania co dzień, ale tym razem akurat się przyda.

- Zostawił ci numer?

- Tak, panie komisarzu.

- To zadzwoń do niego i powiedz, żeby tu przyszedł po kopertę ode mnie.

Wyjął kopertę z kieszeni, podał Catarelli i poszedł do swojego pokoju.

Nie zdążył jeszcze usiąść, kiedy przypominający wybuch bomby huk za jego plecami sprawił, że runął do przodu i o mało nie rąbnął głową w ścianę. Zaklął.

- Doprośszam się wybaczenia i łaski oraz dziękuję za zrozumienie - powiedział spod drzwi Catarella. - Ale ręka mi się obsunęła.

- Uważaj, Catarè, bo jeśli pewnego dnia mnie się ręka obsunie, źle to się dla ciebie skończy.

Catarella zaniemówił i przyglądał się czubkom swoich butów. Czuł się upokorzony.

- O co chodzi?

- Musi mi pan wybaczyć, komisarzu, ale chyba się pan pomylił - powiedział, wręczając mu kopertę, którą Montalbano przed chwilą wyciągnął z kieszeni.

Komisarz wziął list i przyjrzał mu się. Tak, to był ten o polowaniu na skarb.

- Dlaczego uważasz, że się pomyliłem?

- No bo tu stoi, że list zaadresowany jest do komisarza Salva Montalbana, w jego własnej osobie i osobiście.

- No i co z tego?

- No bo tu jest pana adres osobisty, komisarza Salva

Montalbana! Jeśli to byłby list od pana do pana, ale tego drugiego, dla którego pan napisał ten list, to powinien pan napisać adres tego chłopca, co to go pani Sciosciostrommi nadesłała.

Co z nim zrobić? Chwycić i walnąć o ścianę? Albo uzbroić się w święty spokój? Lepiej nie dopuścić do rozlewu krwi.

– Masz rację, Catarè. List jest adresowany do mnie, ale chcę, żeby przeczytał go ten chłopak.

Pełna wątpliwości twarz Catarelli rozjaśniła się. Poszedł w stronę wyjścia i Montalbano zaczął czytać jakiś dokument. Zorientował się jednak, że Catarella stoi w drzwiach.

– Bateria ci się wyczerpała?

– Jaka bateria, komisarzu?

– Nieważne. O co chodzi?

– Taka pomyśl mnie naszła. Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

– Proszę.

– Jeśli ten chłopak będzie chciał z panem porozmawiać, to co mam zrobić? Wpuszczę go tu czy nie wpuszczę?

– Nie chcę z nim rozmawiać, powiedz, że jestem na zebraniu.

Augello pojawił się, kiedy było już ciemno.

– Nie spieszyłeś się, co?

– Nie o to chodzi – odpowiedział Augello, siadając. – Ale straciłem cały dzień, śledząc Albę.

– Kto to?

– Alba Giordano. Pseudonim Samantha. Ta mała z domu publicznego.

– Rozmawiałeś z nią?

– Tak, ale to była cała epopeja. Kiedy przyjechałem do Vincinzelli do jej domu, pukałem, ale nikt nie otworzył. Potem jakaś sąsiadka powiedziała mi, że rodzina Giordanów przeniosła się jakieś piętnaście dni temu do Ragony. A ponieważ zostawili jej nowy adres, pojechałem tam. Znalazłem dom, ale wtedy zaczęły się schody.

– W jakim sensie?

– Co miałem zrobić? Przedstawić się rodzicom?

- A to nie byłoby logiczne?
- Nie.
- Niby dlaczego?
- A jeśli oni nic nie wiedzieli, co ich córka robi poza domem?
- Czy tej Alby nie spisali wtedy podczas nalotu? Możliwe, że rodzice o niczym nie wiedzieli?
- A jeśli wiedział tylko ojciec, a matka nie? Narobiłbym megazamieszania.
- Te skrupuły przynoszą panu zaszczyt, magistrze Augello. Pańskie poszanowanie godności człowieka, niezwykła wrażliwość...
- Wal się.
- I co zrobiłeś?
- Poszedłem pogadać z karabinierami.
- Zaskoczony Montalbano wytrzeszczył oczy i nawet podskoczył na krześle.
- Z karabinierami? Pocięło cię?
- No co, przecież nie są trędowaci?
- Nie o to chodzi, ale...
- Nie miałem innego wyjścia, Salvo. Tam nie ma policji. Długo się zastanawiałem, zanim do nich poszedłem.
- I powiedziałaś, kim jesteś?
- No jasne.
- A oni co?
- A jak ci się wydaje? Mieli mnie wykopać? Sierżant był przemity, oddał się do mojej całkowitej dyspozycji. I wiesz co? Jest taki jak Fazio, ma łeb. Wie wszystko o każdym mieszkańcu Ragony, wszyściutko!
- Co mu powiedziałaś?
- Prawdę.
- Którą część?
- Mimì zacukał się.
- Nie rozumiem.
- Opowiedziałaś mu całą prawdę, zaczynając od początku, czy tylko pół prawdy?
- Nadal nie rozumiem.

- Wytłumaczę ci zatem: czy powiedziałeś sierżantowi, sierżantowi, podkreślam, karabinierów, że po raz pierwszy zobaczyłeś Albę na zdjęciu w domu publicznym, do którego zawędrowałeś w charakterze klienta?

Mimì najpierw spurpurowiał, potem zbladł jak trup. Chciał zerwać się z krzesła i wyjść, ale udało mu się powstrzymać.

Przełknął ślinę dwa, trzy razy, otarł dłonią usta i drżącym głosem powiedział:

- Nie uważałem tego za ważne.

- Dlaczego?

- Bo nie miało to nic wspólnego z pytaniem, które chciałem mu zadać.

- Nie?

- Nie.

- Czy sierżant mówił ci, jak Alba się zachowuje, od kiedy mieszka w Ragonie?

- Tak, bez zarzutu.

- A ty powiedziałeś mu, że się nieraz prostytuowała?

- Nie mogłem tego ukryć.

- I jak zareagował?

- Był bardzo zdziwiony.

- Tylko zdziwiony?

- Powiedział, że od teraz będzie miał ją na oku.

- To chciałem usłyszeć. Uczciwy funkcjonariusz policji nie zawahał się przed poinformowaniem karabinierów, że Alba jest prostytutką, nie mówiąc przy tym jednak, że on starał się zostać jej klientem. W tym rzecz. Ty wyszedłeś od nich uczciwy, bez skazy, tak jak się pojawiłeś, a ją pozostawiłeś z piętnem kurwy.

- Ale to przecież ty kazałeś mi tam pojechać i zmusić ją do mówienia...

- Ja poleciłem ci spotkać się z nią i porozmawiać w cztery oczy, bez włączania w to osób trzecich. Dlatego poradziłem, żebyś wykorzystał swoją powszechnie znaną sztukę uwodzenia. A to, pośrednio, oznaczało, że nie powinienesz mieszać do tego karabinierów, policji finansowej i straży leśnej!

Mimì milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Masz rację.
- Dobra, temat zamknięty. Mów dalej.
- Sierżant zgodził się ze mną, że być może jej rodzice nic nie wiedzieli o życiu córki. Ponieważ dzień wcześniej Alba miała wypadek na skuterze, posłał po nią, wykorzystując ten pretekst, jednego karabiniera. Kiedy przyszła, zaprowadzili ją do pokoju, który sierżant oddał do mojej dyspozycji.
- Chwila, a dlaczego przeprowadziła się do Ragony?
- Bo ojciec chciał odciąć ją od środowiska i udało mu się załatwić przeprowadzkę całej rodziny.
- Co ci powiedziała?
- Przede wszystkim muszę stwierdzić, że to fantastyczna dziewczyna.
- To już mi wcześniej...
- Nie chodzi o urodę. Ale jest wspaniała z powodu tego, jak mówiła o tym, co robi. Z niezwykłą naturalnością, jak gdyby pracowała jako ekspedientka. Ani się tego nie wstydzi, ani się tym nie chwali. Ponieważ była dumą tego domu, tak właśnie powiedziała, właścicielka wykorzystywała ją do przyciągania nowych klientów. Nie obsługiwała normalnych gości.
- Czyli, reasumując, niepotrzebnie tam pojechałeś?
- W sumie tak. Ale coś mi powiedziała. Mogła być w tym domu tylko przez godzinę.
- Jak się tam dostawała?
- Na skuterze, mówiła, że jedzie do przyjaciółki albo do biblioteki...
- Mów dalej.
- Pewnego dnia, kiedy już skończyła pracę i wychodziła, właścicielka poprosiła ją, żeby uważała na siebie. Wytłumaczyła jej, że już dwa razy jakiś klient prosił o nią, ale ona odmówiła mu, tłumacząc, że Alba nie jest dostępna.
- Dlaczego?
- Bo wydał się jej podejrzenie egzaltowany. Kiedy zobaczył po raz pierwszy zdjęcie dziewczyny, aż zaczął się trząść. Właścicielka przestraszyła się. A ponieważ tego dnia właśnie przyszedł po raz trzeci i bardzo go zdenerwowała ponowna

odmowa, kobieta sądziła, że mógł się ukryć gdzieś w okolicy i czekać. Alba została więc w tym domu jeszcze parę godzin. Zadzwoiła do matki i wymyśliła jakieś wytłumaczenie. Wyszła po ósmej wieczorem, było już ciemno. Kiedy mijala most Sammartino, gdzie nie ma żadnych zabudowań, tylko drzewa, zepchnął ją z drogi samochód.

– Poznała markę?

– Nie, nawet o tym nie myślała. Była zbyt przerażona. Nic jej się nie stało. Kiedy się podnosiła, zobaczyła, jak kierowca wysiada i biegnie w jej stronę. Sparaliżowana ze strachu nie mogła się ruszyć.

– Była pewna, że zrobił to celowo?

– Jak najbardziej. Na szczęście w tym momencie nadjechał jakiś inny samochód i się zatrzymał. Sprawca wypadku zawrócił, wsiadł do auta i odjechał z dużą prędkością.

– A to mówi nam, że kierowcą był niezadowolony klient.

– Oczywiście. Według mnie, gdyby nie ten drugi samochód, zaciągnąłby ją między drzewa i zgwałcił.

– Czyli Alba nie widziała jego twarzy?

– Nie.

– A w następnych dniach się pojawił?

– Trzy dni później do domu publicznego weszła policja.

– Wiesz, co to oznacza, Mimì?

– Że muszę porozmawiać z właścicielką i uzyskać od niej opis tego niedoszłego klienta Alby.

– Dokładnie tak. Jutro z samego rana jedź do Zurła. Powiedziałaś, że ją aresztowali? Jeśli jest na wolności, to oni z pewnością wiedzą, gdzie mieszka. Pamiętaj, Mimì, że nie mamy chwili do stracenia.

– Rozumiem – powiedział Augello, wstając.

– Aha, byłbym zapomniał. Chcę cię uprzedzić, że my już tego śledztwa nie prowadzimy.

Augello usiadł ponownie.

– Nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia? Bonetti-Alderighi zabrał je nam i dał Seminarze.

- Ale dlaczego?
- Bo Seminara jest Kalabryczykiem, a my się do tego nie nadajemy.
- To po co mam gadać z właścicielką?
- Jedź tam i tak, bo Seminara poprosił nas o współpracę. Jesteśmy więc upoważnieni do równoległego śledztwa.
- Myślisz, że Seminara to właśnie miał na myśli?
- Nie, ale tak to interpretuję. Nie zgadzasz się ze mną?
- Ja? Zgadzam!
- Zatem niech ta właścicielka powie ci wszystko, na czym nam zależy, i potem razem zdecydujemy, czy mamy o tym informować Seminarę, czy nie. Jasne?
- Jasne.

Dziesięć minut później, kiedy wychodził z biura, Catarella zawołał go.

- Komisarzu, pański list. I wręczył mu kopertę z polowaniem na skarb.
- Trzymaj to, jeśli chłopak jeszcze się po to nie zgłosił, to na pewno...
- Ale nie, komisarzu, on był tu już, przepisał wszyściutko akuratnie i zostawił tę karteczkę dla pana. Kartka wydarta z zeszytu Catarelli.

Drogi Komisarzu, parę słów, żeby poinformować Pana o moim wrażeniu po uważnej lekturze nowego listu. Nie umiałbym tego Panu racjonalnie wytłumaczyć, ale tym razem wydał mi się on bardzo niepokojący.

Zwłaszcza wers mówiący: „w płacz wielki, z radości, ani chybi uderzysz”. Wybór czasownika płakać wydaje mi się tu dość dziwny. Zazwyczaj człowiek z radości nie płacze. Można oczywiście płakać ze szczęścia, ale to raczej nie w tym przypadku.

Do tego dochodzi ta informacja, że ślęczy dnie i noce nad pracą skulony, żeby był Pan zadowolony z wyjątkowego skarbu... Powtarzam raz jeszcze: to tylko wrażenie, ale obawiam się, że

kiedy znajdziemy skarb, oczekiwać nas będzie niemiła niespodzianka. Proszę o wszystkim mnie informować.

*Z poważaniem
pański Arturo*

Włożył kartkę do kieszeni i pojechał do Marinelli.

Ten Arturo ma łeb, pomyślał, bo kiedy siedział na skale i skończył czytać list, sam też poczuł niepokój. Ale wolał się nad tym nie zastanawiać, bo przestałby myśleć o Ninetcie. Teraz jednak, kiedy Arturo zwrócił mu na to uwagę, przecucie powróciło. Tak, w tych słowach czaiło się coś groźnego.

Uświadomił to sobie, ale nie mógł w tej chwili podjąć żadnego działania.

Po kolacji siedział na werandzie, rozmyślając, kiedy i w jaki sposób porywacz Ninetty może się odezwać. Według niego jedyna możliwość jest taka, że niestety w ciągu najbliższych dni ktoś zatelefonuje, informując o znalezieniu zwłok dziewczyny w śmietniku lub pod mostem. Jednak nagle, bez żadnego wytłumaczenia, do jego głowy wtargnęła inna myśl, która zepchnęła wizję trupa Ninetty i zajęła całą powierzchnię mózgu.

Wstał, wszedł do domu, wyjął z kieszeni marynarki list o polowaniu i pozbierał wszystkie pozostałe, które otrzymał. Dołączył do nich list od Artura. Wrócił na werandę, rozłożył wszystko na stoliku, list obok listu, i usiadł, żeby wszystkie jeszcze raz przeczytać. Zaczął od początku.

W miarę jak czytał, przypominał sobie, kiedy i w jaki sposób je otrzymał. Odtwarzał w myślach trasy, które musiał pokonać, ulice, którymi przejeżdżał, zmuszony właśnie tymi listami, miejsca, które odwiedzał, drewniany dom, rozwaloną chałupę. Zmarszczka na jego czole robiła się coraz głębsza.

Hipoteza była ryzykowna, tak nieprawdopodobna i pozbawiona jakiegokolwiek punktu oparcia, że usiłował na gorąco ją sformułować, nadać ostateczny kształt i wreszcie w całości przebadać.

Mózg za jego przyzwoleniem przepuszczał na zewnątrz

strzępki myśli, jakieś fragmenty, szczegóły, jak kawałki układanki. Komisarz co rusz do tego wracał, starając się, aby myśli nie mieszały się, ale krążyły w oddaleniu. Dopiero kiedy staną się ukończonym rysunkiem, będzie musiał zacząć działać. Działać, ryzykując, że na samym końcu wszystko okaże się zwykłą grą, sposobem na zabicie czasu. A przez to mógłby stracić wcale nie reputację i karierę, bo to miał głęboko w dupie, ale szacunek do siebie i zdanie, jakie miał na swój temat. Rozpatrując to wszystko krok po kroku, doszedł do przekonania, że polowanie na skarb wcale nie było niewinną grą, wprost przeciwnie. Było cholernie niebezpieczne. Nie tylko pachniało tu krwią (o czym świadczyła przysłana mu jagnięca głowa), ale wokół tej sprawy unosił się fetor zgnilizny, rozkładających się ciał i choroby.

Jeśli sprawy rzeczywiście miały się tak, jak je teraz zobaczył, to już od pierwszego listu rywał myślał o jakiejś wyjątkowo potwornej nagrodzie, o czymś, co przyprawiało o dreszcze. Komisarz jednak nie rozumiał zamiarów drugiej strony.

Gorzej nawet, uznał to za głupotę, sposób na zabicie czasu, żart. Nie docenił nawet tego wszystkiego, co jego przeciwnik chciał dać mu do zrozumienia między wierszami.

Ale na czym właściwie opierało się to jego podejrzenie? Tylko i wyłącznie na słowach.

Nawet nie na słowach, ale na interpretowaniu skąpych słów przeciwnika. To zbyt wiele czy za mało, żeby stworzyć, zbudować tak fantastyczną hipotezę?

– Oprzyjmy się na faktach.

Tak właśnie, w czasach kiedy był jeszcze wicekomisarzem, jego szef, który nauczył go zawodu, rozpoczynał każde dochodzenie.

– Salvo, liczą się fakty, a nie słowa.

Ale jeśli słowa pozwalały zrozumieć fakty, może słuszne byłoby zajmowanie się przede wszystkim słowami?

Ileż razy jakieś słowo, wypowiedziane lub nie podczas tyłu śledztw, naprowadziło ich na właściwą drogę? Jak brzmiało to łacińskie zdanie? Ex ore tuo te iudico. Ale przy założeniu, że można osądzać na podstawie słów, prawdziwy problem polegał

na pytaniu stojącym u podstaw każdej jego wątpliwości: czy ta jego interpretacja jest aby słuszna?

Może podczas rozmowy o tym z Arturem... ten dopiero zaczęłyby dzielić włos nie na czworo, ale na szesnaście części... Nie, tym razem lepiej było nie wychylać się, nic mu nie mówić o tym zbyt odjechanym pomysłe. Na pewno uznałyby, że Montalbano dziecinnieje.

Ale jeśli ten tok rozumowania koniec końców okazałyby się słuszny, to czy komisarz nie miałby potem do siebie pretensji, że nie zadziałał we właściwym czasie? Właściwym? Zadziałał? Ale jak?

Po głowie tłukło mu się tylko jedno przypuszczenie, myśl o możliwym połączeniu kilku słów, tylko tyle. Jeśli przekona siebie, że trzeba coś zrobić, to co miałyby zrobić?

Chociaż w sumie to wcale nie była prawda.

Komisarz wiedział przecież doskonale, że powinien postarać się o jakiś najmniejszy nawet dowód na to, że jego przypuszczenie nie było błędne. Tyle że brakowało mu odwagi.

Jeszcze się okaże, że powodem tego braku odwagi jest nic innego jak wiek. Staruszkowie są zbyt ostrożni.

Jak szło to porzekadło: człowiek rodzi się zادیorny, a umiera pokorny?

Ależ skąd! Starość ni chuja nie ma z tym nic wspólnego! Chodzi po prostu o to, żeby nie popełniać błędów podyktowanych, nazwijmy to, młodzieńczym entuzjazmem, wymyślając teorie bez ładu i składu.

Ach tak? Czyli słowa nie mogą stanowić podstawy? Cywilizacja ludzka nie została aby stworzona przez słowa? A przecież ktoś powiedział, że na początku było słowo.

Montalbà, zatrzymaj się! Zejdź na ziemię. Dokąd cię doprowadzą te wywody? Sam widzisz, że z tego przemęczenia pieprzysz jak potłuczony.

Odpuść sobie! Na początku było słowo! Lepiej idź się położyć!

Zebrał papiery, zaniósł do domu, zamknął drzwi i poszedł się wyciągnąć.

Nie był jednak w stanie zamknąć oczu, bał się, że podczas snu i

wbrew jego woli kawałki układanki nagle mogłyby się poukładać.

Telefon zadzwonił o siódmej rano.

Kompletnie otumaniony po źle przespanej nocy, Montalbano wstał z łóżka i poszedł do jadalni, wpadając po drodze na wszystkie sprzęty, z którymi mógł się zetknąć: krzesła, rogi, drzwi. Poruszał się dokładnie jak somnambulik.

– Słucham?

Ale powiedział to tak bełkotliwie i niewyraźnie, że Catarella stwierdził:

– Przepraszam, pomyłka zaszła.

I odłożył słuchawkę. Montalbano odwrócił się plecami do telefonu i zrobił dwa kroki w stronę sypialni. Kiedy tylko telefon ponownie zadzwonił, jak gdyby ktoś nakazał mu w tył zwrot, odwrócił się na pięcie i podniósł słuchawkę. Był nadal zupełnie skołowany. Odchrząknął, żeby oczyścić głos.

– Słucham.

– Komisarzu! Och, komisarzu! – Zły znak. Zazwyczaj taki początek rozmowy oznaczał w przypadku Catarelli telefon od kwestora lub uroczyste ogłoszenie zabójstwa.

– O co chodzi?

– Dzwoniła właśnie taka jedna Amerykanka.

– To ty znasz angielski?

– Nie, ale jakieś pojedyncze słowa wygłaszam, bo moja kuzynka, ta Amerykanka, co jakiś czas...

– Co chciała?

– Była taka dosyć podenerwowana i przerażona! I krzyczała do słuchawki! Azaliż pomimo tego przestrochu jej osobistego można było zrozumieć, o co się rozchodzi.

– I co zrozumiałaś?

– Najpierw to ciągle powtarzała diddi diddi.

– A co to znaczy?

– No, po amerykańsku to znaczy, że martwy trup jest.

– Tylko tyle?

– Nie, komisarzu, potem zaczęła powtarzać lejkki lejkki.

- Co to znaczy?

- No, po ichniemu to oni tak mówią na jeziora takie wewnętrzne.

Prąd, który przebiegł przez całe ciało komisarza aż do samych stóp, sprawił mu duży ból.

- I potem co?

- I potem nic. Rozłączyła się.

- Jest Fazio?

- Nie stawiał się jeszcze w miejscu przeznaczenia docelowym.

- A Gallo?

- Tak, jest.

- Powiedz, żeby natychmiast tu po mnie przyjechał.

Spowijająca jego mózg mgła błyskawicznie się ulotniła. Nagle odzyskał jasność myślenia.

Wiedział przecież, że jego przypuszczenie za chwilę okaże się prawdą. Wszystkie części układanki, które starał się w nocy trzymać daleko od siebie, po tym telefonie odnalazły swoje właściwe miejsca.

Nie zdążył nawet wziąć prysznicza ani się ogolić. Obmył w pośpiechu ciało i pił czwartą filiżankę kawy, kiedy nadjechał Gallo.

- Co robimy, komisarzu?

- Ostatni etap polowania na skarb.

Z tonu komisarza Gallo wysnuł wniosek, że nie należało zadawać mu już więcej pytań na ten temat.

- Dokąd jedziemy?

- Drogą na Gallotę, tuż przed nią jest dróżka z drogowskazem, po lewej, to reklama tawerny. Pojedziesz prosto i zatrzymasz się przy tej knajpie. Pędź jak możesz najszybciej i włącz syrenę.

Gallo spojrział na niego zdziwiony i ruszył z kopyta.

Montalbano zamknął oczy i powierzył duszę Bogu.

- Teraz wyłącz syrenę i staraj się robić jak najmniej hałasu - powiedział komisarz, kiedy tylko wjechali w wysadzaną drzewami ścieżkę prowadzącą do tawerny.

Drzwi i okna w domku były zamknięte. No i dobrze. Komisarz nie chciał wzbudzać zbytnej ciekawości, jeszcze by ktoś za nimi poszedł.

- I co teraz? - zapytał Gallo.

- Teraz jedziesz cały czas prosto, ale uważaj, droga jest w strasznym stanie, mogą tu jeździć tylko terenówki. Myślisz, że dasz radę?

Zamiast odpowiedzi Gallo uśmiechnął się i ruszył bezszelestnie. Był naprawdę świetny.

Kilka razy podczas tej podróży komisarz wystraszył się, że samochód będzie dachował lub się przewróci, ale Gallo przez cały czas trzymał się drogi. Kiedy dojechali do brzegu jeziora, był cały spocony.

- I co teraz?

- Ja wysiądę zapalić, a ty rób, co chcesz.

Wcale nie chciało mu się palić, wymyślił tylko taki pretekst, żeby opóźnić nadejście chwili prawdy. Albo żeby przygotować duszę na to, co za moment zobaczy, lub raczej, co bardziej prawdopodobne, będzie musiał zobaczyć. Jeśli to, o czym myślał, zostało zrealizowane.

Spodziewał się prawdziwego koszmaru.

Koszmaru, który z pewnością będzie jeszcze gorszy do zniesienia tego wspaniałego poranka. Poranka tak przejrzystego, że wszystkie kolory były ostre jak brzytwa, a woda w jeziorze rzeczywiście wyglądała jak kawałek nieba, który spadł na ziemię. Panowała głęboka cisza, nie słychać było ani ptaków, ani ujadających w oddali psów. W burzowy dzień komisarz odczuwałby mniejszy dyskomfort.

Zazwyczaj spałał papierosa do trzech czwartych, tym razem rzucił go na ziemię, kiedy ogień zaczął parzyć mu palce. Stracił zbyt wiele czasu, zdeptując niedopałek obcasem. Wrócił do auta. Gallo został w środku, cokolwiek zaskoczony zachowaniem Montalbana.

- Widzisz ten domek?

- Jasne.

- Dasz radę tam podjechać?

– A co to za problem?

Zupełnie nie czuł się na siłach przejść tego kawałka drogi pod górkę, miał nogi jak z waty.

– I co teraz? – zapytał Gallo, zatrzymując się dokładnie przed nieistniejącymi już drzwiami.

Co za nudziarz z tym swoim „I co teraz”!

– Teraz wchodzimy. Ja idę pierwszy, ty za mną.

– Nie lepiej, żebym ja poszedł pierwszy?

– Niby dlaczego?

– Jeśli ktoś tam jest..

– Nikogo nie ma. Szkoda, że nikt tam do nas nie strzeli.

– Co to znaczy, komisarzu? – zapytał zdumiony Gallo.

– Wolałbym, żeby tak było.

Otworzył drzwiczki, żeby wysiąść. Gallo zatrzymał go, kładąc rękę na ramieniu.

– Co jest w środku, komisarzu?

– Jeśli jest, jak myślę, to czeka nas tam coś tak potwornego, że będzie ci się to śniło dniami i nocami. Jeśli chcesz, możesz zostać w aucie.

– Nie – powiedział Gallo, wysiadając.

Zaciskał zęby i próbował jak najlepiej się przygotować, wchodząc po chwiejnych drewnianych schodach, ale to, co zobaczył, sparaliżowało go i sprawiło, że momentalnie stracił oddech.

Gallo, który szedł za nim, kiedy tylko zauważył to, co leżało na środku pokoju, stanął jak wryty. Może usiłował wytłumaczyć sobie, że tak naprawdę niczego nie widzi. Następnie wrzasnął kobiecym, piskliwym głosem, odwrócił się i postawił nogę na pierwszym stopniu. Na trzecim potknął się, zleciał na ziemię, podniósł, wybiegł z domu i zwymiotował, wyjąc jak zranione zwierzę.

Montalbano wyszedł z domu po jakimś czasie. Udało mu się odzyskać panowanie nad sobą i zmusić oczy, żeby dokładnie wszystko obejrzały.

*Przede mną trudne, że aż dech zapiera, wyzwanie,
Montalbano zamiast prawdy niby-prawdę dostanie.*

Nagie ciało należało do Ninetty, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Tyle że wyglądało teraz dokładnie tak jak te dwie dmuchane lalki.

Morderca wyłupił jej oko, wyrwał pęki włosów, podziurawił ciało i zakleił rany plastrem...

Najstraszniejsze było to, że pomalował jej usta szminką, ołówkiem podkreślił brwi i przypudrował policzki... Aby nadać ciału kolor, wysmarował je podkładem. Śmierć pozostawiła na twarzy Ninetty rodzaj grymasu odsłaniającego zęby. Straszliwa, przerażająca maska, prawdziwa i sztuczna jednocześnie.

Tak, rzeczywiście jego rywal musiał się napracować, żeby Montalbano był zadowolony ze skarbu, czyli nagrody w tym polowaniu. Ale wygrana wcale go nie cieszyła. Wolałby przegrać miliard razy.

Wyszedł z domu, zastanowił się, czy warto było pójść do lasu, gdzie młodzi cudzoziemcy rozbili swoje obozowisko, jak powiedział mu Fazio. To jedna z tych turystek odkryła zwłoki i zadzwoniła na policję. Ale od razu stwierdził, że i tak nikogo już tam nie zastanie, na pewno wszyscy uciekli.

Usiadł na kamieniu obok Galla, który siedział na ziemi z twarzą w dłoniach.

– Dlaczego? – zapytał komisarza prawie bezgłośnie.

– A szaleństwo można jakoś wytłumaczyć?

– Ja tam do środka już nie wejdę.

– Nie musisz. Wsiadajmy do auta i zadzwońmy do Fazia. On zna to miejsce. Wystarczy, że uprzedzi Seminarę, że odnaleźliśmy ciało Ninetty.

Kiedy skończyli, nadszedł czas na nieuniknione pytanie Galla.

– I co teraz?

– Chodźmy stąd. Wracajmy nad jezioro.

Tym razem Gallo prowadził tak fatalnie, że auto omal nie stoczyło się ze wzniesienia.

– I co teraz?

– Czujesz się na siłach, żeby tu popilnować?

– Tak. A pan?

– Wolę, żeby mnie tu nie zastali. Powiedz Seminarze, żeby zadzwonił, kiedy zechce.

Wysiadł i poszedł w stronę ścieżki. Lepsza ta droga, podobna do piekielnego krajobrazu namalowanego przez Dorégo, niż miejsce piękne, ale pełne przemocy, okrucieństwa i szaleństwa.

Doszedł do tawerny po półgodzinie, umierając ze zmęczenia. Na szczęście lokal był otwarty i staruszka siedziała na swoim krześle, obierając ziemniaki.

– Co dla pana?

– Pół litra.

Postawiła mu na barze butelkę z milimetrową podziałką i kieliszek.

– Nie wie pani, czy w Gallotcie są taksówki?

– Nie ma, ale syn ma samochód.

– Jest tu teraz?

– Nie, w Gallotcie.

– Mogłaby pani zadzwonić do niego i poprosić, żeby zawiózł mnie do Vigaty?

– Oczywiście.

Wziął krzesło i usiadł na zewnątrz. Nalał sobie do kieliszka, a butelkę postawił na ziemi.

Ranek był rzeczywiście piękny jak na świętych obrazkach, powietrze rześkie i przejrzyste. Wszystko błyszczało jak po jakimś wielkim sprzątniu. Zupełnie jak pierwszy dzień stworzenia. Ale może właśnie dlatego nie mógł tego wytrzymać i szukał pocieszenia w winie. Piękne otoczenie nieraz bardziej podkreśla okrucieństwo.

– Będzie tu za jakieś dwadzieścia minut – powiedziała staruszka.

W tym wszystkim, co się wydarzyło, jedno było dobre, jeśli można tak powiedzieć. To nie on będzie musiał pójść do tych biednych Bonmaritów i zawiadomić ich o morderstwie córki.

Mimì pojawił się koło południa, ale wiedział już o znalezieniu trupa, bo zadzwonił do niego Fazio.

– Znalazłeś właścicielkę?

– Tak, jest w areszcie domowym, mieszka w Campobello.

– Co ci powiedziała?

– Dała mi tylko ogólne informacje. Może dlatego, że nie ma pamięci do twarzy, albo po prostu woli nie mówić za dużo. Dodała, że był młody, ciemnowłosy, raczej wysoki i dobrze ubrany. To wszystko.

– Rozpoznałaby go, gdybyśmy pokazali jej tego mężczyznę?

– Powiedziała, że być może tak. Ale ja bym jej nie ufał. Może powiedzieć, że to on, a potem wycofać się ze wszystkiego.

– Czyli uważasz, że lepiej dać sobie z nią spokój?

– Moim zdaniem tak.

Gallo wrócił po trzynastej.

– Najświętsza Panienko, co za ranek, panie komisarzu! Najpierw pojawił się doktor Tommaseo, który uparł się, że podjedzie tam swoim autem. Na samym początku drogi prowadzącej nad jezioro wpadł do rowu i musieliśmy go wyciągać łańcuchami. Karetka też tam nie wjechała i przenieśli zwłoki aż do tawerny.

– Pasquano się pojawił?

– Oczywiście.

– Co powiedział?

– Że dziewczyna nie została tam zamordowana. I tyle.

Do tego wcale nie była potrzebna wiedza doktora Pasquano.

Podwieźli go do Marinelli. Wyłączył telefon i położył się. Wstał po godzinie, wziął długi prysznic, po czym usiadł na werandzie.

Tak jak poprzedniego wieczoru rozłożył przed sobą listy mordercy i wiadomość od Artura.

Słowa, słowa, słowa, jak w piosence, którą kiedyś śpiewała Mina.

Co nowego mogłyby mu powiedzieć te słowa, czego nie powiedziały do tej pory? Przecież właściwie je zinterpretował i od razu udało mu się zrozumieć, gdzie znajdzie ciało Ninetty. Ale czuł podświadomie, że te słowa mogłyby wyjawiać więcej. Uzbroidł się w cierpliwość i przeczytał je jeszcze wiele razy, może przedstawiając sylaby, zwracając uwagę na kropki i przecinki...

A może lepiej poprosić o pomoc Artura? On studiował słowa, filozofia składała się ze słów, on wychwytywał sens każdego słowa, jego znaczenie, wagę, konsystencję. Tak, to jedyne wyjście. Wstał, podszedł do telefonu, sięgnął po słuchawkę, ale nagle się zatrzymał.

Arturo.

Błysk gwałtownego światła oślepił go przez chwilę, ale rozjaśnił umysł. Pot zaczął ściekać mu po szyi, za koszulę, aż przeszedł go zimny dreszcz. Zamurowało go.

Arturo.

Wrócił biegiem na werandę, wziął ostatni list oraz wiadomość od niego i porównał je. Od razu rzuciła mu się w oczy wyraźna rozbieżność.

Szalony morderca nie czuł się już na siłach nazywać go rywalem, bo teraz wszystko diametralnie się zmieniło, napisał:

*Dnie i noce ślęcę nad pracą skulony,
abyś ze skarbu pięknego był zadowolony.*

A z kolei Arturo w liście do niego zmienił to na: abyś ze skarbu wyjątkowego był zadowolony.

Czy potworna, długa, żmudna praca nad ciałem biednej Ninetty nie została w ten sposób określona słowami Artura i samego mordercy?

„Wyjątkowy” brzmiało bardziej precyzyjnie i lepiej niż „piękny”, słowo to mogło odnosić się do jakiegokolwiek obiektu będącego nagrodą, podczas gdy to użyte przez chłopaka tak idealnie pasowało do sytuacji, że nie sposób go było zamienić.

Ale jak Arturo był w stanie przewidzieć wyjątkowość i tego morderstwa?

Nie można było tego wytłumaczyć. Z wyjątkiem jednego, to znaczy że chłopak wiedział, co morderca zrobi z ciałem Ninetty. A jedynym, który mógł to wiedzieć, był morderca.

Albo jego współnik.

Nie, błąd, nie było żadnych współników. Sam Arturo przecież powiedział mu, że polowanie na skarb było pojedynkiem, a nie zabawą, śmiertelnym wyzwaniem rozgrywanym między dwiema osobami. Dlatego przydarzył mu się ten lapsus.

W wiadomości, którą napisał komisarzowi, zamiast rozwodzić się nad płaczem i szczęściem, dlaczego nie wspomniał o tych dwóch wersach, które były najbardziej zrozumiałe i tak bardzo zaniepokoiły Montalbana, kiedy czytał je, siedząc na skale?

*Przede mną trudne, że aż dech zapiera, wyzwanie,
Montalbano zamiast prawdy niby-prawdę dostanie.*

Lapsus i celowe pominięcie. Celowe, żeby nie zwrócić za bardzo uwagi komisarza w stronę tego, co było jego głównym celem. Przekształcenie ludzkiego ciała w gumową lalkę.

Lapsus i pominięcie wielkie jak góra.

Był już tak spocony, że musiał wejść do domu i znowu wziąć prysznic. Oczyszczając się i odświeżając w strumieniu wody, ponownie zaczął analizować wszystkie swoje spotkania z

Arturem, starając się sobie przypomnieć dokładnie wypowiedziane przez niego słowa.

A zatem, podczas pierwszego spotkania, chłopak oświadczył, że chciał go poznać, żeby zrozumieć, jak działa jego, Montalbana, mózg podczas śledztwa.

Może Arturo, rzucając mu wyzwanie w postaci polowania na skarb, chciał w rzeczywistości wskazać temat śledztwa? Zmuszając go do przejechania wyznaczoną przez siebie drogą, chłopak doskonale wiedział, jak potoczą się sprawy, i znał wszystkie szczegóły. Dzięki temu łatwiej było mu obserwować działanie mózgu komisarza. Dla większej pewności miał czelność pojawić się w komisariacie, przedstawić się i zrobić wszystko, aby uzyskać status doradcy.

Był to najbardziej niebezpieczny, zbrodniczy umysł, z jakim Montalbano miał do tej pory do czynienia. Arturo planował w najmniejszych szczegółach to, co miał zamiar zrobić, po czym wprowadzał plan w życie bez najdrobniejszej pomyłki. Potrzebował terenówki, żeby przewieźć ciało dziewczyny do domku w lesie i nie zaklinować się na tej przeklętej drodze? Ukradł auto, które przydało mu się, zanim jeszcze pochwycił ofiarę. I z jaką maestrią, jasnością umysłu i zimną krwią porwał Ninettę w biały dzień na oczach tylu ludzi!

Podczas drugiego spotkania nie zgadzały się dwie rzeczy. A może właśnie zgadzały się doskonale, w zależności od tego, z której strony spojrzeć na tę kwestię.

Pierwsza rzecz, to kiedy komisarz zapytał go, jak znalazł ulicę dei Mille. Odpowiedział, że wziął mapy z urzędu miasta. To jednak nie było prawdą, jako że urząd miasta takich map nie miał.

Po drugie, kiedy komisarz zapytał Artura, czy zdjęcia w domku nadal wiszą na ścianach, ten odpowiedział, że tak, wszystkie są na swoim miejscu. A jednak Montalbano nie tylko zabrał jedno z nich, ale widział, że kilka leżało na ziemi. Chłopak nie wszedł tam zatem, jak twierdził, żeby sprawdzić, czy zdjęcia nadal wiszą. To on sam je poprzyklejał!

A potem jak bardzo naciskał na Montalbana, żeby poszedł do

domku nad jeziorem! Co on takiego powiedział? Aha, że w środku może znajdować się coś, co okaże się przydatne.

Popełnił też drugi błąd: nie zapytał go, w jaki sposób otrzymał list wskazujący domek w lesie. Ten list przysłano mu w paczce razem z jagnięcą głową. Dlaczego chłopak się tym nie zainteresował?

Nagle woda przestała lecieć ze zbiornika. Na szczęście Montalbano już od jakiegoś czasu nie miał na ciele nawet śladu mydła. Podczas gdy ponownie się ubierał, doszedł do przekonania, że poczynione spostrzeżenie i konkluzje były jedynie czczą gadaniną. Tok myślenia, bez wątpienia prawidłowy, miał jeden błąd: opierał się na cienkiej jak pajęczyna nitce.

Tym razem interpretowanie słów wypowiedzianych i niewypowiedzianych przez Artura przypominało naciąganie do granic możliwości gumki, która w każdej chwili mogła pęknąć.

Analizując te słowa, można było także wyciągnąć z nich zgoła przeciwstawne wnioski, co doprowadziłoby do konstatacji, że Arturo nie był autorem polowania na skarb i dlatego nie był też mordercą.

Nie, tym razem słowa nie wystarczały. Wyobraził sobie taką rozmowę z prokuratorem Tommaseo.

– Ale na czym opiera pan przekonanie o jego winie?

– Na lapsusie i dwóch pominięciach.

Rozmówca komisarza z pewnością wezwałby psychiatrę.

Potrzebne były dowody, a on nie miał w ręku ich cienia.

Ogarnęło go zniechęcenie. Nie lepiej byłoby dać sobie z tym wszystkim spokój? Do czego mu to potrzebne? I tak Ninetta nie żyła, a im nie udało się jej uratować. Porozmawia z Seminarą, powie mu, jakie ma podejrzenia, i niech tamten zdecyduje.

Nie, to błąd. Poddawał się. Arturo przekonał go, że chodziło o pojedynek? To będzie miał pojedynek. Do ostatniej kropli krwi.

A zresztą nie można przecież pozostawiać na wolności szalonego zabójcy, takiego jak ten.

Ale co zrobić?

Nagle przyszło mu do głowy zdanie wypowiedziane przez Rumsfelda, amerykańskiego ministra Busha. Kiedy szef inspektorów wysłanych do Iraku w poszukiwaniu broni masowego rażenia poinformował go, że ni chuja tam nie znaleźli, polityk odpowiedział: „Brak dowodów nie jest dowodem na jej brak”. Genialne.

Powziął zatem stanowczą decyzję, że będzie grał dalej. Nie w polowanie na skarb, jak chciał Arturo, ale w grę, której zasady określi on sam, a która nazywa się grą w prawdę. Był pewien wygranej.

Spojrzał na zegarek. Czwarta. Pobiegł do jadalni i zadzwonił do Ingrid. Modlił się, żeby Najwyższy lub kto go tam zastępuje teraz, sprawił, żeby była w domu.

– Halo, słucham?

O mało nie zemdleł. Jakim sposobem głos mówił perfekcyjnie po włosku?

– Tu Montalbano. Chciałbym rozmawiać z panią Ingrid.

– Już ją proszę.

Odległe głosy, stukot zbliżających się obcasów.

– Cześć, Salvo, jak się miewasz?

– Dobrze. Masz włoskiego lokaja?

– Lokaja? A nie, to mój mąż.

Zmroziło go.

– Przepraszam, wybacz, ale naprawdę...

– Daj spokój! W czym ci mogę pomóc?

– Miałem nadzieję, że dzisiaj wieczorem, może...

– On wyjeżdża do Rzymu za pół godziny. Mów wreszcie!

– Mogę mówić?

– Co się z tobą dzieje?

– Powiedziałaś mi kiedyś, że Arturo jest w tobie zakochany.

Szczery śmiech.

– Nawet bardziej. On za mną szaleje.

Nie tylko za tobą. W ogóle jest szalony, chciał odpowiedzieć. Tymczasem zapytał:

– Mogłabyś zadzwonić i zapytać, czy nie poszedłby z tobą na

kolację dzisiaj wieczorem?

Przez chwilę Ingrid nic nie odpowiedziała. Potem zrozumiała chyba intencje Montalbana, ale nie poprosiła o wyjaśnienie. Miała jaja. Zapytała tylko:

- A jeśli dzisiaj nie może?

- To jutro w porze obiadowej.

- Czyli im szybciej, tym lepiej.

- Tak.

- Jak długo mam go zatrzymać?

- Wystarczą mi dwie godziny.

- Zaraz do niego zadzwonię, będę nalegać na dzisiejszy wieczór.

Gdzie mam ci dać znać?

- Jakies dziesięć minut jestem jeszcze w Marinelli.

Rozłączył się i zadzwonił na komisariat. Kiedy tylko Catarella usłyszał jego głos, rozpoczął kunsztowną litanie.

- Och, panie komisarzu, bo się podziało tak, że ten niejaki Seminaro, co go pan zna, ten z Montelusy, i on to pana szuka i nalega, bo chce, żeby...

- Nie interesuje mnie to. Połącz mnie z Faziem.

- Już się robi, komisarzu.

Przykro mi z powodu niejakisia Seminary, ale nie teraz.

- Posłuchaj, Fazio, zrobię ci taki prezent, że się posikasz z radości. Potrzebne mi dane chłopaka o nazwisku Arturo Pennisi. Chcę wiedzieć, gdzie mieszka tu w Vigacie i wszystko, co może mi się przydać.

- Do czego przydać, komisarzu?

Udał, że nie usłyszał pytania.

- Będę w komisariacie koło szóstej.

Telefon zadzwonił, kiedy tylko komisarz odłożył słuchawkę.

To była Ingrid.

- Okej, dzisiaj wieczorem. Ale muszę cię uprzedzić: nie mam najmniejszego zamiaru iść z nim do łóżka.

- O to cię nie proszę.

- A zatem masz do dyspozycji dwie godziny, które my spędzimy w restauracji. Bez możliwości przedłużenia.

- Dobrze, dobrze. O której się umówiliście?

– O ósmej trzydzieści, pod moim domem.

– Zaspokoisz moją ciekawość?

– Mów.

– Dlaczego nie poszłabyś z nim do łóżka?

– To tylko takie wrażenie... jasne, jest przystojny, niezwykle inteligentny, uprzejmy, ale... jak to się mówi... obawiam się, że drzemią w nim jakieś instynkty... myślę, że jest kryptosadystą.

Kryptosadysta, dobre! W każdym razie znaczyło to, że zawsze należy ufać kobiecym instynktom.

– Jeszcze jedno. Kiedy Arturo zawiadomi cię, że już jest, zadzwoń do mnie do domu.

– Okej.

– Zastałem doktora Pasquano?

– Tak, już go uprzedzam.

Po rozmowie telefonicznej strażnik powiedział:

– Jest u siebie w gabinecie.

Przeszedł jak zwykle długim korytarzem i zapukał do drzwi gabinetu.

– Proszę.

Pasquano stał z założonymi z tyłu rękami i wyglądał przez okno. Tym razem nie powitał komisarza zwyczajowymi bluzgami. Powiedział, nie patrząc na niego:

– Właśnie skończyłem sekcję tej biednej dziewczyny. Pan przyszedł w tej sprawie, prawda?

– Tak.

Nie był w takim nastroju jak zwykle, wydawał się nawet zmęczony i ponury. Odwrócił się, usiadł za biurkiem i dał znak komisarzowi, żeby też zajął miejsce.

– Pan nie prowadzi śledztwa?

– Nie.

– Ale, mnie może to pan powiedzieć, zajmuje się nim pod stołem po kryjomu?

– Tak.

– Działa pan po omacku czy już na coś wpadł?

– Wpadłem.

- Dobrze. Chciałbym, żeby pan go złapał. Chciałbym mieć go tutaj, żywego, na stole sekcyjnym. Podczas tylu lat pracy nigdy nie widziałem czegoś tak potwornego... Czegoś niewiarygodnego, jedyne w swoim rodzaju.

- Wyjątkowego - powiedział Montalbano.

- Wygląda identycznie jak ta lalka, którą wzięto za trupa. Sporo się musiał nad tym narobić, wie pan?

- Tak. A lalka znaleziona w śmietniku, ta, którą pan też widział, była z kolei czymś w rodzaju próby, kopia lalki znalezionej przez nas w domu starego wariata.

Doktor Pasquano siedział przez chwilę pogrążony w myślach i coraz bardziej ponury. Po czym powiedział:

- Rozumiem.

- Co?

- Dlaczego ją otruł.

- Otruł ją?

- Tak. Teraz rozumiem. Nie mógł zabić jej z broni, z pistoletu czy nożem, bo zostawiłoby to ślady na ciele. Ślady, które nie występowały na tej wzorcowej lalce. Dlatego jedynym rozwiązaniem była trucizna. Łeb ma nie od parady ten bydlak. Proszę zwrócić uwagę, że otruł ją zaraz po porwaniu.

- Czyli jej nie wykorzystał.

Pasquano skrzywił się.

- Żartuje pan? Wszędzie i nie raz, ale...

Montalbano nigdy nie widział Pasquana tak poruszonego i wstrząśniętego.

- Ale...?

- Post mortem, rozumie pan? Nie potrzebował żywej osoby, ale dmuchanej lalki.

Montalbano zdawało się, że był już wystarczająco odporny, ale tym razem potrzebował kilku minut, żeby minęły mu zawroty głowy i zdumienie.

- Ja już zwymiotowałem - powiedział Pasquano, przyglądając się komisarzowi. - Jeśli panu też się zachce, to łazienka jest obok, proszę się nie krępować.

- Używał narzędzi chirurgicznych do...?

- A gdzie tam, wszystko domowym sposobem! Oko wyłupił jej łyżką, rany zadał sztyłem, do obcięcia włosów użył maszynki do golenia... potem dokładnie spuścił z niej krew, wysmarował podkładem, umalował...

- Co zrobił, żeby jedna pierś wydawała się sflaczała?

- Zrobił, jak umiał najlepiej, taką domową liposukcję, która tylko częściowo mu wyszła.

Spojrzał przez okno.

- Wie pan co? Ona była dziewicą. A ten potwór...

Nigdy nie słyszał podobnego słowa od Pasquana. Doktor nigdy nie wyrażał swojej opinii o trupach, którym robił sekcje, ani o mordercach.

- ...a ponieważ nie dawał rady, jest chyba prawie impotentem, otworzył sobie drogę kijem od szczotki lub czymś podobnym.

Znowu spojrzał na komisarza.

- Niech go pan złapie. Jeśli ujdzie mu na sucho, to dam sobie jaja uciąć, że znowu się na kogoś zaczął. I będzie jeszcze gorzej niż teraz.

- Dorwę go - odpowiedział spokojnie Montalbano.

Jakoś wszystko wytrzymał w gabinecie Pasquana, ale kiedy tylko zobaczył bar, zatrzymał się, wysiadł z auta i jednym haustem wypił koniak. Naprawdę tego potrzebował. Potem pojechał do komisariatu.

- Panie komisarzu!

- O co chodzi?

- Ten niejakiś Seminario to już trzy razy podzwonił! Powiedział, że musi z panem pilniutko porozmawiać!

- To mu powiedz, że nie wiesz, gdzie jestem.

- A jeśli on to powie panu kwestorowi?

- Nie powie, spokojna głowa. Jest Fazio?

- Właśnie powrócił.

- Niech do mnie przyjdzie.

Chciał jak najszybciej wyjść z komisariatu, żeby w ostatniej chwili nie zostać włączonym w coś, co uniemożliwi mu realizację wieczornego planu.

Pojawił się Fazio.

– Zrobione?

– Tak.

– Siadaj i mów.

Fazio wziął teraz rewanż za te wszystkie długie lata. Usadowił się na krześle, poświęcił trochę czasu na poprawienie spodni, włożył rękę do kieszeni, wyciągnął złożoną na pół kartkę. Przyjrzał się jej, jak gdyby widział ją po raz pierwszy, rozłożył i wygładził. Wszystkie czynności odbywały się niezwykle wolno. Spojrzał na komisarza, ale ponieważ ten nic nie mówił, żeby nie dać mu satysfakcji, uśmiechnął się zwycięsko i zaczął czytać.

– Pennisi Arturo, syn Giuseppe i Alessandry Cavazzone, urodzony w Montelusie dwunastego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, kawaler, zamieszkały w Montelusie na ulicy Gioeni sto dwadzieścia dziewięć, ale zameldowany w Vigacie na ulicy Bixio dwadzieścia jeden, w willi należącej do dziadka ze strony matki Cavazzone Girolama, student Uniwersytetu w Palermo na wydziale...

– Zaczekaj chwilę. Ulica Bixio przypadkiem nie jest równoległa do ulicy dei Mille?

– Tak. Ale najwyższa jej część, ta w stronę cmentarza, wychodzi właśnie na ulicę dei Mille.

Dziki bestie poruszają się zawsze na znajomym terytorium.

– Teraz złóż kartkę i włóż do kieszeni. Już się chyba wystarczająco rozładowałeś?

Fazio usłuchał. Wziął już odwet, i to z nawiązką.

– Jak powiedziałeś, że nazywa się jego dziadek?

– Cavazzone Girolamo.

– Gdzie ja słyszałem to nazwisko?

I nagle olśnienie, Girolamo Cavazzone!

Źle ubrany osiemdziesięcioletni albinos, siostrzeniec Gregoria Palmisana, ten, który przyszedł zapytać, czy Palmisanowie, jako niepoczytalni, mogą zostać uznani za zmarłych, a on, co za tym idzie, odziedziczy po nich wszystko!

Wreszcie pojawił się brakujący element, niespodziewany punkt styczny, który rozwiewał wszystkie wątpliwości. Koło wreszcie się zamknęło. I to szczelnie.

Gumową lalkę Arturo znalazł na pewno na strychu w domu dziadka. Z pewnością Girolamo i Gregorio, kiedy jeszcze utrzymywali ze sobą kontakty, kupili dwie takie same.

Dlatego Arturo mógł zrobić próbę z lalką wrzuconą do pojemnika na śmieci. Nie mogło być innego wyjaśnienia, gdzie ją znalazł.

Wstał, uśmiechając się, obszedł biurko i stanął przed Faziem, który patrzył na niego zdziwiony.

– Wstań.

Fazio się podniósł, a Montalbano go objął.

– Dzięki za wszystko. Możesz już iść.

Fazio nie ruszył się, patrzył na niego tak, jakby chciał wydłubać mu oczy.

– Co panu siedzi w głowie, komisarzu?

– Nic, a o co chodzi?

– To dlaczego chciał pan poznać dane tego chłopaka?

– Tak mi przyszło do głowy, czysta fantazja. Dzisiaj wieczorem coś sprawdzę. Jeśli do czegoś konkretnego dojdę, to dam ci znać. Okej?

Fazio wyszedł pełen wątpliwości.

Jeść czy nie jeść? To było pytanie. Nie zjeść wcześniej oznaczałoby, że nie będzie jadł aż do południa następnego dnia. Zjeść od razu oznaczało, że musiałyby zrobić to wcześniej niż zwykle, i to w pośpiechu.

Zrezygnował. Siedział na werandzie i palił jednego papierosa za drugim, starając się nie myśleć, co powinien teraz zrobić. W końcu stwierdził, że lepiej nie opracowywać żadnego planu działania, ale działać w zależności od rozwoju sytuacji.

O ósmej dwadzieścia osiem telefon.

- Zadzwoń! przez domofon – powiedziała Ingrid. – Jest na dole.
- Dobrze.
- Pamiętaj, masz dwie godziny. Ani minuty więcej.

Zanim odjechał, upewnił się, że latarka w samochodzie była wystarczająco silna. Wyjął pistolet ze schowka i włożył go do kieszeni. Na siedzeniu obok leżał pęk wytrychów i podrobionych kluczy podarowanych mu przez kolegę, który przeszedł na emeryturę. Ruszył.

Gra w prawdę została rozpoczęta.

Łatwo znalazł ulicę Nina Bixio; kiedy podjechał pod dom oznaczony numerem 21, była za pięć dziesiąta. Małą willę z ogrodem od frontu otaczało metalowe ogrodzenie, ale tylko z przodu. Komisarz objechał ją autem. Z tyłu znajdowały się dwa wejścia: drewniane drzwiczki, być może wejście dla służby, i otwierana pilotem żaluzja. To z pewnością był garaż w jakiś sposób połączony z budynkiem mieszkalnym.

Arturo nie potrzebował wysiadać z auta, żeby zabrać Ninettę do domu. Wjechał terenówką do garażu, a potem zrobił wszystko to, co chciał, niewidziany przez nikogo.

Dla pewności jeszcze jedno okążenie. Tym razem zauważył, że od frontu, ale na poziomie piwnicy, były cztery zakratowane okna. Czyli dom musiał mieć też piwnicę o tych samych

wymiarach.

Nie opłacało mu się wchodzić głównym wejściem, ulicą Bixio przejeżdżało ciągle zbyt wiele samochodów. Lepiej skorzystać z tylnych drzwiczek, bo ulica Tukoryego, na którą wychodziły, była o wiele spokojniejsza.

Zaparkował, wysiadł z auta i zapalił papierosa. Zaczął spacerować jak ktoś, kto włóczy się bez celu. Zatrzymał się na chwilę przed drzwiczkami i zerknął na zamek. Jeden z tych, które otwiera długi klucz. Za pomocą wytrycha uwinie się w trymiga.

Począł, aż na ulicy nie będzie żadnego samochodu, sprawdził, czy nikt nie wygląda przez okna w domu naprzeciwko. Wyciągnął pęk kluczy, przy trzeciej próbie znalazł ten właściwy, otworzył drzwi, wszedł, zamknął za sobą i zapalił latarkę.

Wystarczyły trzy minuty, żeby zrozumieć, że wszystko zrobił nie tak. Znalazł się w pomieszczeniu, w którym kiedyś był magazyn, a teraz skład niepotrzebnych rzeczy: krzesła bez nogi, zjedzonych przez korniki mebli, skrzyń... A co najgorsze, schowek nie był połączony z domem.

Montalbano pocieszył się paroma kurwami, zgasił latarkę, otworzył drzwi i wyszedł, zamykając je z powrotem. Nie ma rady, musi wejść frontowymi. Okrążył więc posesję i znalazł się na ulicy Bixio.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po dziewiątej. Przez te pierdolone drzwiczki stracił sporo czasu, a nie miał go za wiele.

Nadal za dużo samochodów! To był jedyny problem, bo szerokość drogi sprawiała, że domy po drugiej stronie nie stanowiły żadnego zagrożenia.

Postanowił, że rozsądniej jeszcze trochę poczekać, koło pół do dziesiątej będzie tędy przejeżdżał o wiele mniej aut.

Dziesięć minut później furtka otworzyła się błyskawicznie. Trudność sprawiły jednak drzwi i jakby tego było mało, jakiś samochód zatrzymał się przed sąsiednim domem, pokazując komisarza w pełnym świetle.

Potem samochód odjechał, a minutę później drzwi dały się wreszcie pokonać.

Oświetlając drogę latarką, rozpoczął poszukiwania.

Na parterze znajdowała się jadalnia, kuchnia z drzwiami prowadzącymi do piwnicy, mała łazienka i salon. Wszędzie panował perfekcyjny porządek.

Naprzeciwko drzwi zobaczył prowadzące na górę schody. Na piętrze Montalbano zwiedził wielką sypialnię, piękną łazienkę, gabinet i zatrzymał się przed zamkniętym na klucz pokojem. Zamek nie był zwykłym zamkiem stosowanym w tego rodzaju drzwiach, ale modelem yale, z pewnością niedawno zamontowanym. Znak, że w tym pokoju musiało znajdować się coś bardzo ważnego.

Stracił dziesięć minut, mocując się z zamkiem, ale po wejściu zauważył, że nie był to czas stracony. Znajdował się w kolejnej sypialni z małżeńskim łóżem z dwoma materacami, przykrytymi wielką, pogniecioną, plastikową płachtą. Zalaną krwią.

Na stolyczku stała pusta szklanka. Okno zamurowano tylko od wewnątrz, a ściany wyklejono dwudziestocentymetrową warstwą polistyrolu, takiego samego, jakim wyciszono drzwi, żeby całkowicie odizolować to pomieszczenie. Z powodu zamknięcia unosił się tu nieznośny smród potu, spermy, moczu i krwi. W kącie stała szczotka. Jej górna część była ciemna. Montalbano podszedł przyjrzeć się jej z bliska. Zakrzepnięta krew. Pasquano miał rację.

Nagle przeszły go dreszcze. Z trudem powstrzymał torsje.

Na ziemi walały się kawałki brązowej taśmy klejącej do paczek i nienapoczęta jeszcze rolka.

Było oczywiste, że Arturo zaraz po porwaniu Ninetty przywiózł ją tutaj i tu podał jej truciznę.

Jednak to nie w tym pokoju pastwił się nad nią, plamy krwi były zbyt małe. Na łóżko przywłókł ją już martwą, żeby wykorzystać jak dmuchaną lalkę. A zakrwawiony kij od szczotki był tego dowodem.

Po wyjściu z pokoju i zamknięciu drzwi poszedł do łazienki, umył twarz, ale nie chciał używać ręcznika. Brzydził się. W całym ciele czuł coś w rodzaju dreszczy. Wszedł do pełnego książek gabinetu. Na biurku stał komputer, aparat fotograficzny Polaroid

i kartonowe pudełko, które otworzył. W środku było mnóstwo zdjęć.

Pierwsze, na które spojrzął, ukazywały ubraną Ninettę, rozciągniętą na łóżku, z ustami zaklejonymi taśmą, która krępowała też jej kostki u nóg i przeguby rąk. Na innych zdjęciach zobaczył dziewczynę już jako gumową lalkę, z rozłożonymi nogami, inne ukazywały ją leżącą na brzuchu. Pozostałe dokumentowały stopniową transformację, jakiej zostały poddane zwłoki Ninetty.

Montalbano włożył je do kieszeni. Te zdjęcia w zupełności wystarczały, żeby przyskrzynić Artura. Mógł już wyjść.

Spojrzął na zegarek. Dwadzieścia pięć po dziewiątej. Jeśli kolacja skończy się punktualnie o dziesiątej trzydzieści, to droga do domu zajmie chłopakowi najmniej kwadrans.

Zszedł po schodach, poszedł do kuchni i otworzył drzwi. Pięć stopni prowadziło stąd do piwnicy.

W olbrzymim pomieszczeniu stały tylko cztery stare beczki i wiele zakurzonych regałów służących kiedyś do przechowywania wina. Zobaczył jakieś drzwi i otworzył je.

Tu już było inaczej. Na środku stał prawdziwy stół operacyjny, pobrudzony krwią, obok stolik na kółkach. Na nim łyżka, szydło, wiele krążków plastra, dwa opakowania znanej już taśmy do paczek, maszynka do golenia i szklanka z wodą i czymś zakrwawionym w środku, co było pewnie okiem Ninetty. W kącie leżały kobiece ubrania i buty. Strój tej biednej małej. W innym rogu plastikowy kosz na śmieci. Pełen krwi, którą Arturo utoczył Ninecie, zanim pomalował ją jak lalkę.

Obok stołu operacyjnego stał stolik z telewizorem i odtwarzaczem wideo.

Jakimś cudem komisarzowi udało się uruchomić to urządzenie. Na ekranie telewizora pojawiła się dmuchana lalka Gregoria Palmisana, pokazywana przez Telegatę. Arturo, najpierw pracując nad lalką dziadka, a potem nad ciałem Ninetty, miał to nagranie ciągle w zasięgu wzroku. Kolejne drzwi. Trzecie pomieszczenie było najmniejsze ze wszystkich na dole. Tutaj też, podobnie jak w poprzednich, zamurowano okno od wewnątrz.

Na dwóch stołach ustawiono cztery komputery i inne urządzenia elektroniczne, o których działaniu komisarz nie miał pojęcia. Na pewno to tutaj Arturo wydrukował zdjęcia, którymi obwiesił ściany domku w lesie.

Nie było już nic więcej do obejrzenia.

Odwrócił się, żeby wyjść, i latarka oświetliła Artura, stojącego w drzwiach z pistoletem w ręku.

Montalbano poczuł się sparaliżowany. Zrozumiał, że jest w pułapce, nie może w żaden sposób zareagować, ponieważ chłopak może władować w niego cały magazynek. I nikt na zewnątrz tego nie usłyszy.

Ale rzeczą, która uderzyła komisarza bardziej niż pistolet, było zachowanie Artura. Nie wydawał się w ogóle przerażony, zaniepokojony czy zmartwiony. Co najwyżej można było stwierdzić, że był lekko rozdrażniony i wkurzony.

Arturo zapalił światło i powiedział:

– Proszę siadać.

Montalbano usiadł na pierwszym lepszym krześle, gospodarz na drugim.

– Jak się pan miewa? – zapytał Arturo.

– Nie najgorzej – odpowiedział komisarz.

To był naprawdę kawał niebezpiecznego wariata. Może go teraz zapyta, czy nie napiłby się herbaty?

– To pan namówił Ingrid, żeby zaprosiła mnie na kolację, prawda?

– Tak.

Nie było żadnej potrzeby opowiadać mu bredni.

– Jestem bardzo inteligentny, wie pan? Po jakimś czasie sam na to wpadłem i pozbyłem się jej.

Montalbano zaniepokoił się.

– W jaki sposób pan się jej pozbył?

Harry Potter uśmiechnął się przemądrzale, jak mały ekspert. Ten uśmiech zmroził Montalbana. A może naprawdę uważał to morderstwo i to, co zrobił z ciałem Ninetty, za zwykłą grę? Młodzieńczy wyskok? Taki żarcik? Może to jego szaleństwo było nieświadomym dziecinnym okrucieństwem? Jak obcinanie

ogonów jaszczurkom?

– Nie martw się – odpowiedział Arturo, który zaczął mówić do niego po imieniu. – Jest cała i zdrowa we własnym domu. Kiedy jechaliśmy, dwa razy usiłowała zadzwonić z komórki, ale nikt nie odpowiadał. Może chciała cię ostrzec.

– I co teraz? – zapytał Montalbano.

– Właśnie myślę. Tymczasem pogadajmy trochę, okej?

– Dlaczego nie?

– Jak wpadłeś na to, że to ja byłem twoim rywalem w polowaniu na skarb?

– Przeanalizowałem to, co mi mówiłeś i co napisałeś. Zdarzył ci się jeden lapsus i dwa pominięcia. Trzy błędy. To za dużo.

Po tej odpowiedzi twarz Artura się zmieniła. Wykrzywił usta, oczy mu pociemniały, na czole pojawiła się zmarszczka. Poderwał się i zaczął tupać.

– Nieprawda! Ja nie popełniam błędów! Ty jesteś mniej inteligentny ode mnie! Co najwyżej możesz być odrobinę bardziej sprytny! Masz!

Raptownie uderzył komisarza pistoletem w sam środek twarzy.

Nos Montalbana zaczął krwawić.

– Mogę wyjąć chustkę?

– Nie!

Montalbano odchylił głowę jak najbardziej do tyłu, mając nadzieję, że krew przestanie lecieć. Teraz już wiedział, że zabójstwo Ninetty rozwaliło i tak już chory mózg chłopaka.

Wcześniej umiał powstrzymywać swoje szaleństwo, teraz widać je było w każdym jego geście. Po jakimś czasie komisarz zdołał wreszcie przemówić.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Nie odzywaj się do mnie.

Obraził się, zupełnie jak dziecko.

– Tylko jedno.

– No dobrze.

– Porwałś Ninettę, bo znałeś ją już wcześniej czy dlatego, że była podobna do tej dziewczyny z domu publicznego?

– Ja chciałem tamtą z domu publicznego. Ale nie mogłem jej

znaleźć. Ukradłem terenówkę i zacząłem szukać kogoś, kto by ją przypominał. Kiedy wyprzedzałem autobus i zobaczyłem tę dziewczynę, myślałem, że to właśnie ona. Jednak kiedy wysiadła i podeszła do mnie, bo ją zawołałem pod jakimś pretekstem, zrozumiałem, że to nie ta, ale że jest do tamtej niesamowicie podobna. No to ją zabrałem.

– Mogę ci zadać jeszcze dwa pytania?

– Ale potem koniec?

– Tak jest.

– Przysięgnij.

– Przysięgamy. Gdzie znalazłeś dmuchaną lalkę?

– Tutaj, na strychu. Należała do mojego dziadka.

Dokładnie tak, jak myślał.

– A ta jagnięca głowa?

– Superpomysł, co?

– Nie przeczę.

– Pojechałem autem do Gallotty, zobaczyłem niepilnowane stado, wziąłem jedno jagnię, poderżnąłem mu gardło i załadowałem do samochodu. Tutaj w domu odciąłem mu łeb i wsadziłem do pudełka po herbatnikach, które znalazłem na strychu. Teraz dość już tych pytań.

– Co chcesz zrobić?

Arturo zaczął mu się przyglądać w zamyśleniu, uderzając lufą pistoletu o wargi. Potem zdecydował.

– Chodźmy tam.

Nie uda mu się wyciągnąć broni, tamten będzie miał czas, żeby strzelić pierwszy. Wstał i przeszedł do drugiego pomieszczenia.

– Stań przed łóżkiem.

To była przedostatnia rzecz, którą zapamiętał. Ostatnią był potężny cios rękojęścią pistoletu w głowę. Potem stracił przytomność.

Otworzył oczy. W tyle głowy czuł potworny ból. Leżał na stole operacyjnym, z ustami, przegubami i kostkami zaklejonymi taśmą. Miał na sobie tylko majtki, reszta leżała na ubraniu Ninetty. Drzwi pomieszczenia były zamknięte. Zrozumiał, że

jedyną szansą na przeżycie jest zmuszenie mordercy do mówienia. Ale jak miał to zrobić z zaklejonymi ustami? Nic z tego, już po nim. W tym momencie, jak gdyby obserwując siebie samego, zobaczył, jak leży w bieliźnie, butach i skarpetkach na stole operacyjnym. Ten widok tak go rozbawił, że zachciało mu się śmiać.

Śmiał się, ponieważ mózg nie mógł nadal uwierzyć w to, co się z nim działo. Takie sceny można oglądać w horrorach, w sennych koszmarach, ale nie w rzeczywistości.

Usłyszał klucz w zamku i drzwi się otworzyły.

Arturo wrócił z piłą elektryczną, młotkiem i skalpelem. Co mu, kurwa, chodziło po głowie? Może jeszcze się zacznie bawić w małego chirurga. Wyjął z kieszeni metalowe pudełko na strzykawkę i postawił je na stoliku obok pistoletu.

– Już wszystko tłumaczę. Chcę dokładnie poznać twój mózg. Ale kiedy pracuje. Rozumiesz? Dlatego muszę otworzyć ci czaszkę. Najpierw jednak cię uśpię.

Montalbano, zlany potem, starał się powstrzymać ogarniającą go panikę. Jęknął.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

Komisarz desperacko przytaknął głową. Chłopak zerwał mu plaster z ust. Zabolało.

– Mów.

– Chciałem zaproponować ci inną grę. Fantastyczną. Musiałbyś użyć całej swojej inteligencji.

Przez chwilę oczy Artura pojaśniały z zadowolenia.

– Poważnie?

– Sam zobaczysz.

Nagle wzrok chłopaka się zmienił. Spochmurniał.

– Nie wierzę ci. Zresztą niepotrzebna nam inna gra, żeby udowodnić, że i tak zawsze jestem zdolny cię pokonać.

I ponownie zakleił mu usta.

Montalbano miał tylko nadzieję, że narkoza zadziała.

Arturo wziął do ręki pudełko, otworzył je, wyjął strzykawkę. Drugą ręką wyciągnął fiolkę, napełnił strzykawkę i wypuścił pęcherzyk powietrza.

Montalbano zamknął oczy.

Wydało mu się, że nagle zapada w sen i że cały czas śni, ponieważ nie było możliwe, żeby na jawie usłyszał spokojny głos Fazia.

– Nie ruszaj się, skurwysynu. Jeden ruch i po tobie.

Otworzył oczy. To działa się naprawdę!

Fazio trzymał nieruchomego jak posąg Artura na muszce. Za nim stali Gallo i Galluzzo, którzy w dziesięć sekund rzucili się na chłopaka, powalili na ziemię i zakuli w kajdanki.

– Ale dlaczego? – krzyczał Arturo bliski płaczu. – My się tylko bawiliśmy...

Montalbanowi bezwiednie zrobiło się żal tego chłopaka, aż ścisnęło mu się serce.

Tymczasem Fazio delikatnie zerwał mu taśmę z ust. Pierwsze pytanie komisarza brzmiało:

– Kto cię uprzedził?

– Pani Ingrid. Powiedziała, że miała trzymać tego chłopaka przez jakiś czas daleko od domu. Ale bała się, że może wrócić zbyt wcześnie. Zadzwoiłem więc do Galla i Galluzza i od razu tu przyjechaliśmy. Sam mi pan przecież powiedział, że musi coś sprawdzić.

– Zadzwoń od razu do Seminary. A potem daj komórkę, muszę uspokoić Ingrid.

Dotarł do Marinelli o trzeciej w nocy. Był tak bardzo głodny, że zjadłby konia z kopytami. W piecu znalazł zapiekankę z makaronu i bakłażanów i osiem ryżowych kulek, każda większa od pomarańczy. Kiedy szedł do łazienki wziąć prysznic, zaczął śpiewać na cały głos. Okropnie fałszując. Po jedzeniu dowlókł się do telefonu i zadzwonił do Livii mimo wczesnej pory, żeby powiedzieć jej, że jeszcze dzisiaj przyjedzie do Boccadasse.

NOTA

Wszystko to, co zostało w tej powieści napisane, imiona, nazwiska, sytuacje, zdarzenia, jest tylko owocem mojej wyobraźni. Jeśli ktoś rozpozna się w jednej z moich postaci, to oznacza, że ma więcej fantazji ode mnie.

A.C.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące utwory Andrei Camilleriego:

KSZTAŁT WODY
2007

PIES Z TERAKOTY
2007

ZŁODZIEJ KANAPEK
2007

ZNIKNIĘCIE PATÒ
2004

GŁOS SKRZYPIEC
2008

MIESIĄC Z KOMISARZEM MONTALBANO
2008

POMARAŃCZKI KOMISARZA MONTALBANO
2009

WYCIECZKA DO TINDARI
2007

ZAPACH NOCY
2008

PIWOWAR Z PRESTON
2008

OBIETNICA KOMISARZA MONTALBANO
2009

KOLOR SŁOŃCA
2009

CIERPLIWOŚĆ PAJĄKA
2010

PENSJONAT „EWA”
2010

PAPIEROWY KSIĘŻYC
2011

SZARY KOSTIUM
2011

SIERPNIOWY ŻAR
2012

SKRZYDŁA SFINKSA
2013

SEZON ŁOWIECKI
2014

POLE GARNCARZA
2014

WIEK WĄTPLIWOŚCI
2015

ŚMIERĆ NA OTWARTYM MORZU
2016

KRÓLOWA POMORZA I INNE HISTORIE Z VIGATY
2016

TANIEC MEWY
2017